

EVE MAKIS

Listy  
pachnące  
tymiankiem

W poszukiwaniu  
strzępków rodzinnej historii



Wydawnictwo  
ab

Eve Makis  
LISTY PACHNĄCE TYMIANKIEM  
przełożył Krzysztof Cieslik



Tytuł oryginału: *The Spice Box Letters*

Copyright © Eve Makis 2015

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Cieślik, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

## SPIS TREŚCI

Dedykacja

Rozdział 1. Mariam, Wschodnia Turcja, rok 1915

Rozdział 2. Katerina, Anglia, rok 1985

Rozdział 3. Mariam, rok 1915

Rozdział 4. Katerina

Rozdział 5

Rozdział 6. Larnaka, Cypr. Miesiąc później

Rozdział 7. Mariam, rok 1915

Rozdział 8. Katerina

Rozdział 9. Mariam

Rozdział 10. Katerina

Rozdział 11. Mariam

Rozdział 12

Rozdział 13. Mariam

Rozdział 14. Katerina

Rozdział 15. Mariam

Rozdział 16. Mariam

Rozdział 17. Katerina

Rozdział 18. Gabriel, Nikozja, Cypr

Rozdział 19. Gabriel, Wschodnia Turcja, rok 1915

Rozdział 20. Gabriel, Nikozja

Rozdział 21. Gabriel, Bejrut, rok 1916

Rozdział 22. Gabriel, Nikozja

Rozdział 23. Gabriel, Morze Śródziemne, rok 1919

Rozdział 24. Katerina

Rozdział 25. Mariam, rok 1919

Rozdział 26. Katerina

Rozdział 27. Gabriel

Rozdział 28

Rozdział 29. Nikozja, rok 1937

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32. Katerina

Rozdział 33. Gabriel

Rozdział 34

Rozdział 35. Katerina

Rozdział 36. Katerina

Rozdział 37. Mariam

Rozdział 38. Katerina

Rozdział 39. Nikozja, Cypr, 1986 rok

Podziękowania

Przypisy

*Dla TM, Emily i George'a, z miłością*

## ROZDZIAŁ 1

### MARIAM, WSCHODNIA TURCJA, ROK 1915

Baba jechał bardzo szybko, prowadząc jabłkowitego araba przez labirynt brukowanych uliczek. Powóz trząsł się na ostrych kamieniach, a mnie po plecach przebiegły nieprzyjemne ciarki. Uliczni handlarze gardłowym nuceniem zachwalali swoje towary albo pociągali z fajek wodnych w pozbawionych drzwi wejściach do sklepów pełnych przypraw, ręcznie tkanych jedwabiów, wyrobów ze skóry, miedzianych garnków i afrodyzjaków. Nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo, nic nie zapowiadało przyszłego nieszczęścia.

Odległe srebrzyste pianie koguta wzbilo się ponad dachami z czerwonej dachówki, kopułami, minaretami i przytłaczającym miasto ośnieżonym szczytem. Kobiety w bawełnianych chustach gawędziły przed kamiennymi nadprożami. Bezpańska suka karmiła młode. Poranne powietrze przesiąknięte było odwieczną wonią kadzidła i karmelu oraz owocowym zapachem szisz. Z futryny drzwi zwisał rząd srebrnych, inkrustowanych niebieską emalią amuletów, dokładnie takich jak ten, który nosiłam zawsze w kieszeni, by chronił mnie przed urokiem.

Przyjemnie było znaleźć się poza domem i zanurzyć w bazarowym zgiełku. Nasz świat roi się od niebezpieczeństw, ostrzegał ojciec. Nie on jeden zresztą wyrażał takie obawy na głos; złowieszcze przepowiednie rozbrzmiewały na każdym ormiańskim podwórku i w każdej kawiarni.

Powóz wyminął muły wiozące chrust i kosze pełne melonów, dyń i bordowych fig. Muchy krążyły u okna powozu, oderwawszy się od wychudzonej tuszy zwisającej pod daszkiem u rzeźnika. Nieopodal zadzwonił dzwonek i Baba zatrzymał się, by przepuścić cukiernika, którego dwukółka wyładowana była pokrojonymi w romby paklawami z błyszczącą polewą.

Wykrzyknęłam ponad szumem bazaru:

– Babo, zatrzymaj się! Chcę ciastko.

Do powozu dotarł kuszący zapach syropu i wody różanej.

Baba mlasnął językiem, przynaglając jabłkowitego araba. Miarowe „pa-kla-vaaa” cukiernika stopniowo ucichło, na ulicy zaś rozbrzmiewała echem wściekła tyrada jakiegoś mężczyzny. Kawalek dalej zebrał się tłum. Ludzie odsunęli się, by wpuścić powozik w sam środek dramatycznej sceny. Ormiański piekarz Kalfajan stał przed swoją piekarnią w obecności komendanta i kilku tureckich oficerów policji. Komendant darł się na całe gardło, a jego obwisły podbródek aż trząsł się z wściekłości.

– Nie zrobiłem nic złego... zarzuty są niezgodne z prawdą... nie zatrąłem chleba dla żołnierzy – bronił się piekarz.

Blachy w witrynie piekarni były poprzewracane i szereg pobrużdżonych bochnów zaściewał ulicę.



Kalfajan, z zaciśniętymi dłońmi, zrobił krok naprzód. Komendant uniósł pałkę i uderzył go w skroń. Zaskoczony piekarz wytrzeszczył oczy. Drugi wściekły cios ściał go z nóg, Kalfajan upadł jak kłoda. Słyszałam, jak jego czaszka z trzaskiem uderza o ziemię; przypominało to chrzęst wysuszonych strąków eukaliptusa pod stopami. Rozległy się krzyki. Piekarz leżał zupełnie bez ruchu, a tłum wokół niego zgęstniał, ludzie wymachiwali rękoma jak kurczaki rzucające się na karmę. Zobaczyłam, że na miejscu pojawił się mój ojciec, lekarz. Przyklęknął, sprawdził puls piekarza, odwrócił jego głowę, wsadził mu do ust palce i oswobodził język. Kilka chwil później Kalfajan zacharczał i odzyskał przytomność, a policjanci postawili go na nogi. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że powóz odjeżdża; potężne końskie kopyta zadzwoniły na kocich łbach.

## ROZDZIAŁ 2

### KATERINA, ANGLIA, ROK 1985

Mama stoi przy kominku, obracając w rękach kartki, które zdobią gzyms fioletowymi makami, tulipanami i mnóstwem aniołków. „Twoja matka była cudowną kobietą, będzie nam jej bardzo brakowało”. Odczytuje inne zdania, utrzymane w tym samym duchu frazesy, które poruszają czułe struny, słowa mające dodać otuchy. Patrzę, jak przez jej twarz przebiegają zmienne emocje, gdy pochyła się nad bardziej osobistymi wiadomościami. „Mariam była prawdziwym skarbem, wspaniałomyślna aż do przesady. Cudowna kucharka, uprawiała kulinarną alchemię za pomocą jagnięcej łopatki i wędzonej papryki”. Przez pięćdziesiąt lat babcia pracowała jako pielęgniarzka, miała mnóstwo przyjaciół, którzy na pogrzebie tłoczyli się w kościele Świętego Józefa i stali za drzwiami. Wyobrażam ją sobie teraz, włosy przyprószone siwizną, wydatne kości policzkowe, rzeczna zieleń oczu, które lśniły w jej twarzy o oliwkowej cerze, odbijając obraz moich źrenic; nieprzeniknione oczy, zmuszające, by przyglądać się im ukradkiem.

Szukam słów pociechy, zastanawiam się, jak to jest stracić matkę, ile czasu trwa leczenie ran. Od śmierci babci minął miesiąc i mama przeżywa kryzys. Ma nieumyte i nieulożone włosy, a jej dusza tkwi w nieodległej przeszłości. Powiedzieć, że były sobie bliskie, byłoby przesadną powściągliwością. Przypominały raczej siostry. Ja to ta trzecia do kompletu. Chodziłam z nimi co wtorek na kawę, towarzyszyłam podczas niedzielnych obiadów u babci, gdzie zwykłą pieczeń wzbogacały kontynentalne rozkosze, uwydatnione dzięki czosnkowi, kuminowi i cynamonowi. Byłyśmy jedyne w swoim rodzaju, niezwykle podobne do siebie z wyglądu, jakby wycięte z tego samego skrawka materiału. Na spotkaniach rodzinnych wyglądałyśmy jak ćmy pośród roju bielinków. Gdy zostałam poczęta, geny mamy z Azji Mniejszej okazały się silniejsze od jasnych włosów i niebieskich oczu taty.

– Chcę ci coś pokazać – mówi matka, prowadząc mnie do swojej sypialni na górze. Podnosi kartonowe pudło i stawia je na łóżku. – Znalazłam to w garderobie twojej babki. Pomyślałam, że mogłybyśmy razem to przejrzeć.

Siedzimy obok siebie, opierając się o wezglowie łóżka, ze skarbem babci między nami. Mama zaczyna szperać w stercie szarych kopert, wysypując z nich zdjęcia, głównie moje: Katerina jak szmaciana lalka w ramionach mamy; wymizerowane dziecko z wystającymi kolanami i warkoczami u ojca na barana; uczennica z aparatem korekcyjnym i przerwami między zębami; absolwentka w czapce uniwersyteckiej i pelerynie wampira; Katerina jedząca późnym rankiem pączka w redakcji „The Echo”, szykująca się, by napisać kolejny artykuł. Babcia zwykła nazywać mnie Katerina *jan*, swoją najdroższą, a miłość i ból mieszały się

w jej oczach, gdy mówiła o wszystkich, których straciła.

W jednej z kopert znajduje się znajoma, porysowana połówka czarno-białej fotografii. To zdjęcie matki babci, Gadariny, mojej imienniczki. Ma lśniące włosy i jest piękna, nosi białą koronkową sukienkę z haftowanym kołnierzykiem. W dniu ślubu miała szesnaście lat; tutaj wpatruje się skromnie w dal. Z pana młodego została tylko dłoń spleciona z dłonią panny młodej. Kopia fotografii stała u babci na kominku, druga wisi na ścianie w domu mamy. To jedyne zdjęcie, które zostało po rodzinie babci, jedyny namacalny ślad po tych, którzy byli przed nami. Rzadko opowiadała o swych krewnych, jakby złożyła ślub milczenia; ta rezygnacja była wystarczająco wymowna. Jeśli kogoś wspominała, to tylko swego brata Gabriela, i to zawsze z niepohamowanym śmiechem. Moją matkę nazwała po nim Gaby i zawsze gdy wsunęłam większą porcję deseru, niż powinnam, mawiała: „Jesteś zupełnie jak Gabriel”.

Mama przerzuca zdjęcia, kręcąc głową.

– Jaka szkoda, że nie ma zdjęcia twojej babki w dniu ślubu. Kiedy byłam mała, ciągle śniłam o sukience mamy, zawsze o tej samej, ściągniętej w talii paskiem z perłami.

Babcia mówiła, że fotograf nie przyszedł na ślub, a nie było pod ręką żadnego znajomego z aparatem.

Mama sięga do pudła, wyciąga notatnik oprawiony w skórę i kartkuje pożółkłe strony.

– Pamiętam matkę piszącą w tym notesie, ale Bóg wie, co tu jest. Wszystko po ormiańsku.

Podaje mi notatnik, a ja przerzucam strony pokryte przy użyciu wiecznego pióra ozdobnym pismem, upstrzone gdzieniegdzie granatowymi kleksami, kartki w linie gęste od liter, które wyglądają jak skrzyżowanie greki i arabskiego; fonetyczny język z alfabetem pochodzącym z 405 roku naszej ery. Ani jedno słowo nie daje się rozpoznać.

– Musimy go oddać do tłumaczenia. Są tutaj daty: 1915, 1918. Pewnie to coś w rodzaju dziennika.

– Błagałam ją, żeby nauczyła mnie swojego języka, ale nie chciała. Mówiła, że to nie ma sensu, że znajomość ormiańskiego nie pomoże mi w życiu. Oddaj ten notes do tłumaczenia, Katerino. Nieważne, ile to będzie kosztowało.

Mama wysypuje zawartość kartonu na łóżko. W workowym płótnie znajduje się drewniana skrzynka wielkości tosterka z powgniatanymi brzegami i porysowanym obrazkiem na wieczku. Egzotyczna para urządziła sobie piknik nad wodospadem w cklwym leśnym pejzażu, gdzie tropikalne ptaki wachlują się skrzydłami. Mężczyzna ma na głowie turkusowy turban, a kobieta jest w żółtym sari, które opada poniżej jednej piersi.

– Wygląda jak kasetka z biżuterią. Mamo, może to upominek na znak

miłości?

– Dlaczego miałyby go chować, jeśli podarował go jej mój ojciec? Obrazek mógł być swego czasu nieco pikantny, ale daleko mu do Kamasutry.

Moje myśli obróciły się ku dziadkowi, najprawdziwшему angielskiemu dżentelmenowi, szanowanemu lekarzowi rodzinnemu, który uwielbiał sztruksy i kardigany z łątami na rękawach, nosił też okulary z połówkowymi oprawkami. Zmarł na raka trzustki dwa lata przed żoną; zostawił ją ze złamanym sercem, cień dawnej Mariam. Był dziesięć lat starszy od babci i często żartował, że wziął sobie młódkę.

– Nie sędzę, żeby to było od dziadka.

– Nie – zgodziła się mama. – Egzotyka nie była w jego stylu.

Otwieram zaśniedziały złoty zatrask i unoszę wieko. W środku upchnięte są koperty lotnicze z niebiesko-czerwonymi obwódkami. Rozkładam je na łóżku, dziesiątki zaklejonych listów bez nazwiska ani adresu. Mama z wahaniem otwiera jeden z nich i wyjmuje kartkę zapisaną w języku babci, która datowana jest na 1928 rok.

– Jak sądzisz, do kogo babcia pisała?

– Miała jedną czy dwie ormiańskie przyjaciółki, ale – o ile mi wiadomo – żadna z nich nie mieszkała za granicą. Myślę, że pytanie brzmi, dlaczego nigdy nie wysłała tych listów.

Otwiera drugą kopertę, list zajmuje stronicę i jest z 1957 roku. Spoglądam na mamę, nie kwapiąc się z wyrażeniem na głos swych myśli. Schowek zawierający listy z co najmniej trzydziestu lat to niezwykle tajemnica.

– Chyba nie myślisz, że miała romans, prawda?

Mama nie jest w stanie się powstrzymać i na samą myśl o tym stają jej w oczach łzy. Zbiera rzeczy babci, chowa je z powrotem do pudła i przesuwa w moją stronę.

– To ty jesteś dziennikarką. Wykorzystaj swoje śledcze umiejętności. Dowiedz się o mojej matce, czego tylko zdołasz. Zrobisz to dla mnie? I proszę, zostaw na razie te listy, nie jestem jeszcze gotowa na żadne przykre niespodzianki.

Zgadzam się pomóc, z ulgą przyjmując, że listy stanowią na razie strefę zakazaną. W dzieciństwie bardzo służyło mi rozwiązywanie łamigłówek: krzyżówki, kostka Rubika, układanki; im mniejsze puzzle, tym bardziej cieszyłam się z wyzwania. Myślałam o pudełku babci jako o jednej wielkiej układance, z którą będę się zmagać i z którą ostatecznie sobie poradzę.

– Chcę ci coś dać. Pamiątkę. – Mama otwiera szufladę nocnej szafki i wyjmuje srebrny zegarek kieszonkowy babci, stuletni czasomierz z białą emaliowaną tarczą i rzymskimi cyframi. – Wiesz, jak był jej drogi. Chciałaby, żebyś go nosiła.

Bawiłam się nim godzinami, otwierając z trzaskiem i sprawdzając jego

mechanizm w nadziei, że znów zadziała. Zegarek należał do ojca babci, Grigora, kluczyk zaginął w okolicznościach, o których nie chciała mówić. Tak mało opowiadała o swej przeszłości, a jeszcze mniej o młodości. Z rzadka, gdy przytłaczała ją nostalgia, wspominała Gabriela i wspólne wygłupy z czasów dzieciństwa, wyznając, jak bardzo go kochała i jak za nim tęskni.

Zegarek stanowi namacalną więź z przeszłością, ogniwo łączące mnie z rodziną babci i jej historią, z moją historią. To ważna chwila, siedzimy z mamą na łóżku, otoczone skarbami babci, które są czymś o wiele ważniejszym niż tylko zestawem niezwiązanych ze sobą przedmiotów. Nigdy nie pojmowałam tak naprawdę całego tego hałasu, który ludzie robią wokół staroci: szpilek do włosów, kapciuchów na tytoń i rozlatujących się kredensów z lepкими szufladami. Teraz rozumiem, że w każdym starociu, nieważne jak wysłużonym, w każdej rysie na każdym z bibelotów wyryta jest ponadczasowa opowieść o czyimś życiu.

## ROZDZIAŁ 3

### MARIAM, ROK 1915

Srebrny łuk księżycyca płonął za oknem mojej sypialni, delikatnie oświetlając szczyt wulkanu Erciyes Dağı. Leżałam obok Gabriela, mego brata, patrząc na ciemniejące nad górą niebo i zastanawiając się, jak wygląda życie po drugiej stronie oblodzonych grani. Czy inne dziewczęta też nie mogą zasnąć, obezwładnione niepokojem i lękiem? Czy sen przynosi im sugestywne koszmary, które prześladują je na jawie? Czy po tej drugiej stronie wojna kładzie się cieniem na życiu? Poprosiłam Gabriela, żeby opowiedział jakąś historię, która pomoże mi zasnąć.

– O czym? O królu, bohaterze czy wilkołaku? A może tę o złym aniele, który sieje spustoszenie na świecie?

– Nie wiem. Sam zdecyduj.

– A może chcesz historię o dniu ślubu?

– Jest zabawna?

– Nie do końca. To opowieść o człowieku, którego ślub nie poszedł zgodnie z planem. Kiedy zmierzał w stronę ołtarza, by pojąć za żonę swą ukochaną, kostucha chwyciła go za gardło żelaznym uściskiem i powiedziała: „Oddawaj mi duszę”. – Mój brat przybrał zachrypły głos Śmierci, szepcząc mi prosto do ucha. – Matka i ojciec pana młodego zaofiarowali swe dusze w zamian, lecz Śmierć odrzuciła ich propozycje, a wtedy jego oblubienica rzekła: „Zamiast jego duszy weź moją”.

– I wzięła?

– Śmierć pochwyciła duszę kobiety jednym gwałtownym szarpnięciem, jakby wyrывała rzodkiew.

– I przepadła na zawsze?

– Nie. Zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Zaimponowało jej poświęcenie dziewczyny, jej manifestacja miłości, oddała więc oblubienicy duszę z powrotem, para wzięła ślub, a przyjęcie trwało przez trzy dni i trzy noce.

Rozluźniłam się na materacu, pocieszona niezwykłym zakończeniem opowieści Gabriela. Przewróciłam się na bok, żeby usnąć, ale gdy mój oddech zrobił się płytszy, Gabriel szepnął mi ochryple do ucha:

– Oddawaj mi duszę.

Krzyknęłam. Roześmiał się i przybliżył do mnie.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem.

Świeca u wezglowia łóżka rzucała na ścianę drżące, złowrogie cienie chyżych duchów i upiorów z wydłużonymi oczyma. Mój strach przenikał przez ściany i szafy, sięgał pod łóżko; przemieniał miauczenie kota w nieludzkie wycie.

Dawniej bałam się mitycznych istot, potworów i widm. Teraz musiałam brać

pod uwagę rzeczywiste zagrożenia: uzbrojonych mężczyzn na koniach, którzy zatapiaли metal w ciele i odjeżdżali, uwożąc ludzi w charakterze łupu.

Turcy połączyli siły z Niemcami i wypowiedzieli wojnę Francji, Wielkiej Brytanii i Rosji. Kilka wschodnich prowincji imperium osmańskiego zajęły już wojska rosyjskie. Rząd obwinił o klęski Ormian, oskarżając nas, że trzymamy z wrogiem. Ormiańskie społeczności stały się celem ataków samozwańczych stróżów porządku, którzy nocami wpadali do miasteczek i wsi, podpalali domy, grabili, uprowadzali kobiety i nastoletnie dziewczęta. Matki zakopywały córki po samą szyję, skrywając je w pośpiesznie usypanych wzgórkach, póki nie minęło niebezpieczeństwo.

– Jak myślisz, jakie to uczucie umrzeć? – szepnęłam. – Wyobrażasz sobie, że matka umiera? Możesz sobie wyobrazić coś gorszego?

W snach na jawie często myślałam o śmierci matki. Jej pogrzeb i czuwanie przy zwłokach wywoływały tak silne i głębokie uczucia, że aż płakałam. Noc stała się ciemnym parawanem, na którym podrygiwały makabryczne sceny jak lalki w teatrze cieni. Zastanawiałam się, czy śmierć przypomina utonięcie w najgłębszym odcieniu czerni. W umyśle odgrywałam opowieść Gabriela, a strach rozsiewał swe podstępne zarodniki.

## ROZDZIAŁ 4

### KATERINA

Kiedy następnego dnia odwiedzam mamę, zastaję ją w rozsypce; popłakuje nad rondlem z przypalonym bulgurem. Kuchnia zagracona jest brudnymi garnkami i obierkami warzyw, w zlewie piętrzy się sterta naczyń, a dom wypełnia chmura dymu. Sadzam więc mamę przy kuchennym barku, robię nam po filiżance słodkiej miętowej herbaty, jaką zwykła przyrządzać babcia, i dodaję garstkę świeżej mięty prosto z ogrodu.

Mama pociąga nosem i ociera twarz wierzchem dłoni.

– Nie wiem, co mnie napadło. Zachowuję się niepoważnie.

– Co się stało?

– Tęsknię za nią, Katerino. Tak bardzo za nią tęsknię. Myślałam, że ugotowanie jej gulaszu jagnięcego przyniesie mi pociechę. Chciałam go zrobić, zanim przyjdiesz. Kupiłam wszystkie składniki, pokroiłam je i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie wiem, co dalej. Jakich używała przypraw. Jak długo gotowała, ile czego dodawała, nic. Robiłam wszystko na wycucie, ale nie smakowało tak samo, mięso było łykowate, więc zwiększyłam ogień i się przypaliło. Potem próbowałam przyrządzić pilaw z bulgurem, ale i to zepsułam. Powinnam była zanotować sobie jej przepisy, dopóki żyła, ale nigdy tego nie zrobiłam i już nie będę miała okazji.

Ja też tęsknię za babcią kuchnią, szczególnie za zapachem jej wywarów, za smakami dzieciństwa, które latami łączyły całą naszą rodzinę. Nigdy niczego nie odmierzała, nie korzystała z minutnika ani nie zaglądała do książki kucharskiej, nie lubiła też, by ktokolwiek mieszał się do jej gotowania.

– Wcale nie zachowujesz się niepoważnie. Oddałabym wszystko, by skosztować jej rosołu.

– Albo zjeść kawałek jej ciasta muszkatołowego.

– A co byś powiedziała na dip z bakłazanem i czosnkiem, choć to chyba nie najlepszy pomysł na posiłek przed randką...

Mama spogląda na mnie z nadzieją.

– To z Robem znów aktualne?

– Wolalabym, żebyś przestała o to pytać.

Powinnam była odczytać znaki, ale za bardzo się zaangażowałam, zbyt mocno skupiłam na usłanej różami przyszłości, by wziąć pod uwagę sprzeczne sygnały. Kosztowne prezenty i niedostępni rodzice; miłosne wyznania i niechęć, by zamieszkać razem – cały szereg krótkich związków. Oszczędziłam mamie szczegółów, zbyt dumna, żeby przyznać się do tego, że dałam się nabrać.

Wspominamy babcię w jej kuchni, pochylającą się nad sosami, mieszającą różany syrop zabytkową drewnianą chochłą, rozcierającą w palcach zioła i sypiącą



je z góry do garnka, radującą się słońcem oświetlającym płatki, które opadają do misek. Jej gotowanie stanowi nasze dziedzictwo tak samo jak zdjęcia w skrzyni skarbów, jest nieodłączną częścią kobiety, którą utraciliśmy. Podobnie jak mama żałuję, że nie poświęciłam temu więcej uwagi, że nie wpychałam się na siłę do jej kuchni. I wtedy mi się przypomina...

– A gdzie ta książka, którą ci kupiłam? *Smaki rodzinnych stron*, chyba tak się nazywała.

– W salonie na półce.

Przynoszę ormiańską książkę kucharską, której od lat nikt nie ruszał, i przeglądam indeks, a następnie otwieram na poszukiwanej stronie.

– Posłuchaj tego: „Gulasz jagnięcy tradycyjnie gotowano pod ziemią w wielkich jamach i podawano z pilawem w dni świąteczne. Jedzenie błogosławiono i ucztowano wspólnie, by upamiętnić zmarłych”. Zrobmy go.

– Dobrze. Zostało nam jeszcze trochę jagnięciny.

Czyścimy ją, kroimy w kostkę, a następnie smażymy, przyprawiając, próbując i postępując ściśle wedle przepisu. Przyrządzamy także ostry pilaw z ryżem i makaronem na przystawkę. Tata zjawia się dwie godziny później, by zastać wysprzątaną kuchnię i gorącą potrawę, która dusi się w piekarniku. Odświeżona prysznicem mama ma róż na policzkach. Siedzimy we troje przy kuchennej ladzie, jedząc widelcami pilaw i rozpływającą się w ustach jagnięcinę z dodatkiem kremowego jogurtu; unosimy kieliszki wytrawnego czerwonego wina, podnosząc się nawzajem na duchu. Posiłek nie do końca dorównuje wyśmienitym potrawom babci, ale blisko mu do nich. Wydaje się, że nie ma lepszego sposobu, by uczcić babcię, kobietę, która ożywała i stawała się sobą właśnie w kuchni. To stosowniejsze niż zwyczajowa czerń i rozmyślanie nad grobem.

W niedzielę rano znów jestem u mamy z torbą wyładowaną bakłażanami, świeżymi papryczkami chili na sznurku i całym warkoczem czosnku.

– Dzisiejszy lunch – oświadczam, wciskając jej w ręce składniki. – Baba ganusz. Sześćdziesiąta trzecia strona.

Zna zasady, więc zmierza do kuchni.

Przez ostatni tydzień wieczorami po pracy marynowaliśmy mięso w oliwie i przyprawach, dusiliśmy rośliny strączkowe, zapiekałyśmy ryby w całości, zawijałyśmy klopsiki, dogadzając sobie sałatką z pszennej śruty z dodatkiem granatu. Siekałyśmy świeże zioła i doprawiałyśmy pikantne przekąski miętą, papryką, estragonem i koprem; dodawałyśmy do deserów wanilię, miód i olejek z kwiatu pomarańczy. Wygrzebałam tłuczek i móździerz mamy i rozcierałam nasiona i lodygi, wypełniając dom leśnymi zapachami. Upiekłyśmy pokrojoną w romby paklawę, a także pudding ryżowy i muszkatołowy biszkopt, dążąc do tego, by przygotować wszystkie dania z książki kucharskiej mamy z potrawami przodków.

Mama kartkuje książkę, odczytuje przepis na baba ganusz, a później przystępujemy do działania, nadziewając bakłażany na szpikulce, przypiekając je nad ogniem, siekając czosnek i całą górę przypraw.

– Co z tłumaczeniem? – pyta mama.

– Podzwoniłam trochę. Czekam na odpowiedzi.

Nic jeszcze nie zrobiłam. Za każdym razem, gdy myślę o dzienniku i listach, przewraca mi się w żołądku i szósty zmysł powstrzymuje mnie przed podniesieniem słuchawki. Z jakiegoś powodu babcia ukryła to, co jest w kartonie. Czy zmarli nie mają swoich praw? Czy wolno nam zagłębiać się w życie, którego celowo przed nami strzegła? Istnieje w nim mroczny czas, którym nie chciała się dzielić z rodziną, stos listów, których nigdy nie mieliśmy oglądać. Zmarła z powodu wylewu w wieku siedemdziesięciu sześciu lat, nagle, bez żadnych sygnałów ostrzegawczych. Czy podzieliłaby się swymi sekretami, gdyby wiedziała, jak zakończy się jej życie? Zastanawiam się nad tym.

Usuujemy pomarszczoną skórę z bakłażanów, wybieramy słodki miąższ ze środka, dodajemy oliwę, przyprawy i pokrojone chili. Potem sadowimy się przy kuchennej ladzie i nakładamy pastę na trójkątne pity.

– Wszystko w porządku, kochanie? Nie wyglądasz dobrze – mówi mama.

Jestem wykończona całym tym dniem, ale nie chcę, żeby uwaga skupiała się na mnie.

– Praca pełną parą. Połowa redakcji nieobecna z powodu grypy.

– Widzę, że kiepsko sypiasz.

Jeśli nie przestanie mi się przyglądać w ten sam sposób co babcia, zaraz się

rozplącę – czuję, jakby mogła odczytać każdą z moich myśli.

– Musisz odpocząć od tego wszystkiego, Katerino. Od pracy, a nawet ode mnie. Może weźmiesz zasłużony urlop? Przecież nie zniknę przez ten czas.

## ROZDZIAŁ 6

### LARNAKA, CYPR. MIESIĄC PÓŹNIEJ

Budzę się przy dźwięku motorowerów wchodzących na najwyższe obroty i nawoływaniach przekupniów natarczywie zachwalających swoje towary. Na bazarze po drugiej stronie ulicy życie wre w najlepsze, na straganach można kupić liście winogron, chrzan, cukinie, potężne bulwiaste pomidory i wielkie pęki warzyw. Króliki i kurczaki zwisają spod daszków opodal niskich stołów wypełnionych górami orzechów i suszonych owoców. Zgiełk sprawia, że choć doskwiera mi kac, czuję się częścią tego świata.

Jaskrawe światło słoneczne wypełnia pokój jak rozwalony na kanapie kot, przykładając ciepłą łapę do mojej twarzy. Chuda noga Jenny zwisa z sąsiedniego łóżka, ślina ścieka jej po policzku i tworzy mokrą plamkę na poduszce. Dla mojej ślicznej blond przyjaciółki nie jest to chwila godna uwiecznienia, ale dzięki temu wygląda niezwykle swojsko. Jenny, główna korektorka w „The Echo”, nie wykazuje się szczególnym wyrafinowaniem, sądząc, że lekiem na utratę babci będzie słońce, morze i mnóstwo tequili w krwiobiegu.

Zerkam na budzik na stoliku i spostrzegam, że przegapiłyśmy zarówno śniadanie, jak i lunch, wliczone w cenę naszych zorganizowanych wakacji. Niewielka strata, ponieważ nasz hotel jest raczej tani niż dobry, serwują tu turystyczny wikt, a karta dań może się poszczycić pozycjami w rodzaju bolognese i skrzydełka w panierce. Już od trzech dni żywimy się śmieciowym jedzeniem: tłustymi kanapkami, hamburgerami i lodami z amerykańskich sieciówek, które skolonizowały obsadzoną palmami promenadę w Larnace, rzut beretem od naszego hotelu. Codziennie budzę się z zamiarem, by znaleźć przytulny zakątek odwiedzany przez miejscowych, i nieodmiennie kończę w jakimś wyłożonym marmurem, klimatyzowanym, pozbawionym wyrazu lokalu, poprzestając na dobrze znanych daniach i obserwując, jak za oknem przepływa życie.

Wyłożona płytkami podłoga parzy mi stopy, gdy idę do okna, by popatrzeć, co dzieje się na zewnątrz. Mężczyźni zbierają się w pobliskiej kawiarni, żeby pić grecką kawę z małych filiżanek, przesuwając w palcach sznury paciorków. Przechodzi rzeźnik z przewieszoną przez ramię koźlą tuszą. Wysuszony staruszek pcha ciężki wózek poprzecinaną koleinami ulicą, by przystanąć przed hotelem i chrapliwym głosem oferować jogurtowy napój z miętą.

Jenny budzi się, ziewa i wyciąga patykowate ręce.

– Cześć, laska – mówi z łokciami na wysokości głowy. – Dobrze spałaś?

Mamrocze jakąś nieszczerą odpowiedź, bo prawdy nie da się streścić w typowo wakacyjnej formułce. Nawet po sześciu mojito miałam problemy z zaśnięciem. Z dala od domu odczuwam jakąś dziwną histerię.

Jest dżdżyste marcowe popołudnie i słabowite słońce wygląda przez luźną

pokrywę chmur. Mimo to jest bardzo przyjemnie – osiemnaście stopni. Ulegamy wraz z Jenny zwyczajowi i zamawiamy potrójne kanapki, a do tego po dwie gałki lodów truskawkowych. Naszym następnym przystankiem jest plaża po drugiej stronie ulicy, gdzie wylegujemy się z podciągniętymi spódnicami i okularami przeciwsłonecznymi w pogotowiu, zdeterminowane, wbrew przeciwnościom, by się opalić. Miejscowi mają na sobie kurtki i buty, podczas gdy garstka głodnych słońca Północnoeuropejczyków wypoczywa w jaskrawych szortach i słomkowych kapeluszach.

Kilka godzin później wciąż leżymy na plaży; nie zrobiło się pochmurniej, ale jest zdecydowanie zimniej i musimy się napić czegoś rozgrzewającego. Jenny rusza w stronę irlandzkiego pubu, całego w jasnym drewnie sosnowym, który działa jak magnes na turystów i emigrantów. Angielszczyzna płynie tu nieprzerwaną rzeką, jak guinness. Proponuję, byśmy wyprawiły się na miasto poszpendać się bocznymi uliczkami. Idziemy pod rękę wzdłuż wybrzeża, obok hoteli, kawiarni z ogródkami i restauracji, a nowoczesna architektura wciska się między tradycyjną jak licówka obok wyszczerbionego zęba. Na jednym końcu promenady jest stary kamienny fort, na drugim komora celna z czasów kolonialnych, naprzeciw niej zaś znajduje się uroczę drewniane moło, gdzie tutejsi przewodnicy oferują wycieczki łódkami z przezroczystym dnem, podczas których można wędkować, nurkować albo pozwiedzać. Miasteczko ma mnóstwo staroświeckiego wdzięku, zza plastikowych markiz i neonów wyzierają ślady burzliwej wyspiarskiej przeszłości.

Na głównej ulicy w pobliżu nadmorskiego bulwaru zerkamy na wystawy i wygłaszamy uwagi na temat miszmaszu oferowanych towarów. Typowa pożywka dla turystów: przyozdobione muszlami pudełeczka i bezrękie Wenus z Milo uwiecznione w brązie i gipsie. Przykurzone sklepiki z butami stoją obok salonów ze szklanymi witrynami, gdzie sprzedaje się skórzane wyroby prosto od projektantów.

Idziemy wąską uliczką, chodniki znikają, sklepów jest mniej, wpadamy przypadkiem na budynek z kamienia w kolorze ochry z solidnymi drewnianymi drzwiami. Kilka wypucowanych na błysk motocykli stoi na poboczu i wystarczy rzucić okiem przez nisko osadzone okna, by wiedzieć, że młodzi tubylcy spędzają wieczory właśnie w tej stylowej knajpce. Jenny rusza w stronę drzwi, a ja z ociąganiem podążam za nią, żałując, że wyciągnęłam ją z pubu, w którym można być ubranym, jak się chce, a barman wita nas drinkiem na koszt firmy.

W drodze do baru moja przyjaciółka kołysze biodrami jak hipnotyzer wahadłem; idę w jej ślady, choć czuję się zdecydowanie nie na miejscu. Ta knajpa to zupełnie inny świat w porównaniu z nadmorską tandetą, gdzie Grek Lotharios podrywa turystki. Mężczyźni nie zwracają na nas uwagi, nawet na Jenny. Za to zerkają na nas kobiety z lśnącymi włosami, manikiurem i dobrze dobranymi dodatkami. Uspokojone naszym zaniedbanym wyglądem wracają do swych

drinków, otoczone chmurą dymu.

Siadamy przy wolnym stoliku w rogu. Leci grecka piosenka. Nie z typowym optymistycznym riffem buzuki, ale jakaś dziwniejsza, z zapadającym w pamięć męskim głosem i akustyczną gitarą. Po raz pierwszy od przyjazdu mam wrażenie, że zeszyliśmy z utartego szlaku i zasmakowałyśmy prawdziwego życia wyspy. Jenny gestem wskazuje mężczyznę przy sąsiednim stoliku.

– Nie wyjdę, dopóki nie postawi mi drinka – mówi.

– Jedna kolejka i spadam stąd, Jenny. Muszę się wcześniej położyć.

Pół godziny później mężczyzna przysiada się do nas na dobre. Ma na imię Nico, a jego przyjaciel, który dołączył do nas z pewną niechęcią, wydusił z siebie coś, czego nie miałam ochoty usłyszeć. Nico i Jenny gadają ze sobą, a ja spoglądam z zakłopotaniem na jego znajomego, którego melancholijna uroda wydaje się zupełnie przeciętna w cieniu zupełnie zaangażowanego kompana. Nico jest nie tylko przystojny, lecz także bystry, zrobił magisterium z zarządzania w London School of Economics. Znajdowałam się w takiej nieprzyjemnej sytuacji więcej razy, niż mogłabym spamiętać, tworząc parę z tym mniej interesującym z kumpli. Pora się zbierać.

– Wracam do hotelu, Jenny. Padam z nóg.

– Nie ma sprawy – odpowiada ona, nie spuszczać wzroku z Nica, ten zaś zwraca się do przyjaciela:

– Może podrzuciłbyś Katerinę do hotelu?

Dochodzi do ostrej wymiany zdań po grecku, przyjaciel nazywa Nica palantem, za to, jak sędzę, że chciał z niego zrobić taksówkarza, ale ja nie czekam dłużej. Pożegnawszy się zdawkowo, zmierzam w stronę drzwi, przeciskam się przez chmarę ludzi przy barze, a na zewnątrz próbuję się zorientować, gdzie jestem, zanim ruszę wąską ulicą, przy której stoją wiekowe jednorodzinne domki. Nie ma tu latarni ani chodnika, a zza obdrapanych okiennic widać nikłe oznaki życia. Słyszę za sobą niskie buczenie silnika i odnoszę wrażenie, że jestem śledzona, na karku coraz wyraźniej czuję gęsią skórę. Motocykl mija mnie powoli i zatrzymuje się kawałek przede mną, kierowca odwraca się, by spojrzeć przez ciemną osłonę kasku. Grzebię w torebce w poszukiwaniu klucza do pokoju, gotowa do ataku ściskam go w pięści, przeklinając Jenny za to, że zostawiła mnie, bym radziła sobie sama. Motocyklista podnosi osłonę kasku. To kumpel Nica. Kiedy proponuje podwózkę, od razu się zgadzam.

– Nie dosłyszałem, jak masz na imię – mówi.

– Katerina. A ty?

– Ara.

– Nie brzmi po grecku.

– I nie jest greckie. Jestem Ormianinem.

To proste oświadczenie sprawia, że podczas krótkiej przejażdżki do hotelu

szumi mi w głowie. Zrządzenie losu i upodobanie Jenny do przystojnych mężczyzn zrobiły mi prezent, dając klucz do odkrycia sekretów dziennika, który trzymam wraz z zegarkiem w torebce, by mieć przy sobie cząstkę babci. Ara zatrzymuje się pod hotelem, a ja zsiadam z motocykla, zastanawiając się, jak sformułować pytanie, które muszę zadać.

– Moja babka była Ormianką.

Jego poważna twarz ożywia się na to wyznanie.

– Zmarła niedawno – ciągnę. – Nie wiem, czy mogłabym cię poprosić o przysługę.

Pokój hotelowy ma podstawowe wyposażenie. Dwa wąskie łóżka oddziela porysowany brązowy stolik i niezbyt zachęcające metalowe krzesło. Siedzimy na łóżku obok siebie, ale nie ma między nami skrępowania. To oficjalne ustalenia, a nie zaproszenie do przelotnej przygody. Ara przegląda notes babci, oczy mu się rozszerzają, gdy czyta na głos krótkie fragmenty po ormiańsku. Zgadza się wcielić w rolę tłumacza i nie wyraża sprzeciwu wobec nagrywania go na dyktafon. Mówi, że dziennik to opowieść o życiu babci od 1915 roku. Zaczyna niepewnie, zanim nabierze odpowiedniego tempa, zabierając mnie w podróż do wschodniej Turcji, gdzie życie siedmioletniej dziewczynki zaczęło rozłazić się w szwach. Opisuje przejażdżkę konnym powozem, a potem przygotowania do ślubu sąsiada, zaplanowanego na dzień Świętego Sarkisa.

## ROZDZIAŁ 7

### MARIAM, ROK 1915

Siedziałam z Gabrielem pod pomarańczą, obserwując jak Gadarina, moja matka, podgrzewa cukier i pastę sezamową w miedzianym garnuszku. Powietrze wypełnione było zapachem kwiatu pomarańczy, olejkiem, którego używała, by nasycić aromatem desery, skórę, ubrania i włosy. Chwyciła garnek za uchwyty, zaniosiła go do kuchni i postawiła na podłodze. Poszliśmy za nią, wabieni słodką mgiełką.

Matka uformowała na blacie kopczyki z nasion sezamu, w każdym z nich zrobiła palcem dziurkę, do której naląła po łyżce gęstego syropu. Zasypała kopczyki większą ilością sezamu, ugniatając je dłonią w kulki, na środku umieściła połówkę orzecha włoskiego, obtoczyła orzech w mieszance i odcięła oba końce kopczyków, by nadać przysmakowi kształt prostokąta. Z werwą obtaczała, ugniatała i kroїła, dopóki nie zużyła wszystkich składników i na ręcznie malowanym talerzu nie wypiętrzyła się góra kostek chałwy. Matka spędziła rano, przygotowując potrawy na jutrzejszą ucztę weselną. Ester, córka bliskich znajomych, wychodziła za mąż, a zwyczajowy sąsiedzki wkład w postaci potrawki z jarzynami przygotowano na długo przed uroczystością.

Podziwiałam zręczność mamy, jej silne, zgrabne dłonie, które potrafiły wyszywać, splatać warkocze, zagniatać ciasto, lepić pierogi, czyścić srebro na wysoki połysk i prać ubrania w kamiennej umywalce. Matkę wybrał sam jej zmarły teść ze względu na urodę i biegłość w domowych sprawach; wyrwał ją z prostej wiejskiej rodziny i przeniósł do luksusowego miejskiego domu w Cezarei. Mój ojciec był zachwycony przyszłą żoną, zauroczyły go jasnozielone oczy i bijąca od niej aura cichej siły.

Nasza sąsiadka, Ester, była córką aptekarza, człowieka bogatego i wpływowego. Tygodniami czekaliśmy na jej ślub, tańce i muzykę, na szansę, by odłożyć na bok nasze zmartwienia. Gabriel marzył o słodyczach, którymi miały być zastawione aptekarskie stoły. Data ślubu pokrywała się z dniem Świętego Sarkisa, patrona młodości i miłości. Dziewczęta jedzą wówczas przed snem słone ciasteczka, żeby wywołać pragnienie w nadziei, iż przyszły mąż odwiedzi je we śnie, przynosząc wodę. Dzień Świętego Sarkisa wyznaczał też początek paregentanu, okresu dobrego życia i świętowania, wystawnego, wzdymającego brzuchy preludium do Wielkiego Postu i czterdziestu dni wyrzeczeń. Uwielbiałam rytuały paregentanu, czas uczt i zabaw, kiedy dawano i otrzymywano prezenty. Tygodnie te wypełnione były po brzegi weselami i chrztami, ponieważ wszyscy pragnęli wykorzystać dobrą wolę ludzi i wzmocnić świąteczny nastrój. Odbywało się wtedy Święto Wilków, dzień jedzenia i sprzątanania, by uwolnić okolicę od bezpańskich psów, po nim zaś następowała mysia fiesta, kiedy kobiety odkładały



na bok igły do cerowania, aby powstrzymać gryzonie przed podgryzaniem ich ubrań.

Innym powodem do fetowania było zwolnienie z więzienia piekarza. Jego prawnik, Wasag Karabetian, użył swych wpływów, by go wypuszczono; uciekł się nawet do tego, że spróbował chleba, który wedle władz został zatruty, i nie poniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu. Wszyscy słyszeli o tym, jak natychmiastowa reakcja mojego ojca uratowała życie Kalfajana, gdy ten połknął język. Babę okrzyknięto bohaterem, lecz mnie prześladował obraz głowy piekarza uderzającej o kocie łby.

Matka zaproponowała nam po kawałku chałwy w nagrodę za moją cierpliwość. Krucha słodycz w ustach szybko przybrała konsystencję kremu. Gdy matka była odwrócona plecami do nas, Gabriel porwał jeszcze dwa kawałki i z szelmowskim błyskiem w oczach dał mi jeden. Zjedliśmy po cichu, powstrzymując śmiech, połknęliśmy ostatnie kleiste kęsy i zaskomliliśmy o więcej, ale matka sprzątnęła nam talerz sprzed nosa i wyprowadziła nas z kuchni.

## ROZDZIAŁ 8

### KATERINA

Nazajutrz późnym rankiem leżę w łóżku, poruszona historią babci. Żałuję, że nie mogę podnieść słuchawki i porozmawiać z nią, raz jeszcze usłyszeć jej głosu. Zawsze była dla mnie wsparciem, wdzięcznym, obiektywnym słuchaczem w czasach, gdy jako nastolatka kłóciłam się z matką, i doradczynią w sprawach sercowych. Była jedną z osób, które posiadają tę rzadką umiejętność mówienia tego, co trzeba, sprawiania, że przezwyciężasz zaślepienie, jakby wszystko już widziała i wiedziała, co tak naprawdę się liczy. Rady, których udzielała sporadycznie, płynęły z miłości i współczucia.

Dzwoni telefon obok łóżka. To Ara z hotelowej recepcji. Mówi, że chce mnie gdzieś zabrać. Wciągam džinsy, zostawiam Jenny liścik i idę do windy. Ara czeka na zewnątrz, przysiadł na motocyklu. Wręcza mi kask i oznajmia, że jedziemy do jego matki na niedzielny obiad. Moje protesty zagłusza budzący się do życia silnik. Typowa śródziemnomorska gościnność posunięta o krok za daleko.

Na szczęście przejażdżka trwa krótko, ledwie dziesięć minut od centrum miasteczka do dzielnicy mieszkaniowej, gdzie nowo postawione bloki stoją obok nędznych domków, sąsiadując ze świeżą bielą willi. Niektóre domy mają dwuspadowe dachy, podczas gdy z innych – czekających na dobudowanie drugiego piętra – wyrastają metalowe pręty. Ara zatrzymuje się przed krytym terakotą schludnym domem z zadbanym ogrodem, pełnym drzew cytrusowych i patykowatych oliwek w glinianych donicach. Na ulicy zaparkowane są samochody, a drobna, urodziwa kobieta stoi przy furtce.

– To moja matka, Arpi – mówi Ara, gdy zbliżamy się do bramy. – Mamo, to Katerina.

Arpi ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie w oba policzki, zostawiając na nich woskowate smużki szminki.

– Syn mówi, że jesteś Ormianką.

Kusi mnie, by powiedzieć, że jestem Angielką, wychowaną w angielskim domu przez ojca Anglika spod Londynu i matkę, która dorastała w dawnym miasteczku przemysłowym na skraju Peak District.

– Moja babka była Ormianką.

– Na jedno wychodzi, moja droga.

Bierze mnie za rękę i prowadzi przez korytarz do staromodnej jadalni. Wokół stołu z ozdobną zastawą i parującymi półmiskami siedzą goście: małe dzieci, dwaj mężczyźni o marsowych obliczach i kilka kobiet. Walczę z pragnieniem, by przeprosić i wrócić do dobrze znanej, łatwej swojskości moich zorganizowanych wakacji i swobody niedzielnego lunchu składającego się ze smażonych kalmarów jedzonych w towarzystwie Jenny. Ładna młoda kobieta

o kruczoczarnych włosach i pełnych ustach odpowiada zabójczym spojrzeniem na mój uśmiech.

Arpi prowadzi mnie do stołu.

– Drodzy, to Katerina, młoda dama, o której opowiadał nam Ara.

Wszystkie oczy obracają się ku mnie, sprawiając, że się rumienię. Ara odsuwa krzesło, siada obok mnie i zaczyna mi podsuwać domowe przysmaki. Zostaję przedstawiona ojcu Ary, jego siostrze, jej mężowi, ich dzieciom, przyjacielom rodziny i ich córce Nazeli, młodej dziewczynie z czarnymi włosami. W końcu Arpi podnosi grubawego kota, Apolla, a ja ściskam mu łapę.

– W porządku? – pyta Ara.

Kiwam głową.

– Spróbuj gulaszu jagnięcego mojej matki i będzie dobrze. – Ara nakłada mi mięsa z niebiańsko pachnącym, gęstym sosem.

Biorę pierwszy kęs – delikatna jagnięcina rozpływa się w ustach, ostry sos przyjemnie pali, przenosząc mnie z powrotem do kuchni babci i szczęśliwych czasów. To chwila prawdziwej rozkoszy, hojnie wynagradzająca zakłopotanie. Na stole jest więcej smakolyków, którymi można się delektować. Ara napełnia mój talerz smakami i kształtami, które swego czasu uświetniały nasze niedzielne obiady: liśćmi winorośli nadziewanymi ryżem i orzeszkami piniowymi, kiełbasą czosnkową, keoftą smażoną na głębokim tłuszczu i pastą bakłażanową. Ojciec Ary nalewa mi kieliszeczek raki i zalega cisza, gdy wypijam go jednym haustem, a potem wciągam powietrze, by schłodzić płonące gardło. Wszyscy wybuchają śmiechem, poza Nazeli, która zdaje się mnie nie lubić.

Mówią do mnie, rozmawiają ze sobą po grecku, angielsku i ormiańsku. Po drugim kieliszku raki znikają moje zahamowania i gadam swobodnie, jakbym znajdowała się w gronie starych znajomych, ciesząc się żartobliwymi przekomarzaniami, zachwycona, że doświadczam samej istoty wyspiarskiego życia.

Dzieci niespecjalnie zważają na etykietę, sięgając po dokładki i bawiąc się jedzeniem. Obiecuję sobie, że jeśli też będę miała dzieci, nie będę ich krępowała zasadami zachowania się przy stole. Po obiedzie pora na całą gamę deserów. Zaraz się rozpęknę, ale nie mogę się oprzeć paklawie oblanej syropem, prawie tak pysznej jak babcina. Arpi mówi, że stuletni przepis przekazywany jest z pokolenia na pokolenie; to niefortunne przypomnienie, że nasze rodzinne przepisy przepadły wraz z babcią. Na stole pojawia się kawa, słodka i gęsta – idealne zakończenie wysmienitego posiłku.

Po obiedzie dowiaduję się, że Cypr jest domem dużej ormiańskiej diaspory, która ma własne kluby towarzyskie, kościoły, szkoły i cmentarze. Pielęgnuje się tu tradycje, a młodych zachęca do zawierania małżeństw w obrębie społeczności.

– Opowiedz nam o swojej ormiańskiej rodzinie – prosi ojciec Ary,

wprawiając mnie w załopotanie.

– Niestety, wiem bardzo mało.

– Katerina wybrała się w podróż do źródeł.

– Jak brzmiało nazwisko rodowe twojej babki? – pyta Arpi.

– Nie mam pojęcia.

– Nie wiesz, jak nazywała się rodzina twojej babki? – ton głosu Nazeli jest kąśliwy.

– Z jakiego regionu starego kraju pochodziła? – pyta Arpi.

O pomoc zwracam się do Ary.

– Jej babka pochodziła gdzieś z okolicy Erciyes Dağı. Widziała górę z okna sypialni, a jej ojciec był doktorem.

Matka Ary jest pod wrażeniem.

– Musiała pochodzić z bogatej, wykształconej i kulturalnej rodziny.

– Dowiemy się więcej, gdy wrócimy do lektury – mówi Ara. – Jesteś gotowa zabrać się do dzieła, Katerino?

– W tej chwili?

Zastanawiam się, czy oczekuje, że podzielę się tajemnicami mojej babci w pomieszczeniu pełnym ludzi, których prawie nie znam.

– Zabierz Katerinę na werandę, tam nikt wam nie będzie przeszkadzał – mówi Arpi.

Nazeli fuka z irytacji i dla wszystkich jest jasne, że nie jest zbyt zadowolona. Nie potrzeba geniusza, by zgadnąć dlaczego. Kiedy idę za Arą, celowo lekko dotykam jego ręki i czuję pomruk zielonookiego potwora, który daje o sobie znać za moimi plecami.

Weranda wychodzi na śliczny, zarośnięty ogród, drzewa owocowe obsypane są cytrynowym kwieciem. Gdy Ara kartkuje dziennik, zapoznając się z historią, którą niebawem opowie, rozmyślam nad jego stosunkiem do Nazeli. W trakcie obiadu nie okazywał nią żadnego zainteresowania, podczas gdy ona chłonęła każde jego słowo i rzucała mi zmijowate spojrzenia. Wzrok Ary spotyka się z moim i przez ułamek sekundy w naszych oczach widać zainteresowanie, które wykracza poza przyjaźń. Sięgam dłonią, by pogłaskać Apolla, jego ogon wije się wokół moich kostek, pragnę, by z moich policzków zniknął rumieniec.

## ROZDZIAŁ 9

### MARIAM

Włożyłam moją ulubioną koronkową sukienkę z jedwabną szarfą i nowe kremowe pantofelki z modnymi obcasami. Buty sprawiły, że czułam się wytworna, starsza niż moje siedem lat. Jak zawsze w kieszeni miałam amulet, pocierałam go kciukiem i palcem wskazującym, wierząc, że ma moc zdolną mnie ochronić. Matka zaplotła mi ciasno warkocze, związała je czerwoną wstążką, a Baba dał mi świąteczny prezent – lakierowaną skrzynkę na przyprawy, taką jak mamina, sygnał, że mama wkrótce nauczy mnie sekretów swej kuchni. W środku było sześć przegródek, każda z nich wypełniona po brzegi różnymi przyprawami: ciemnoczerwonymi, ochrowymi, zielonymi – pikantnymi klejnotami. Na wieczku mężczyzna w turbanie i kobieta w żółtych jedwabiach urządzili sobie piknik. Para siedziała na jaskrawym kocu na łące pełnej wiosennych kwiatów u stóp huczącego wodospadu. Podarek wydał mi się cudowny i wiedziałam, że na zawsze stanie się dla mnie cenną pamiątką.

Do domu panny młodej wybraliśmy się na piechotę: rodzice, Gabriel i mój szesnastoletni brat Towmas. Był wysoki jak na swój wiek i zaczął obracać się wśród mężczyzn. Szliśmy ulicą zamieszkaną przez miejscowych bogaczy: kupców, posiadaczy ziemskich, uczonych, którzy zdobyli wykształcenie we Francji, Belgii i Ameryce. Aptekarz mieszkał w trzypiętrowym domu z balkonem z kutego żelaza i solidnymi drewnianymi drzwiami. Gdy przybyliśmy, były otwarte, goście i muzycy tłoczyli się już w przestronnym przedpokoju, podziwiając państwa młodych. Ester miała na sobie jedwabną suknię, którą jej matka szyła przez szesnaście miesięcy. Perełki zdobiły brzegi rękawów długości trzy czwarte, u góry przypięty był jedwabny bukiet, a spod dobrze dobranego welonu uciekał rudy lok.

Panna młoda podeszła do drzwi, opierając się na ramieniu Dżiwana, narzeczonego, ale wyjście zagroził jej brat Diran, ze sztyletem na wysokości piersi. Był roslym, dobrze zbudowanym młodzieńcem z gęstym wąsem; sprawnie posługiwał się tradycyjną bronią.

- Nie ominiesz mnie. – Machnął Dżiwanowi sztyletem tuż pod nosem.
- Odsuń się! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Wypuść ich.
- Niech najpierw zapłaci, a być może zmienię zdanie.
- Ile chcesz?
- Tyle, ile według ciebie jest warta moja siostra. I jeszcze trochę. Czasy są ciężkie.

Diran uśmiechnął się i pogładził swoją dłoń, a przez dom przetoczyła się fala śmiechu. Zapłata była symboliczna, teatralny rytuał, który oglądałam wielokrotnie. Ojciec chrzestny Dżiwana wysunął się naprzód:

– Oto twoje pieniądze. Odsuń się teraz, Diranie, i odłóż ten sztylet.

Wręczył Diranowi zwitek banknotów, gdy zaś młodzieniec się odsunął, powietrze przeszył dźwięk zurny<sup>1</sup>. Chwilę później bębniarz zaczął walić pałeczką w wielki dhol, a zarażeni rozpędzoną melodią zurny i głuchymi odgłosami dholu goście klaskali w ręce i podrygiwali. Nikt nie tańczył z większym zapalem niż aptekarz, uszczęśliwiony tym, że jego córka wchodzi do powszechnie szanowanej rodziny. Jedynie Towmas był nadąsany, stał z założonymi rękoma. Stracił dziewczynę, którą kochał.

Matka Ester, Lousine, popłakiwała w chusteczkę, a kobiety zaczęły śpiewać tradycyjną piosenkę o smutku córki opuszczającej rodzinny dom; melancholijną nutę podchwyciły zurna i dhol.

Para wyruszyła do kościoła pieszo, stąpając po płatkach róży, którymi kobiety wysypały drogę. Sznur gości weselnych wił się wąskimi uliczkami miasta, podążając śladem muzyków. Porwało mnie morze ludzi i wspólne śpiewy grupki kobiet o uroczych, kuszących głosach. Śpiewały, że Dziwan jest królem, przystojnym i silnym, a Ester królową. Dziwan jest słońcem, Ester księżycem, dziewczęciem pobłogosławionym urodą i wdziękiem.

Orszak weselny powściągnął swą radość w kościele Świętego Grzegorza. Ciemne wnętrza oświetlały świece i snopy jasnego światła wlewające się przez witraże. Rozpoczęło się nabożeństwo, w którym ksiądz harmonijnie wspierali diakon i chórzysta. Ksiądz przechodził od przytłumionych pomruków do teatralnego grzmienia, a chórzysta odpowiadał z równie melodyjną sprawnością jak zurna. Patrzyłam, jak duchowny łączy prawe dłonie Ester i Dziwana, by symbolicznie przedstawić ich związek, a potem umieszcza na ich głowach kwietne korony, czyniące ich władcami własnego królestwa. Para wymieniła obrączki i napiła się wina ze złotego kielicha na znak zobowiązania, by dzielić życiowe radości i niedole. Kazanie raz docierało do mojej świadomości, raz jej umykało. „Alleluja, Alleluja. Bądźcie piękni, mnożcie się i wypełniajcie ziemię... Panie, dozwól im żyć w spokoju i długo cieszyć się tym światem”.

## ROZDZIAŁ 10

### KATERINA

Nazajutrz Ara znów tu jest i pyta, czy chciałabym zobaczyć jego miejsce pracy. Ma na sobie dzinsy przetarte na kolanie, zza materiału wyziera oliwkowa skóra, jego włosy to spleciona strzecha w kasztanowym odcieniu opromieniana porannym słońcem. Wskakuję na motocykl, lekceważąc trzepot w piersi, gdy obejmuję go w pasie. Jedziemy z kaskami zwisającymi w dłoniach, ciesząc się luksusem świeżego powietrza. Mijamy knajpkę, w której się poznaliśmy, i skręcamy w wąską uliczkę, wzdłuż której stoją budynki mieszczące kawiarnię, galerię i zakład ramiarza. Ara zatrzymuje się przed dwuskrzydłowymi drzwiami z pięknie odnowionego drewna, zaryglowanymi lśniąca zasuwą z kutego żelaza. Parkuje na poboczu pod innym rustykalnym wejściem. Uśmiecha się niecierpliwie, gdy podnosi staroświecki klucz. Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, by odsłonić czarujący ogród z rzeźbami. Masywne kamienne rzeźby rozsiane są na dziedzińcu ukwieconym pelargoniami w doniczkach, bazylią i szeregiem bulwiastych kaktusów.

– Witaj w moim biurze – mówi.

– Jesteś...?

– Uzależniony od kamienia. – Ręka Ary spoczywa na mojej talii, wciąga mnie w jego świat, w chropowatą, złożoną szczegółowość.

Nieopodal stoi dwumetrowe marmurowe jajo, a obok niego sięgająca do pasa postać z kwadratowym nosem, płaską twarzą i kolanami podciągniętymi do piersi. Głaszczę ziarnistą powierzchnię kamienia.

– Jaka jest jego historia?

– On to ona, naguska zainspirowana sztuką cykladzką, dziełami pogańskich Greków. To odrzut. Większość rzeźb tutaj jest w jakiś sposób wybrakowana, ale jestem do nich bardzo przywiązany.

Siedzimy w głębi ogrodu na dziwacznej ławce z wapienia, z zaokrąglonym oparciem i masywnymi, rzeźbionymi nogami. Chłód gładkiego kamiennego siedzenia na gołej skórze moich nóg.

– Ty ją zrobiłeś?

Ara odwraca się, jego oczy są na odległość dłoni.

– Podoba ci się?

– Trochę jakby Gaudi spotkał się z Flinstonami.

– To wymijająca odpowiedź.

– Zarabiam na życie pisaniem i dla zasady staram się unikać truizmów.

– Powiedzieć, że coś się kocha, to truizm?

– Nadużywa się tego słowa, rzuca się nim na lewo i prawo, większość ludzi nie wie, co znaczy kochać.

W moim głosie jest gorycz, której nie mogę powstrzymać, i jego twarz pochmurnieje, ale Ara nie jest wścibski, a nawet gdyby był, nie wyjawiałabym powodów swego cynizmu. Moje zawody miłosne nie są tematem na pogawędkę ze znajomym. Mówię sobie, że gdy zadanie Ary dobiegnie końca, znajdę dla niego jakiś artystyczny prezent na znak wdzięczności, rozstaniemy się, wymieniwszy uścisk dłoni, i wrócimy do naszej codzienności, oddzieleni dwoma tysiącami mil. Sięgam do torby po dziennik babci, a on odczytuje aluzję i odsuwa się ode mnie. Pierwsze linijki wrzucają nas z powrotem w wir wesela, goście wysypują się z kościoła prosto w jaskrawe słońce i zacierają do domu pana młodego na przyjęcie.



## ROZDZIAŁ 11

### MARIAM

Na progu jej nowego domu Ester przywitały podarunki, potem mężczyźni oddalili się chyłkiem, by pić raki i żartować z siebie nawzajem dowcipnymi przyspiewkami. Półmiski z jedzeniem ustawiono na długim stole na podwórku za domem. Pieczeń jagnięca faszerowana pszenną śrutą i przyprawami, miękkie pity, kremowy jogurt w glinianych garnuszkach. Gołąbki z ryżem i mięsem. Patila, ułożone warstwami kawałki ciasta z masłem i serem. Moja matka przyrządziła swój słynny kuluk, potrawkę jagnięcą, i kilka deserów, w tym chałwę i pkhpkhig, słodkie kulki smażone w głębokim tłuszczu i skropione miodem. Paklawę przywiózł wcześniej tego dnia turecki cukiernik, leżała obok słonych ciasteczek.

Goście wlewali się przez drzwi wejściowe, komentując cudowne zapachy. Siedziałam z Gabrielem w cieniu gruszy, pałaszując słodczyce. Przyjaciele i krewni utworzyli małe grupki albo ułożyli się na miękkich poduszkach, podczas gdy muzycy odpoczywali w kucki, popijając herbatę. Nasza sąsiadka Nwart rozpuszczała plotki o dzieciach innych, lustrując odpowiednich dla swych córek kawalerów do wzięcia. Ojciec stał w gronie mężczyzn, którzy zgromadzili się wokół prawnika Karabetiana. Baba włożył czarny frak, z butonierki zwisła mu dewizka srebrnego kieszonkowego zegarka, zakupionego w Genewie w dniu ukończenia studiów. Był pierwszym doktorem w rodzinie Arakelianów i miał nadzieję, że nie będzie ostatnim.

„Nie ma nic szlachetniejszego niż uratowanie komuś życia – mawiał. – Nie ma nic bardziej satysfakcjonującego niż łagodzenie czyjegoś bólu”. Jego intuicyjny umysł łaknął intelektualnych wyzwań stawianych przez zawód lekarza. W nocy często pracował nad medycznymi zagadkami, głowił się nad przypadłościami, które próbował zdiagnozować za dnia, szukając odpowiedzi w swym księgozbiorniku, dopóki ich nie znalazł. Zamiłowanie Baby do pracy było zaraźliwe i wcześniej złapałam bakcyła, kartkując dokumenty medyczne, które zostawiał na biurku.

W mieście był szanowany; leczył zarówno Turków, jak i Ormian, biorąc niższe honoraria od biedniejszych pacjentów. Na ulicy gromadzili się wokół niego ludzie, chłonęli każde jego słowo. Nie bronił dostępu do siebie, żadna pora dnia ani żadne miejsce nie były dla niego święte. Wybierał się do kościoła albo siedział w kawiarni, a chorzy i neurotycy podążali w jego stronę, trzymając się kurczowo za brzuch, narzekając na ból gardła albo żołądka i oczekując natychmiastowego wyleczenia.

Głos Karabetiana niósł się przez podwórze.

– Mężczyźni znów rozmawiają o polityce – powiedział Gabriel.

– Mam już tego po dziurki w nosie.

– Świat pograżył się w wojnie, Mariam. Spodziewasz się, że będą omawiać ceny melonów?

Przysłuchiwaliśmy się gniewnym przemowom.

– Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Obóz nacjonalistów zyskuje poparcie rządu, a my nie mamy pośród nich żadnych przyjaciół.

Karabetian wypowiadał się najbardziej otwarcie spośród mężczyzn, najżywiej krytykując osmański rząd i najaktywniej angażując się w walkę o prawa Ormian. Był powszechnie szanowany, miał wpływowych tureckich znajomych, a w kwestii reform zwracał się bezpośrednio do przedstawicieli liberalnego skrzydła w rządzie. W sprawach przeciwko państwu reprezentował Ormian, którym niezgodnie z prawem odebrano ziemię i nieruchomości i których słowo miało znacznie mniejsze znaczenie niż słowo muzułmanina z ręką na Koranie.

– Prawo nie jest w stanie nas ochronić – powiedział Karabetian. – Może to zrobić tylko pistolet. Przyjaciele, nalegam, żebyście wszyscy na wszelki wypadek mieli pod ręką naładowaną strzelbę.

– Ale rząd kazał nam złożyć wszelką broń – powiedział mąż Nwart, Mihran.

– Jak myślisz, po co im nasza broń? – prychnął Karabetian.

– Z powodu wojny.

– Żeby nas rozbroić.

– Ale za posiadanie broni grozi kara śmierci.

– Rozstrzelano całe bataliony ormiańskich żołnierzy, którzy zaciągnęli się do tureckiej armii. *Nieposiadanie* broni to wyrok śmierci.

Baba zwrócił się do Mihrana:

– Jeśli rząd powie ci, żebyś skoczył z urwiska, też to zrobisz?

– Osmanowie mówią, że mamy konszachty z wrogiem i planujemy powstanie w Stambule, by oczyścić pole entencie – powiedział Karabetian.

– Czy nie tego właśnie pragniemy? – westchnął Mihran. – Żeby kawaleria przybyła nas uratować, ochronić przed tym, co nas czeka ze strony Osmanów?

– Gdyby to było możliwe, to owszem, ale jest nas zbyt mało. W tym wszystkim chodzi o ziemię, o to, by nas wypędzić i odzyskać terytorium, które stracili we wcześniejszych wojnach z Rosjanami.

Mężczyźni na chwilę zamilkli, zatopili się w myślach, popijając raki.

– Musimy ochronić się sami i w razie konieczności chwycić za broń – rzekł wreszcie Karabetian.

Mihran wciągnął powietrze przez zęby.

– Siejesz panikę. Cynik do szpiku kości. Wystarczy zapowiedź prawdziwych kłopotów, a narody Europy ruszą nam na pomoc.

– Europejczycy mają teraz inne sprawy na głowie.

– Przestań, Karabetianie. Rozchmurz się. Władze nie mają zamiaru nas prześladować. Wszyscy jesteśmy im na swój sposób przydatni. Zwłaszcza doktor

Grigor. Potrzebują go, by zajął się ich rannymi żołnierzami. Jest zbyt wartościowym narzędziem, żeby się go pozbyć.

Było to najbardziej podnoszące na duchu zdanie, jakie słyszałam od tygodni, i to, że ojca chroni jego zawód, dodało mi otuchy. Baba zwrócił się do swego przyjaciela, poety Samuela Badaliana, z prośbą o balladę. Badalian melodyjnym głosem rozpoczął uroczyste wykonanie utworu. Poemat był alegoryczny, odnosił się do wielu wydarzeń z naszych burzliwych dziejów, do powstań i masakr z nieodległej przeszłości. Poezja Badaliana rozpałała słuchaczy i mężczyźni – jeden po drugim – zaczęli wyrażać swoje obawy co do przyszłości.

Baba, Karabetian i poeta Badalian zdawali sobie sprawę, że są przywódcami diaspory. Czuli się tak mocno zakorzenieni w tym świecie, tak niezbędni, że wierzyli, iż nic – nawet potęga imperium osmańskiego – nie będzie w stanie ich zniszczyć. Płomienne dyskusje sprawiały, że czuli się tak pełni życia, że w ogóle nie myśleli o śmierci. Mieli tyle do powiedzenia, zaferowania, obmyślenia, omówienia we wspólnym gronie, że wierzyli, iż Bóg da im na to czas. Często rozmawiali do późnej nocy bez żadnych zahamowań, nie biorąc pod uwagę tego, że ich żarliwe głosy niosą się aż na ulicę.

Rozmowa sprawiła, że miałam napięte nerwy, i gdy ktoś blisko mnie upuścił talerz, omal nie wyskoczyłam ze skóry. Matka Ester rzuciła się z miotłą do sprzątania odłamków. Moja matka zabrała jej miotłę, odwróciła ją i otrzepała włosie.

– Nie można w ten sposób traktować panny młodej<sup>2</sup> – powiedziała.

– Chronj jej skromność! – krzyknął Gabriel i wszyscy zachichotali.

Matka Ester zdjęła cienką chustę i obwiązała nią miotłę. Moja mama obracała miotłę w tę i z powrotem, śpiewając uroczym głosem pieśń miłosną, która uciszyła Karabetiana i wywołała uśmiech na twarzy Baby. Przyłączyły się do niej inne kobiety, a muzycy zaczęli przygrywać do rytmu. Wokół mojej matki z kijem od miotły załopotwały spódnice. Kobiety kręciły się i wirowały, wymachując rękoma, mężczyźni zaś przykucnęli i podskakiwali, pstrykając palcami. Baba chwiał się na jednej nodze i klaskał. Ester tańczyła blisko Dżiwana z rękami na biodrach, spuszczonego wzrokiem i zarumienionymi policzkami. Gabriel wziął mnie za ręce i zaczęliśmy się kręcić wokół kija od miotły, aż do utraty tchu, gdy świat zawirował nam przed oczyma.

Otrzeźwiły mnie gniewne okrzyki. Pieśń matki się urwała. Na przyjęcie wdarło się sześciu tureckich policjantów, a Karabetian wołał za nimi ze wzburzeniem. Ścisnęłam dłoń brata, spięta.

– Co się dzieje? – wyszeptalam.

– Przyszli kogoś aresztować.

Ze środka zamieszania zaczęły napływać informacje – Turcy przyszli zabrać pana młodego, jego teścia, Mihrana i Karabetiana. Prawnik nie przyjmował tego do

wiadomości. Obrzucał policjantów obelgami, dopóki – popchnięty – nie runął na stół. Jedzenie rozsypało się po ziemi; patyla, paklawia i starannie uformowana przez matkę chałwa. Baba uniósł ręce, by uspokoić Karabetiana, mężczyznę wyprowadzono, a mój ojciec dołączył do jeńców.

– Gabrielu, dokąd idzie Baba? – spytałam.

Zwrócił na mnie oczy pełne gniewu.

– Babę też aresztowali.

Twarz matki, zaokrąglona z powodu ciąży, pobladła ze strachu. Grzebałam w kieszeni w poszukiwaniu amuletu przynoszącego szczęście, lecz musiałam go zgubić w tańcu. Wiedziałam, że to zły omen.

Resztę dnia spędziliśmy w kościele, klęcząc przed ołtarzem wraz z Ester i jej matką, rodziną Dziwana i sąsiadami, którzy przyszli, by okazać wsparcie. Kobiety kołysały się w przód i w tył, błagając Boga, aby ocalił ich mężów i braci. Kościół wypełniały szepty, monotonne modlitwy stawały się w moich uszach coraz głośniejsze. Zawsze odczuwałam obecność Boga w tym kościele z jego złocnymi ołtarzami i obrazami przedstawiającymi Świętego Grzegorza trzymającego płonący krzyż. Oczarowana chórem, wierzyłam w anioły i niebo. Gdy ksiądz odprawiał mszę w naszym starożytnym języku, a chór odpowiadał pełnym radości, podniosłym śpiewem, moja dusza opadała i wzbijała się. Tego dnia jednak kościół był zimnym, pustym budynkiem. Wiedziałam, że nasze modlitwy nie zostaną wysłuchane, że kostucha naprawdę może przyjść do człowieka w dniu jego ślubu.

Nazajutrz oskarżono Babę o planowanie powstania przeciwko tureckim władzom. Kiedy znaleziono u nas pod podłogą naładowaną broń, los ojca został przypieczętowany. Żadna łapówka nie mogła doprowadzić do jego uwolnienia. Karabetianowi postawiono te same zarzuty, torturowano go i zamordowano pierwszego. Zawisnął do góry nogami z odciętymi podeszwami stóp; żywe mięso posypane solą. Nie zdoławszy odeń uzyskać przyznania się do winy, oprawcy wyrwali mu szczypcami paznokcie u stóp i zostawili go, żeby wisiał, a krew zalewała mu mózg. Dziwana i jego teścia zabrano z więzienia nocą i nigdy już nie wrócili. Garnitur ślubny i obrączkę odesłano Ester wraz z kieszonkowym zegarkiem mojego ojca. Jedynie Mihran zdołał uciec i pozostawał w ukryciu. Miałam nadzieję, że oszczędzą ojca, że ocali go jego zawód.

Pięć dni po aresztowaniu, jasnym wiosennym rankiem, matka wyszła z domu ubrana na czarno. Kazała nam zostać. Siedziałam na podłodze, obejmując kolana rękoma. Gabriel chodził po pokoju. Towmas walił w głowę pięściami, a potem wypadł z domu. Ruszyliśmy z Gabrielem za nim, próbując dotrzymać mu kroku. Niebawem dotarliśmy na główny plac, gdzie zbierał się hałaśliwy tłum, a kobiety płakały przed trzema nowo postawionymi szubienicami.

Stałam na kamiennym murku i widziałam nadjeżdżającą dwukólkę. Na

wozie siedziało trzech zakapturzonych mężczyzn z rękoma związanymi za plecami. Poprowadzono na szafot pierwszego z nich. Nie stawiał oporu, nie wydał dźwięku, szedł zgięty. Kiedy ściągnięto mu z głowy kaptur, chwilę trwało, zanim rozpoznałam w nim ojca. Był łysy i wyglądał nieporządnie, pod prawym okiem miał siniak. Zaczęłam krzyczeć, wołać Babę. Jego oczy przeszukały tłum i zatrzymały się na mnie; mówiły, żebym była silna, opowiadały o jego wielkiej miłości. Obserwowałam, jak zakładają mu stryczek na szyję. Chwilę później zawisnął. Słyszałam krzyk matki mieszający się z moim, a potem zemdlałam.

\* \* \*

Ara zamyka dziennik i spogląda na mnie, niepewny, jak zareaguję. Jestem wstrząśnięta do głębi, na krawędzi łez, i cieszę mnie ramieniem, które otacza moje plecy. Powinnam była wiedzieć, przez co musiała przejść babcia, do oglądania czego zmuszono jej dziecięce oczy i czego jej umysł nigdy nie zdołał wymazać. Koszmar nie kończy się w tym miejscu, podpowiada mi instynkt, ale co może być gorszego niż widok egzekucji ojca? Powracam myślami do pudełka pełnego przypraw, świątecznego upominku od mojego pradziadka. Dlaczego zostało ukryte w czeluściach garderoby? Dlaczego nie chwaliła się nim z dumą? Być może przywoływało zbyt wiele wspomnień i przypominało o dniu, w którym widziała, jak ojciec wydał ostatnie tchnienie.

Następnego dnia, z kubkiem frappé w każdej z dłoni, idę do pracowni Ary i zastaję go, jak przygląda się owalnej bryle marmuru, po czym żłobi ją dłutem i młotkiem, a włosy ma przyprószone kamiennym pyłem. Jest zaabsorbowany, prawa dłoń uderza rytmicznie młotkiem, lewa prowadzi dłuto po linii żłobienia. Ara odsuwa się, by ogarnąć dzieło spojrzeniem, właśnie w chwili gdy moja stopa chrzęści na grudce gipsu.

– Hej! Nie spodziewałem się ciebie. – Z zakłopotaniem przeczesuje włosy, białe drobinki unoszą się w powietrzu, gdy zmierza w moją stronę, uśmiechając się szeroko. – Przepraszam... wyglądam jak strach na wróble. – Obejmuje mnie zgodnie z cypryjskim zwyczajem i delikatnie całuje w oba policzki.

– Nie przeszkadzam ci, prawda?

– Nie, ani trochę. Dobrze cię widzieć i przydałaby mi się przerwa. – Przesuwa po mnie wzrokiem od stóp do głów, szlachetnie zatrzymując spojrzenie na rękach, które poczerwieniały tak samo jak moja twarz. – Przyniosłaś dziennik?

– I kawę. – Kieruję się w stronę kamiennej ławki, przyglądam się konturom olbrzymiego jajowatego kamienia, który wygląda jak zgarbiona postać, ale może stać się dwiema. – Nad czym pracujesz?

– Nad Przyjaźnią. Kopią brązowego pomnika stojącego przed Canterra Tower w Kanadzie, na zamówienie człowieka, który niedawno stracił żonę. To był jej ulubiony posąg, teraz, gdy odeszła, będzie jego małym Tadż Mahal w ogrodzie.

– Ładny sposób upamiętnienia. – Zdecydowanie lepszy niż kamienne płyty ustawione w rzędzie jak ponure kostki domina.

– Chcesz spróbować? – pyta.

Zanim zdobywam się na odpowiedź, ciągnie mnie i podaje mi młotek oraz dłuto. Przynosi narzędzia dla siebie i pokazuje, co dokładnie mam robić, jak stukać w końcówkę dłuta kilogramowym młotem, by utworzyć płytką bruzdę. Kiwa głową zachęcająco, gdy wydłubuję własny, niezatarty ślad w kamieniu, nim uderzam z większą pewnością, odnajdując nieznaną przyjemność w stereofonicznych odgłosach uderzeń, ocierając się o jego ramię, czując oddech Ary jak świeży zapach kory cynamonu.

## ROZDZIAŁ 13

### MARIAM

Wpadająca przez okno w łazience chłodna bryza potargała mi lekko włosy. Mama stała za mną z nożyczkami, wzdychała w gotowości. Zaczęła obcinać. Ciemne pasma utworzyły miękkie pagórki wokół nas. Zawsze nosiłam długie włosy, uwielbiałam ich połysk, gdy mama je czesała, to, jak rozsypywały się, gdy wirowałam do jej śpiewu. Skracalam sobie czas, zwijając kosmyki, bawiąc się warkoczami, zaplatając wianki. Kochałam swoje długie włosy, lecz nie płakałam, gdy matka je ścięła. Po egzekucji Baby w zeszłym miesiącu nie było w nas łez.

Gdy mama skończyła, powiedziała, żebym włożyła jedno z ubrań Gabriela. W podróży będę bezpieczniejsza jako chłopiec. Wyszła z pokoju i po karku przebiegł mi dreszcz, jakby musnął mnie widmowy warkocz. Wpatrywałam się beznamietnie w lustro ojca do golenia, widziałam krótko ostrzyżone dziecko z zapadniętymi oczyma i chudą twarzą. Podniosłam rękę do głowy, próbując oswoić się z nieznanym.

Usłyszałam ciężkie kroki Gabriela na schodach. Wszedł do łazienki, uśmiechem przykrywając szok.

– Masz ładną, okrągłą głowę – powiedział. – Moja jest płaska jak pita. – Przejechał dłonią po ciemieniu, obiekcje żartów naszych znajomych.

– Wszyscy będą się śmiali.  
– Nikt się już nie śmieje, Mariam.  
– Co by powiedział Baba, gdyby mnie zobaczył?  
– Byłby z ciebie dumny. Ja też jestem. I trochę zazdrosny. Jesteś ładniejszym chłopcem ode mnie.

Później tego ranka siedziałam z Gabrielem przed domem. Na ścianie naszego domu nabazgrano czarną farbą słowo *sopkiet*, wygnanie, które zapowiadało nasze wydalenie. Cicha okolica zamieniła się w hałaśliwy bazar. Rozlegały się krzyki, koła wozów zgrzytały na suchej ziemi. Przeciążone osły rykiem wyrażały sprzeciw, a ludzie się targowali, sprzedając w pośpiechu swój dobytek, nim na ulicy wybrzmiał echem rozkaz, by wyruszać, i rozpoczął się exodus. Towmas brał tyle, ile mu proponowali za nasze rzeczy: koce, ubrania, podręczniki do medycyny, obrazy, meble. Patrzyłam, jak jakiś mężczyzna wciska ręce w rękawy starej marynarki mojego ojca i z trudem zapina ją na wydatnym brzuchu. Towmas wziął pieniądze i rzucił mu szydercze spojrzenie.

Wiele osób przyszło tego ranka, żeby skorzystać na naszym nieszczęściu, inne zaś przybyły się pożegnać. Tureccy sąsiedzi przynieśli chleb. Całowali mamę z płaczem. Nasz powóz i siwka zabrały władze, w zamian dostaliśmy osła. Matka, w piątym miesiącu ciąży i wdowiej czerni, załadowała pledy, koce i chleb na zakwasie wypieczony na kamień, żeby dłużej wytrzymał.

Zadawałam sobie pytanie, gdzie jest Bóg. Dlaczego zabrał mojego ojca, gdy był nam najbardziej potrzebny? Dlaczego pozwalał, by gnano ludzi jak bydło, wrywano ich z domów i kazano maszerować do obozów na syryjskiej pustyni? Władze wprowadziły prawo sankcjonujące deportację i natychmiastową konfiskatę naszego mienia. Byliśmy zdrajcami, zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego, zwąchaliśmy się z wrogiem.

Ludzie uwijali się, pakując torby, karmiąc niemowlęta, ubierając dzieci i zaszywając pieniądze w odzieży. Rzeczy należące do ojca stały na poboczu: szafa na ubrania, szafka wnękowa, lustro ze złotoną ramą, łóżko z baldachimem. Musieliśmy porzucić tak wiele drogich nam rzeczy: książki Baby, moją białą koronkową sukienkę, drewnianą skrzynkę z przyprawami, które nigdy nie będą użyte.

Gabriel przyniósł dwie fotografie i uważnie im się przyglądaliśmy; jedną z nich zrobiono w dniu ślub rodziców. Mama wyglądała bardzo młodo, a spojrzenie Baby było tak głębokie i przenikliwe, że trudno było uwierzyć w jego śmierć. Przeżywałam ją na nowo w powracających koszmarach, budząc się złana przyprawiającym o dreszcze potem. Nasuwały się inne zmartwienia. Kto zajmie się jego grobem, gdy nas nie będzie? Kto powyrywa chwasty i zadba o kwiaty? Kto wypije nad grobem za jego pamięć?

Na innych, nowszych zdjęciach nosiłam koronki i wstążeczki, moi bracia zaś mieli garnitury, wypomadowane i zaczesane do tyłu włosy i buty lśniące jak skrzydła chrząszcza. W dniu, w którym przyjechał fotograf, panowało prawdziwe poruszenie – sąsiedzi i znajomi zebrali się na podwórzu, żeby się wszystkiemu przyglądać i czekać na swoją kolej. Każdy chciał zostać uwieczniony z własną rodziną. Zdjęcie boleśnie przypominało o życiu, które brałam za coś oczywistego.

Mama wzięła je ode mnie i wsunęła sobie do kieszeni.

– Gabrielu, pozwól mi nieść drugą fotografię – poprosiłam.

Gdy na ulicy rozległo się wezwanie, by ruszać, przedarł zdjęcie na pół.

– Ty weź mamę – powiedział. – Ja chcę mieć przy sobie Babę.

– Pilnuj siostry, Gabrielu – powiedziała mama, idąc przodem z Towmasem i ciągnąc osła.

Gabriel wziął mnie za rękę i wyczułam w nim postanowienie, że będzie mnie strzegł.



## ROZDZIAŁ 14

### KATERINA

Umawiam się z Arą na jutrzejsze popołudnie. Jest tak samo jak ja chętny, by dalej tłumaczyć, choć jakaś część mnie pragnęłaby, żeby dziennik nigdy się nie odnalazł. Lekko maluję usta; troszczę się o wygląd bardziej niż w przypadku zwykłego spotkania. Szczęśliwie Jenny jest zajęta przyjacielem, gdy ja odkrywam tajemnice dziennika i rozmyślam nad niejasnymi wątkami. Na przykład skrzynka z przyprawami mojej babci przepadła, gdy wypędzono ją z domu, a później w niewytłumaczalny sposób znów znalazła się w jej rękach.

Ara siedzi na motocyklu na drodze, promienie słońca oświetlające jego twarz odbijają się mu w oczach.

– Pojedźmy w jakieś spokojne miejsce – mówi i ten wypad w irytujący sposób zaczyna wyglądać na pierwszą randkę.

– Co masz na myśli?

– Góry Troodos.

Jedziemy za miasto, mijamy kamienny akwedukt, który prowadzi do autostrady przecinającej górzysty krajobraz. Obejmuję Arę, całkiem odprężona, już się oswoiłam z jego motocyklem; ściskam go mocniej, wtulam się w niego, gdy wjeżdżamy na drogę szybkiego ruchu i wyprzedzamy ciężarówkę pełną niespodziewających się niczego owiec, która zmierza do ubojni. Walczę z dziecinnym pragnieniem, by przekrzywić hałas pytaniem: „Daleko jeszcze?”. Odczuwam lekką ulgę, gdy Ara zjeżdża z autostrady, ale strach daje o sobie znać, kiedy zaczynamy jechać pod górę przez małe wioski. Droga się zwęża i rzadnie powietrze, gdy posuwamy się w górę, mijając iglaki, krwawniki i krzaki tymianku w cieniu sosen, cedrów i jodeł. Z powodu wysokości zatykają mi się uszy, a serpentynowe podjazdy sprawiają, że serce mi się tłucze. Po jednej stronie drogi wyłaniają się pobrużdżone i usiane sosnami szczyty Troodosu, po drugiej otwiera się urwisko, przez co robi mi się niedobrze. Opieram się głową o plecy Ary i kieruję wzrok ku górze, szukając ulgi w błękitnie nieba i modląc się, byśmy nie runęli w skalistą przepaść.

Oddycham z ulgą, gdy Ara zatrzymuje motocykl w zatoczce, gdzie nabieramy wody ze źródła w złęczone dłonie. Dopiero wtedy oddycham pełną piersią, otulona leniwym zapachem sosen. Wioska jak z obrazka przywarła do górskiego stoku, bielone chaty kryte czerwoną dachówką skupione są wokół bizantyjskiego kościoła; winnica spada kaskadą po stromym zboczu nad nami, czysta wiosenna woda spływa po skalnej ścianie.

Stary mężczyzna w czarnych pantalonach zbliża się na ośle, jego szpeceniaste wąsy rozciągają się poza uśmiech. Dla niego pokonywanie stromych ścieżek i jazda na czworonożnym stworzeniu tuż nad urwiskiem to rzecz całkiem

normalna. Zatrzymuje się, by zaproponować nam figi z kosza na siodle, dojrzałe zielone główki, z których wypływa fioletowy miąższ, gdy je rozrywamy. Staruszek ma życzliwą twarz i błyszczące, żywe oczy. Rozmawia z Arą, a potem ochlapuje ręce i twarz wodą, pije ze źródelka głośnymi łykami.

Ara zjeżdża z głównej drogi i rusza wąską, poślóbianą koleinami ścieżką przez paprocie, nim zatrzymuje się na skraju sadu. Brniemy przez zagajnik kwitnących drzew owocowych, łagodny wiaterek wywołuje śnieżycę różowych i białych płatków.

– Podoba ci się tutaj? – pyta.

Nic nie psuje widoku, żadne budynki ani druty telegraficzne, znaki drogowe czy płoty, na horyzoncie jest tylko mnóstwo soczystej zieleni i górski szczyt.

– To oszałamiające.

– Nie będziesz więc miała nic przeciwko temu, by tu wrócić i pomóc w zrywaniu?

– To miejsce należy do ciebie?

– Dziadek zapisał mi je w testamencie. Gdy byłem mały, przyjeżdżaliśmy tutaj razem w każdy weekend, tylko we dwóch. Kiedy jestem w sadzie, czuję, że nie odszedł daleko. Chcę tu kiedyś postawić dom, zasadzić więcej drzew, uprawiać warzywa, żyć z ziemi. Moja rodzina sądzi, że jestem szalony, przyjaciele zresztą też.

– Z kim tu zamieszkaż? Z Nazeli? – Moja myśl wychodzi na jaw, niezafalszowana.

Ara wybucha śmiechem.

– Nazeli ceni sobie wygody. Swoje kawiarnie, modne ciuchy i sklepy z butami. – Przerywa, szuka mojego wzroku. – Wiesz, nic między nami nie ma. Już nie.

– Ale było?

– Nasi rodzice znają się od dawna. Dorastaliśmy razem. W świecie doskonałym bylibyśmy małżeństwem z trójką dzieci i wszyscy byliby szczęśliwi. Spotykaliśmy się przez pewien czas, ale nic z tego nie wyszło. Mamy zupełnie inne potrzeby.

Otwiera się, opowiadając mi o swoim życiu, ja zaś jestem oszczędna w słowach. Dowiaduję się, że posłano go do angielskiej szkoły na Cyprze, czesne pokrywał dziadek. Potem Ara studiował sztuki piękne w Manchesterze, zanim wrócił na wyspę, gdzie urządził pracownię i wprowadził się do mieszkania w mieście.

– Czyli podoba ci się tu – mówi w zamyśleniu, a jego spojrzenie zatrzymuje się na wysokości moich oczu. – Mogłabyś mieszkać w takim miejscu, Katerino? – Dźwięk mojego imienia zawisa w powietrzu i wyczuwając myśli Ary, instynktownie sięgam po wyważoną odpowiedź.

– Przydałoby mi się miejsce, gdzie mogłabym uciec, ale nie chciałabym mieszkać za daleko od przyjaciół i rodziny.

Przez moment jest zbity z tropu, ale odpowiada jednoznacznie.

– Nie mógłbym mieszkać w Anglii. Trzy lata na północy mi wystarczą. Nie jestem w stanie znieść pogody.

Na samo wspomnienie marszczy brwi i – w przedłużającej się chwili milczenia – powstaje między nami przepaść nie do pokonania. Ara szuka bratniej duszy, prostolinijnej dziewczyny, która podzielałaby jego zamiłowanie do gór, a ja odebrałam sobie szansę na zwycięstwo.

Spacerujemy po sadzie, zrywamy kwiaty, żujemy łądygi dzikich szparagów i jemy małe jagody; nasza wymiana zdań jest oficjalna i uprzejma. Ukryte napięcie rośnie, dopóki Ara nie zatrzymuje się pod drzewem wiśniowym.

– Katerino – szeptem wymawia moje imię, biorąc mnie za rękę, a nasze spojrzenia się spotykają. – Pora na dziennik?

## ROZDZIAŁ 15

### MARIAM

Dołączyliśmy do mas wylewających się z miasta jak mrówki wypędzone strumieniem wody z mrowiska. Niektóre kobiety ubrane były w żakiety na europejską modłę i długie spódnice, inne nosiły marszczone koszule, a głowy i ramiona owinięte miały chustami. Nie byłam jedyną osobą w nowym wcieleniu. Wiele dziewcząt wysmarowało sobie twarz ziemią i węglem, by ukryć urodę. Obok nas tureccy żołnierze szli w szeregu, garbując grzbiety osłów pałkami i tłukąc maruderów po głowach. Opuszczaliśmy miasto przy akompaniamencie krzyków i trzaskania drzwiami. Tych, którzy odmawiali wyjścia albo nie byli w stanie tego zrobić, wyciągano z domów siłą. Zaglądałam do pustych wnętrz przez uchylone drzwi, roztrzaskane okiennice. Wyburzano ściany i zrywano deski z podłóg, próbując na żądanie władz odnaleźć ormiańską broń i amunicję, by wykryć jakiegokolwiek oznaki oporu.

Poruszaliśmy się w grupie, razem z Lousine, Ester, Nwart i jej dwiema córkami. W wiejskiej okolicy trzymaliśmy się blisko siebie, dzieląc się jedzeniem i wodą i śpiąc razem w prymitywnych namiotach skleconych z bawełnianych prześcieradeł. Byliśmy szczególnie troskliwi wobec Ester, jej strata – śmierć męża i ojca, brat w więzieniu – wydawała nam się bowiem największa. Wyglądało na to, że Bóg zamknął uszy na błogosławieństwo księdza w dniu jej ślubu. Pierścionek zaręczynowy wisiał na łańcuszku na jej szyi.

Przez większość czasu Ester szła z Towmasem, który chyba zdołał się przebić przez jej cierpienie. Przysłuchiwałam się za ich plecami, jak mój brat mówi, że wyślą nas do Ameryki, gdzie powita nas kolos w todze. Jego opis był tak żywy, że prawie czułam zapach słonego powietrza w nowojorskim porcie i słyszałam fale uderzające o statek.

Towmas płynnie przeobraził się w naszego ojca. Wstąpił w niego duch Grigora, wypełnił jego ciało, nadał kształt sylwetce, przemówił jego ustami. Gdy tylko widziałam Ester uśmiechającą się do niego, ośmielałam się wierzyć w szczęśliwe zakończenie. W Ester i Towmasa, którzy zakochują się w sobie, biorą ślub, mają syna, który wygląda dokładnie jak mój ojciec. Ośmielałam się mieć nadzieję, że życie wróci do normy, że fortuna się odwróci, gdy dotrzemy do brzegów Ameryki i dojdę do siebie po wstrząsie, którego doznałam na widok śmierci ojca.

Z biegiem czasu zaczęła się kończyć żywność. Chorzy i starcy z trudem dotrzymywali kroku pozostałym. Matki jęczały, uginając się pod ciężarem dzieci. Brakowało wody i z każdym dniem coraz mocniej prażyło słońce, paląc nasze twarze i karki. Mama starała się dodawać wszystkim otuchy śpiewem, ale gdy dni przeszły w tygodnie, nieszczęście rozpleniło się jak zaraza. Pierwsze zwłoki

wprawiły mnie w osłupienie; zebrało mi się na wymioty. Było to ciało maleńkiej dziewczynki, nagie i wychudzone. Leżała w rowie, zwrócona twarzą do nieba. Mama zasłoniła mi oczy, dopiero gdy ogarnęłam wzrokiem wszystkie szczegóły. Plamista, atramentowa skóra w stanie rozkładu, puste oczodoły. Patykowate kończyny.

Nazajutrz wciąż myślałam o tamtym dziecku, wyobrażając sobie sępy odrywające płaty mięsa z jego ciała. Do konwoju podjechał kurdyjski kawalerzysta na żylastym koniu; twarz miał owiniętą chustą w szachownicę. Patrzyłam, jak jedzie wzdłuż szeregu chudych wygnańców z wysoko uniesioną szablą, rozkazując dziewczętom, by pokazały mu twarze. Gdy znalazł się blisko, matka uprzedziła mnie, żebym szła z opuszczoną głową, ale ja się przyglądałam, ze strachem i ciekawością.

Jeździec zdarł chustę z głowy Ester, uwalniając jej rude loki. Zanurkował, złapał ją za włosy i przerzucił przez konia jak worek zboża. Szamotała się, krzyczała, drapała go po twarzy, ale on trzymał ją mocno i smagał batem. Lousine błagała o litość, a potem na kawalerzystę rzucił się Towmas i chwycił go za nogę. Mocny kopniak powalił go na ziemię i jeździec pogalopował z Ester, która wciąż krzyczała, próbowała się uwolnić i wołała matkę. Lousine osunęła się na kolana i zaszlochała, odmawiając wstania, nawet gdy strażnik trącił ją karabinem i rozkazał iść. Mama próbowała ją podnieść, ale Lousine nie ustąpiła. Zostawiliśmy ją tam i ruszyliśmy dalej, spoglądając do tyłu, dopóki nie znikła nam z oczu i nie ucichł jej straszny płacz.

## ROZDZIAŁ 16

### MARIAM

Gdy zapadły ciemności, rozbiliśmy obóz, rozpaliliśmy ogniska, zjedliśmy resztki jedzenia, które udało się jeszcze wygrzebać. Ułożyłam się na noc obok Gabriela i próbowałam spać, ale niemilknące krzyki i wrzaski nie dały mi zasnąć. Leżeliśmy na twardej, pośliznionej koleinami ziemi. Staralam się przywołać obraz ojca, ale jego twarz zaczęła się już zacierać.

Sięgnęłam po rękę Gabriela i powiedziałam drżącym głosem:

– Tęsknię za Babą.

Gabriel ścisnął moją dłoń.

– Mariam, on nas nie opuścił. Podróżuje z nami. Chroni nas.

– Skąd wiesz?

– Nadal żyjemy, prawda?

– Czuję tylko, że go nie ma.

– Może opowiem ci historię, żebyś zasnęła? O pięknej dziewczynie z długimi czarnymi włosami, która poszła napęłnić tykwę wodą z rzeki. Zobaczyła tam przystojnego młodzieńca wylegującego się na brzegu i zakochała się od pierwszego wejrzenia. Pocałowali się i dali sobie słowo, ale rodzice nie pozwoliliby im na ślub.

– Dlaczego?

– On pasał kozy, a ona była córką najbogatszego człowieka w mieście. Matka dziewczyny, podła manipulatorka, wyprawiła ją do odległej krainy, by trzymać z dala od chłopca. Wiele lat później dziewczyna wróciła nad rzekę. Zastała młodzieńca leżącego dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Jego skóra połyskiwała. Gdy ją ujrzał, wzbił się w niebo, rozpościerając anielskie skrzydła, a potem niespodziewanie spadł na ziemię i umarł. Serce dziewczyny pękło i ona też zmarła. Pochowano ich razem, zostali gwiazdami i wzniesli się na nieboskłon. Pięciu braci młodzieńca, przytłoczonych żalem, również odeszło. Jeden po drugim, ciemni jak pasta z henny, wzbijali się do góry, gdzie przez całą wieczność migotali jak świetliki.

– Dlaczego opowiedziałeś mi taką smutną historię?

– Zakończenie było szczęśliwe.

– Zmarli z powodu złamanych serc!

– Nie można umrzeć na złamane serce, Mariam, a poza tym połączyli się w niebie, co oznacza, że pewnego dnia znów zobaczymy naszego ojca.

Była to pocieszająca myśl. Zamknęłam oczy i próbowałam spać. Gdy odpływałam, jakaś kobieta nieopodal zaczęła krzyczeć i zawodzić. Było zbyt ciemno, by coś dostrzec, ale słyszałam tętent kopyt i parskanie konia. Krzyki kobiety ucichły, lecz płacz dziewczyny trwał całą noc. Zabrano kolejną kobietę,

która rozplynie się w powietrzu, jakby nigdy nie istniała.

– Widzę je – powiedział Gabriel.

– Kogo?

– Siedem gwiazd. Są tam. Dokładnie nad nami.

Myślamy byłam przy kobiecie, która została porwana, a niebo było tylko czarnym przestworem.

– Udawajmy, że jesteśmy sami – rzekł Gabriel. – Udawajmy, że właśnie skończył się piknik, nasze żołądki wypełniają gołąbki, pomarańcze i pyszna chałwa mamy. Wyobraźmy sobie, że wylegujemy się po uczcie i zaraz nam pękną brzuchy. Spójrz w niebo, Mariam, i zapomnij o całej reszcie. Tylko tak można stąd uciec.

Wpatrzyłam się uważnie w niebo, próbując odciąć się od dźwięków, które zakłócały moje myśli. Po chwili zaczęłam się zatracać, czuć się tak, jakbym nic nie ważyła, zapomniałam, gdzie jestem, świadoma tylko nieba i ciepłego ciała Gabriela, do którego przywarłam. Im dłużej patrzyłam, tym bliższe i jaśniejsze zdawały się gwiazdy. Bezkresny przestwór był jedynym światem, który istniał. Opuściłam spłacheć twardej ziemi i stałam się odbiciem gwiazdy, maleńką, ale nieodzowną częścią kosmosu. Powoli plamki białego światła przybrały nową postać. Zanurzone w ciemności stały się chłopakiem, dziewczyną i piątką braci, świętującymi ponowne spotkanie w świecie ponad światem, rodziną, której darowano nieśmiertelność, duszami płonącymi wiecznym żarem. Kiedy gęsta czarna gaza zaczęła jaśnieć, gwiazdy zbladły i płonące węgielki zamieniły się w popiół, zapadłam w głęboki sen. Po raz pierwszy od śmierci ojciec przyszedł do mnie we śnie – prosił, żebym była silna, i dał mi wody i chleba.

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam matkę trzymającą w ramionach jakąś dziewczynkę.

– To Alitz Tawlian. Będzie podróżować z nami – powiedziała. – Gdyby ktoś pytał, to twoja siostra. Biedna Alitz straciła tej nocy matkę.

Dziewczynka wzdrygnęła się; miała zaczerwienione, spuchnięte oczy. Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym straciła matkę, gdybym znalazła się sama z braćmi. To najgorsza rzecz, jaką mogłam sobie wyobrazić, i niepokój przyprawił mnie o utratę tchu.

Pędzono nas przez pylistą krainę, przez wzgórza, na których nic nie rosło. Kamienie i osty kaleczyły nasze stopy, a bezwzględne słońce sprawiało, że twarze mieliśmy w pęcherzach. Wartownicy omijali miasteczka i wsie, by trzymać nas z dala od ludzkich oczu. Utrzymywaliśmy się przy życiu dzięki kęsom suchego chleba, sporadycznym łykom wody, a także korzeniom i bulwom wykopywanym z ziemi. Dołączaliśmy do karawan wypędzonych z innych regionów, do ludzi, którzy wyglądali jak żywe trupy, w ramach pokuty błakające się po ziemi. W końcu przyzwyczaiłam się do brudu i smrodu niemytego ciała. Wszy zaległy się w moich ubraniach i potarganych kępkach włosów. Ciągle się drapałam, przez co

krwawiłam i robiły mi się strupy na głowie. Przestałam prosić matkę o jedzenie i starałam się ignorować skurcze, które skręcały mi kiszki i utrudniały oddychanie.

Martwe niemowlę było pierwszym z wielu ciał, które wypełniły powietrze drażniącym zapachem śmierci. W wędrownce na wschód codziennie ktoś z konwoju padał na ziemię – z powodu choroby, wyczerpania, głodu. Tych, którzy byli za słabi, żeby iść, zostawiano, by gnili, ograbieni z ubrań i biżuterii przez Kurdów zjeżdżających nocą z okolicznych wzgórz. Sępy żywiły się ludzką padliną.

Stosunki w naszej grupie się ochłodziły, matka oddaliła się od Nwart i jej córek. Nwart przestała dzielić się z nami jedzeniem, zatrzymując dla siebie i swych dzieci wszystko, co była w stanie wyżebrać albo wygrzebać z ziemi. Różne urazy wyszły na jaw. W jaki sposób mąż Nwart uciekł z aresztu? Dlaczego tylko on? Mama podejrzewała, że poszedł na współpracę z władzami i ocalił życie, zdradzając przyjaciół.

Po miesiącu podróży do konwoju podjechał wóz zaprzężony w woły z dwoma uzbrojonym w karabiny żołnierzami rozwalonymi na furze. Ogłoszono, że dwudziestu chłopców w wieku od sześciu do szesnastu lat zostanie zawiezionych do miejscowej szkoły, gdzie dostaną jedzenie i czyste ubrania, nim z powrotem dołączą do swych rodzin. Po raz pierwszy od tygodni zobaczyłam, że mama się uśmiecha. Jako pierwsza rzuciła się do przodu i zaoferowała woźnicy pieniądze, by zabrał nas troje.

– Proszę, weź moich chłopców – powiedziała. – Muszą jeść, bo inaczej umrą.

Woźnica wsunął do kieszeni pieniądze, które wyjęła z za wycięcia sukni.

– Dzięki Bogu byłam na tyle przewidująca, że przebrałam cię za chłopca – wyszeptła do mnie.

Chciałam zostać i kurczowo uczepliłam się mamy, ale ona podniosła mnie i przekazała w ręce Towmasa ze słowami: „To twoja szansa, by żyć, Mariam”.

Chłopcy wgramolili się na furę, większość z nich była zbyt zmęczona i głodna, żeby dać wyraz emocjom. Gdy wóz odjeżdżał, przyglądałam się, jak rozmazane sylwetki matki i Alitz znikają z pola widzenia; zapach mamy utrzymywał się na moich dłoniach. Towmas przyciągnął nas do siebie i w szczelinie między naszymi ciałami otworzył dłoń, by pokazać nam srebrny zegarek ojca z jego wygrawerowanym imieniem – skarb ukryty przed wartownikami. Pocałowaliśmy zegarek, jakby to była podobizna Baby, i poczuliśmy, że jego duch podróżuje z nami.

Oddaliliśmy się jakieś dwa kilometry od konwoju, poza zasięg wzroku i słuchu, wjechaliśmy w gęsty las. Wóz zatrzymał się na polanie i kazano nam wysiąść. Stłoczyliśmy się w grupie, rozglądając wokół siebie. Nie widać było żadnej szkoły, żadnego jedzenia ani żadnych ubrań. Jakiś ptak wyśpiewywał trele dla samiczki i ten śpiew nie pasował do zimnego strachu, który spowił mnie



szczelnym całunem. Woźnica beznamiętnie się przyglądał, jak strażnicy zbliżyli się, zaczęli wokół nas krążyć, a potem – bez ostrzeżenia – zaatakowali bagnetami, dźgając, siekąc i rozcinając ciała, a przestraszone jaskółki wzbiły się z drzew z trzepotem skrzydełek.

Niektórzy chłopcy, zaskoczeni, padli od razu, nie wydawszy krzyku, inni próbowali uciekać. Tych łapano za włosy i podcinano im gardła. Atak na Towmasa trwał chwilę. Widziałam, jak bagnet wbija się pod żebra mojego brata, widziałam, jak Towmas upada, słyszałam ostatni jęk. Gabriel złapał mnie za rękę, ale byłam sparaliżowana strachem, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Zobaczyłam, że czubek bagnetu przecina jego twarz, a chwilę później to samo stalowe ostrze, obmyte krwią mojego brata, przebiło mój brzuch, przeszywając mięśnie i ścięgna, ocierając się o kości, wierząc i cofając. Upadłam. Udawałam trupa.

W ciągu kilku minut krzyki ucichły i na polanę wróciła cisza, zakłócana tylko ptasimi trelami i sapaniem żołnierzy, którzy wyraźnie się zmęczeni. Ciągnęli za bezwładne ręce i nogi, by rzucić nas na stos jak parszywą padlinę, nim z powrotem wdrapali się na wóz.

Krew przeciekała przez złachmanione ubrania, sącząc się i kapiąc, a z jej upływem z chłopców wyciekało życie. Wsiąknąwszy w ziemię, pociemniała i zakrzepła. Wokół mnie leżały poskręcane ciała dzieci, z głowami odrzuconymi do tyłu, rozdziawionymi albo strasznie wykrzywionymi ustami, przerażeniem wypisanym na twarzach.

Pod stosem ciał wciągnęłam powietrze do płuc; moje zaciśnięte pięści rozwarły się i przejechałam zakrzywionymi palcami po ziemi, próbując się oswobodzić, a potem wydałam krzyk pełen bólu i grozy. Poczółgałam się na czworakach ku skrawkowi wolnej przestrzeni, gdzie usiadłam, kołysząc się i płacząc, dopóki jeszcze jeden trup nie wrócił między żywych i nie powłókł się w moją stronę. Był to chłopiec o imieniu Lewon, pokryty skorupą zaschniętego brudu i krwi – nieludzka istota z oczami rozszerzonymi strachem.

Poznawszy smak śmierci, pokuśtykaliśmy w stronę sterty trupów, by poszukać moich braci. Wyciągnęliśmy sztywne ciało Towmasa z płataniny, ale Gabriel był zagrzebany zbyt głęboko w tym makabrycznym ścisku, by go dosięgnąć. Wyjęłam zegarek Baby z kieszeni Towmasa, lecz na próżno szukałam kluczyka, a potem Lewon zaciągnął ciało mojego brata do lasu, żeby przysypać je ziemią. Pośpiesznie wymamrotałam modlitwę i położyłam się na kopczyku, z sercem bijącym nad milczącym sercem Towmasa, z poranioną piersią i złotą księżycową poświatą okrywającą moje drżące ciało. Pragnęłam umrzeć, ale Lewon zmusił mnie, bym poszła z nim głębiej w las. Jakiś czas później znalazła nas Rose. Leżąc pod drzewem, trzymaliśmy się życia ostatkiem sił.

\* \* \*

Mimo słońca przeświecającego przez liściaste sklepienie w ogrodzie Ary jest mi zimno i mam dreszcze. Przed moimi oczyma unosi się obraz: platanina ciał martwych chłopców i zakopana pod nimi żywa dziewczynka. Płynię łza. Przypominają mi się babcine oczy, tak głębokie, pełne potwornych tajemnic. To właśnie w takim jak to spokojnym i cichym miejscu, gdzie ptaki ćwierkały i dokazywały w koronach drzew, jej życie wypadło z kolein. To w takim miejscu prześladowano jej bliskich, głodzono ich.

W gardle narasta mi szloch, po którym nadchodzi skowyt, aż w końcu zacznę płakać. Kiedy Ara przysuwa się i mnie obejmuje, jestem obezwładniona smutkiem i pragnieniem, by ktoś mnie przytulił. Nie walczę z potrzebą, żeby wypłakać mu się na ramieniu i wtulić się w jego szyję, dając upust bólowi. Ara całuje mnie w policzek, obracam twarz w jego stronę. Wytrzymuje moje spojrzenie i przybliży się. Jego usta, ciepłe i wilgotne, są prawdziwym wybawieniem. Całuję Arę z pasją, która przegania niepokój i odcina śmierci dostęp do moich myśli.

## ROZDZIAŁ 17

### KATERINA

Nazajutrz dzwonię do mamy, by zdać jej relację z kolejnego rozdziału opowieści babci. Trudno mi znaleźć właściwe słowa. Ponownie jestem zwiastunką złych wieści i pustkę między nami wypełnia milczenie pełne osłupienia.

Później spotykam się z Arą i idziemy nadmorskim bulwarem z głowami pełnymi tłoczących się myśli; na tętniącej życiem plaży panuje radość klócząca się z historią, która skaziła nasze umysły.

– Musimy odnaleźć twoje ormiańskie nazwisko – mówi Ara. – Możesz mieć krewnych, o których nie wiesz.

– Bliskich nie. Babcia widziała, jak giną jej bliscy. To pewne.

– A co z jej matką, z dzieckiem, które niosła?

– Wierzysz, że przetrwali?

– Zawsze istnieje szansa. Na pewno masz na świecie jakichś dalekich krewnych. Wszyscy ich mamy.

Ara mówi, że historia babci jest w takim samym stopniu moja, jak i jego, to historia *naszego ludu*. To sformułowanie wydaje mi się górnolotne, uderza mnie jego sprzeczność z wyobrażeniem samodzielnej, niezwiązanej z żadną grupą jedynaczki, jakie mam o sobie. Historia rodzinna Ary jest podobna do mojej – jego dziadkowie także zostali zmuszeni do ucieczki z domów i szukania schronienia za granicą. Nie da się zaprzeczyć, że ta straszna opowieść nas wiąże, jest płaszczyzną porozumienia. Nie ma nic dziwnego w tym, stwierdzam, że babcia nie mówiła o przeszłości i zaczęła prowadzić dziennik dopiero w późniejszych latach życia.

– Mój dziadek nigdy nie opowiadał o przeszłości. Był człowiekiem pełnym dumy, a mówienie o biciu, głodzie i okrucieństwach, jakim został poddany, nie ma nic wspólnego z godnością.

– Niegodna przeszłość. Nigdy tak o tym nie myślałam.

– Kiedy dziadek przybył na Cypr, musiał myśleć o tym, jak zarobić na życie, musiał nauczyć się nowego języka, nie było czasu patrzeć wstecz. Sądzę, że chciał, by widziano w nim bohatera, nie ofiarę, być może twoja babcia myślała w podobny sposób.

Babcia była naszą opoką, ukrywała swoje słabe punkty, dumna z rodziny i życia, które zbudowała.

– Zawsze uważałam, że w jej naturze jest coś mrocznego, ale nigdy nie próbowałam tego poznać. Może w głębi duszy nie chciałam wiedzieć.

Ara całuje mnie na ulicy, a ja odpowiadam bez skrępowania, odsuwając na bok zahamowania. Oglądam siebie z oddali, przytulona do jego ramienia, i myślę: „Weekendowi narzeczeni, wakacyjna przygoda”. Tyle że wcale tak nie jest. Opowieść babci zbliżyła nas do siebie, pozwalając ominąć wszystkie zgrane

rytuały, ale wątpliwości wciąż się tłą, głos z tyłu głowy mówi, żebym przypomniała sobie, jak to było z Robem.

Siedzimy na plaży o zmierzchu, na horyzoncie pojawia się księżyc, duży i pomarańczowy. Słuchamy fal bijących o brzeg, z plaży dobiegają odległe odgłosy. Motorowery warkoczą pośród przyciszonych dźwięków muzyki z tawern. Wieczór jest zimny, wciąż jasny, tak bardzo różny od ciemności, która zbyt szybko zapada nad Anglią o tej porze roku i zapędza cię do łóżka. Słone powietrze miesza się z wonią grillowanego mięsa, subtelną nutą kapryfolium i zapachem Ary. Chciałabym zamknąć w butelce tę uderzającą do głowy miksturę, by wziąć ją do domu. Smutek, który we mnie siedzi, jest ukryty pod zadowoleniem widocznym na zewnątrz. To tylko przelotna więź; przez Morze Śródziemne przyzywa mnie życie w Anglii, „The Echo”, przyjaciele, mama.

Ale teraz potrzebuję właśnie tego: przerwy, miłosnego wytchnienia w słońcu, potrzebuję wysłuchać historii babci, zgłębić ją. Moją głowę wypełniają wyobrażone twarze ludzi, z którymi babcia dzieliła wczesne lata życia, tworzę ich rysy ze skąpych opisów, podobieństwo do Mariam w ich oczach i ustach. Najbardziej obrazowo przedstawiam sobie Gabriela jako pełnego wigoru, błyskotliwego i wiernego chłopaka z dużymi oczami. Gdybym mogła wybrać jedną osobę z przeszłości babci, z którą bym się spotkała, jeśli coś takiego byłoby możliwe, to byłby nią mój cioteczny dziadek Gabriel.

## ROZDZIAŁ 18

### GABRIEL, NIKOZJA, CYPR

Pęta basturmy wiszą groźnie nad moją głową, tuzin przesyconych zapachem kuminu sztuk, zaciśniętych jak pięści. Spoglądam na nie i pragnę, by spadły i zadały mi śmiertelny cios. Napisaliby na moim nagrobku: „Gabriel Arakelian, zabity przez spadającą basturmę”. Gabriel Arakelian, który raz za razem wymykał się śmierci, został w końcu szczęśliwie wyeliminowany przez pęto kielbasy. Przynajmniej nie odejdę z tego świata, śmierząc formaldehydem, tylko z zapachem wody kuminowej, czosnku i kozieradki. „Przybył Ormianin” – powie Śmierć, gdy moja wyraziście pachnąca dusza dotrze na drugą stronę.

Siedząc na plastikowym krześle właściciela domu, na werandzie właściciela domu, wychyłam resztkę whisky. Gapię się na niewielki ogródek z szarańczynem, w którego koronie znajduje się gniazdo. Z tyłu za płotem są zaśmiecone zarośla, schronienie mnóstwa owadów. Marta, moja żona, wypada z domu, ciągnąc za sobą zapach karmelizowanej cebuli, i wyciera mokre ręce w fartuch.

– Idź się przebierz, Gabrielu. Harry będzie lada moment.

– Chcę umrzeć – mówię jej, przybierając minę winowajcy, która nie zaskarbia mi już współczucia.

– Poczekaj, aż pójdzie, i będziesz mógł zrobić, co zechcesz – odpowiada, wchodząc z powrotem do domu.

Moja wnuczka Anahit zaprosiła na obiad swojego greckiego chłopaka. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby to Harry był w karcie dań, posiekany na maleńkie kawałeczki, podany w potrawce. Anahit dorastała w Anglii, Greka poznała na wakacjach, porzuciła zupełnie dobrą pracę nauczycielską w Manchesterze, żeby zamieszkać w naszym pokoju gościnnym i pielęgnować romans skazany na niepowodzenie. Uczy historii w English School, do której ludzie z wyższych sfer posyłają swe dzieci, on zaś zarabia na życie, robiąc przedmioty z drewna.

Marta przygotowała ucztę, by świętować *obwieszczenie* Anahit, jej „wspaniała wiadomość” zrujnuje starannie zaplanowane życie. Dobry Boże, nie pozwól jej wyjść za Greka, nie pozwól jej wyjść za Greka. Była to moja mantra przez całe jej życie. Dobry Boże, spraw, by jej mężem został Ormianin, jeśli się da: lekarz, a najlepiej chirurg. Muszę chyba założyć, że mój wszechmocny, wszytkowiedzący Stwórca ma wadę słuchu.

Anahit spotyka się z Harrym od jakiegoś czasu, ale nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Wielokrotnie obserwowałem go przez okno, jak zabiera ją swoim zdezelowanym samochodem, a z zestawu stereo na cały regulator gra przyprawiająca o ból głowy muzyka. To, jak trzymali go z daleka ode mnie, mogłoby kogoś skłonić do myśli, że jestem trędowaty. Żona i Anahit uważają mnie za staroświeckiego, ale jestem wystarczająco otwarty, by zaakceptować to, że moja

wnuczka ma chłopaka. Inni, wiem o tym, nie są tak postępowi.

Wraca Marta. Przypomina oszalałego kurczaka, biega, żeby uprzątnąć podwórze, podnosi pojedyncze liście jak kłaczki z dywanu. Żadne sprzątanie nie upiększy tej ponurej nory umeblowanej jak klatka dla kur. Właściciel jest niedbałym osłem i przestałem się z nim już wyklócać. Zresztą to też Grek. Myślcie sobie, co chcecie.

Karaluch przemyka żonie obok stóp, drgają mu czółki i zmierza do domu. Marta dostrzega go i z morderczym wyrazem twarzy goni za nim, przydeptuje go dwa razy, rozgniatając jego pancerz. Niepokoi mnie myśl, że moja żona popatrzyła na mnie w ten sam morderczy sposób, i zastanawiam się, czy nie miałyby ochoty i mnie przygnieść butem, żebym nie był na obiedzie i nie psuł atmosfery. Wyjmuje z kieszeni chusteczkę i sprząta martwego robala, budząc moje oburzenie.

– To nora. Nie nadaje się do mieszkania. Roi się od obrzydliwych szkodników.

– Bla, bla, bla. A ty ciągle to samo, jak ta zdarta płyta.

– Mój lekarz mówi, że lepiej wyrażać negatywne emocje niż dusić je w sobie. Lepiej na zewnątrz niż do wewnątrz, żeby nie było z tego guzów.

– O tej porze roku u wszystkich są karaluchy, Gabrielu, nawet u samego prezydenta. One nie odróżniają biednych od bogatych. Są egalitarystami tak jak ty. Pełno ich w ściekach. Karaluchy nie są wyłączną cechą naszego domu.

– To nie jest nasz dom, Marto. Nasz dom leży za ogrodzeniem z drutu kolczastego. To porządny, kamienny budynek z drewnianymi drzwiami i przestronną werandą. Pałac w porównaniu z tym. Kiedy my tu mieszkamy, dzicy lokatorzy siedzą na naszej sofie, szczają do naszej toalety i siedzą przy naszym stole, napychając bandziochy, które są tam zgoła nie na miejscu. Daj Boże, żeby się udławili.

– Nie zamierzam tracić czasu i sił na zamartwianie się rzeczami, których nie mogę zmienić, ani na życzenie innym nieszczęścia. A już z pewnością nie chcę, żeby ktoś się udławił z mojego powodu.

Moje oko dostrzega ruch czarnego węża, wijącego się w dół pnia szarańczynu. Wrócił mój stary wróg Therko, węszy za ptasimi jajami i nasza coroczna wojna zacznie się na nowo.

– Marto, gdzie jest parafina?

– Co ci chodzi po głowie, Gabrielu? Chcesz powitać Harry'ego płonąca pochodnią?

– Nie. Wąż wrócił i w tym roku zamierzam go zabić.

– Zostaw biedne stworzenie w spokoju. Nie może zrobić nic złego i tępi szkodniki, na które zawsze tak narzekasz.

Przez dwa lata wąż mi się wymykał, traktując tę posesję jak swoje królestwo, prześlizgując się po linie nasączonej parafiną i omijając ząbki czosnku

rozmieszczone strategicznie na podwórku, gardząc mlekiem doprawionym trucizną na szczury.

– Wstawaj, Gabrielu. Przebierz się z tych starych ciuchów i ani słowa więcej o zabijaniu węży. Chcę, żeby Harry czuł się tu jak w domu.

– Podaj mi jogurt. – Proszę po ormiańsku, w jedynym języku, którego używam, od kiedy Harry przestąpił próg. Szczęśliwie mam ucho do języków i umiem mówić po ormiańsku, angielsku, turecku i grecku.

– Dziadku, proszę, mów po grecku, żeby Harry mógł zrozumieć. Ile razy mam ci to powtarzać? – szepcze Anahit po ormiańsku.

– Nie mam nic do powiedzenia – ciągnę w naszym ojczystym języku, by dać coś do zrozumienia, zaznaczyć, że nasze rodzinne spotkania nigdy nie będą takie same, gdy zagości wśród nas *odar*, cudzoziemiec. Żadnych wesołych przekomarzanek po ormiańsku, żadnych pieśni z rodzinnych stron, żadnego dowcipkowania i dokuczania, żadnych kłótni o politykę.

Rozmowa tak pełna banałów i nieszczerego śmiechu, że włosy stają mi dęba. Kogo obchodzą wygłupy psa kuzyna Harry’ego, który rozumie kilkanaście komend i potrafi prosić na tylnych łapach? Kogo obchodzi jego gruba, chora na cukrzycę matka? Nigdy jej nie spotkałem, ale Harry ma pełną twarz i gdy pożera jagnięcy pilaw Marty, założenie, że należy do rodu tęgich ludzi, nie wydaje się niedorzeczne.

Marta uważa Harry’ego za przystojniaka, ale skąd jej się to wzięło, trudno mi pojąć, na pewno nie z jego obwisłych policzków. Wygląda na Greka o oliwkowej cerze. Z pospółstwa. Złotowłosa Anahit ma zielone oczy, tak jak moja zmarła siostra Mariam. Podobieństwo jest niezwykle i ściska mi się serce.

Wyrywa mi się beknięcie, niskie i dudniące. Było niezamierzone, ale jego konsekwencje nie są mi niemiłe. Koniec z banałami. Uśmiechy zastygają, a następnie znikają. Wraca powaga, pan domu zaznaczył swoje terytorium wybuchem przesyconym zapachem czosnku, jak pies zostawiający po sobie smród sików.

Marta odsuwa krzesło i wychodzi do kuchni, znów uśmiechnięta. Dlaczego to robi? Przybierać maskę szczęścia, gdy nie ma się z czego cieszyć i gdy – szczególnie dziś – powinniśmy oboje rwać sobie włosy z głowy i wyć?

– Gabrielu, pomógłbyś mi w kuchni? – woła głosem słodkim jak miód.

Zachowuję się posłusznie jak pies kuzyna Harry’ego i idę do kuchni, gdzie wita mnie morderczy wyraz twarzy.

– Dlaczego nic nie mówisz, Gabrielu? Spraw, by chłopak poczuł się swobodnie.

– Co takiego mam mówić?

– Nie przygotowałam scenariusza. Rusz głową. A jeśli bekniesz jeszcze raz, spełnię twoje marzenie.

– Jakie marzenie?

– Obejmę twoją pomarszczoną szyję rękoma i życie z ciebie wyduszę.

Reprimenda udzielona, Marta bierze paczkę chusteczek i wymaszerowuje z kuchni. Idę za nią, zadręczając się, jakie pytanie zadać mężczyźnie, któremu rozmowa z kobietami przychodzi ze zbyt dużą łatwością i który gędzi o psach i swojej matce. Jest jednym z tych, którzy nie mają najmniejszego problemu, żeby w supermarkecie pomóc żonie z wyborem przecenionych biustonoszy i tych środków higieny, o których nie mówi się na głos. Siadając, rzucam okiem w stronę Marty i boję się, że jej usta nie wytrzymają rozciągania, jeśli uśmiechnie się choć trochę szerzej. „Myśl, Gabrielu, myśl”, ponaglam sam siebie. Jakie pytanie powinienem zadać mężczyźnie, którego za grosz nie interesują polityka, historia i postępy w medycynie, którego dowcipy skupiają się na psach, który jest tak męski jak eunuch? Rzucam się na głęboką wodę.

– Czy pana matka jest gruba?

Kobiety piorunują mnie wzrokiem, błyszczące jak klejnoty oczy Anahit zamieniają się w bryły zimnego onyksu.

– Szczupła nie jest – odpowiada Harry. Sprawia wrażenie rozbawionego. – Dlaczego pan pyta?

– Bo między cukrzycą a otyłością często występuje korelacja.

– Nie nazwałbym jej otyłą.

– Ale lubi dobrze zjeść?

– Dziadku!

– W porządku – mówi Harry. – Jest świetną kucharką, tak jak pańska żona. – Marta wygląda, jakby ją kto ozłocił. – Ona lubi gotować, a my lubimy jeść.

– To oczywiste.

– Gabrielu!

– Powinien pan zwrócić uwagę na swoją skłonność do przejadania się, ponieważ może pan być genetycznie podatny na cukrzycę. Nie chce pan dostać udaru, oślepnąć ani być ciężarem dla przyszej żony.

– Pora na deser – mówi Marta z pełną napięcia wesołością. – Chodź mi pomóc, Gabrielu.

– Gabrielu, nie odzywaj się. Ani słowem – syczy w kuchni Marta.

– Zdecyduj się, kobieto. Najpierw prosisz, żebym się odezwał, a jak już to zrobię, mówisz, żebym się zamknął.

– Jesteś niemożliwy. Weź paklawę i postaw ją na stole.

Wypełniam rozkaz, czując się jak stolik na kółkach gospodyni. Mam nadzieję, że Harry nie pomyśli, że jesteśmy pokrewnymi eunuchowatymi duszami. Nie gotuję ani nie wykonuję kobiecych prac. Chętnie wyniosę śmieci i zmienię żarówkę, ale poproście mnie o kupno podpasek, a kategorycznie odmówię.



Marta idzie za mną z miską z budyniem z mąki ryżowej. Zajmując swoje miejsce, zwracam się do niej z miną niewiniątka:

– Ale można rozmawiać o węzach, kochanie?

– Nie – ucina.

– O węzach? – Harry wygląda na zaniepokojonego. – Lubi pan węże, panie Arakelian?

– Nienawidzę ich. Jest taki jeden, wielki i czarny, który zamierza wykraść jaja z gniazda na szarańczynie.

– Mało prawdopodobne, żeby był jadowity, a niektóre węże przynoszą domostwu szczęście. Jeśli zostawi go pan w spokoju, nie ukąsi.

– Słyszałeś, Gabrielu, co chłopak powiedział? Daj sobie spokój z tym wężem.

Jest gorzej, niż myślałem. Chłopak jest oślizgłym miłośnikiem węży, na dokładkę pewnie dewiantem i poganinem, który popala trawkę. Pochyla się bliżej Anahit i bierze ją za rękę. Uśmiechają się do nas promiennie, serce we mnie zamiera – nadeszła sądna godzina, robi mi się słabo.

– Panie Arakelian, pani Arakelian, chcielibyśmy coś państwu oświadczyć. Zamierzamy się pobrać.

Pokój wiruje mi przed oczyma. Jak przez mgłę słyszę szuranie krzesel i wymianę pocałunków, piskliwe uniesienie Marty. Wszystko postawione na głowie. Oczekiwałem, że ogłoszą zaręczyny, zamiar wspólnego zamieszkania, okres próbny na wypadek, gdyby coś poszło nie tak i można by naprawić błędną decyzję.

– Dziadku *jan*, nie pogratulujesz nam?

– Nie tak się robi te rzeczy w naszej kulturze.

W pokoju zalega cisza.

– Nie tak się to robi, Anahit. Mężczyzna musi poprosić o rękę kobiety. Czy on pytał już twojego ojca?

– Powiedziałam ojcu i bardzo się ucieszył moim szczęściem! Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty, a nie początek dwudziestego wieku. Nie potrzebuję niczyjego przyzwolenia, ale chciałabym twego błogosławieństwa. Bardzo wiele by to dla mnie znaczyło.

– Ale skąd ten pośpiech? Jesteś w ciąży? Uważam, że powinnaś wziąć na wstrzymanie. Nie chcesz chyba popełnić głupiego błędu.

– Chodź, Harry, idziemy. – Bierze go za rękę i prowadzi do drzwi jak mężczyznę, który jest słaby na umyśle.

Marta odwraca się w moją stronę, powstrzymując łzy.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony, Gabrielu. Twój język jest jak koń, który poniósł. Kiedy *ty* się w końcu nauczysz brać na wstrzymanie? Zmień podejście albo stracisz tę dziewczynę. Życie niczego cię nie nauczyło? Nie

straciliśmy już wystarczająco wiele?

Idę do łóżka ze słowami Marty dzwoniącymi w uszach, wychylam kapkę whisky, żeby zasnąć, i zapadam w niespokojny sen. Wracam tej nocy na polanę i przyglądam się wydarzeniom z oddali, siedząc na gałęzi drzewa. Scena jest tak sugestywna, jakby zdarzyła się wczoraj. Rankiem obrazy wciąż tkwią mi na siatkówce, unoszą się przed oczyma jak upiorny hologram. Przeszłości takiej jak moja nie da się zrzucić jak wężowej skóry, to przewlekła choroba, blizny wryte od wewnątrz.

## ROZDZIAŁ 19

### GABRIEL, WSCHODNIA TURCJA, ROK 1915

Znalazła mnie o włos od śmierci Turczynka, która wybrała się do lasu na poszukiwanie pożywienia i natrafiła na scenę prosto z piekła. Sprawdziała ciała w nadziei na jakiś znak życia: bicie serca, oddech, drgnienie. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny, godziny czy dni, zanim Esra uwolniła mnie z plątaniny trupów i podniosła z ziemi.

W głowie rozbłyskiwały mi obrazy i zatrząskiwały się w umyśle. Moja matka i Alitz pojawiły się za mgiełką w podczerwieni, a potem zniknęły, mój ojciec wisiał na płonącej linii, a Towmas leżał pod stosem ciał, spod którego wystawała jego zakrwawiona ręka. Jaskrawe światło przesączało się przez powieki. Czulem na twarzy słońce i wyobrażałem sobie, że jestem niesiony przez żyzną łąkę w drodze do nieba, gdzie będą na mnie czekali Towmas, Mariam i ojciec. Zostałem posadzony na ziemi – nieznany delikatny dotyk na plecach – i usłyszałem kobiecy głos.

– Jest rozpalony. Zdziwię się, jeśli przeżyje.

Nuta gardenii mieszała się z zapachem zakrzepłej krwi w moich nozdrzach. Na przemian odzyskiwałem i traciłem przytomność. W jednej chwili byłem w domu w Cezarei, a w następnej znajdowałem się w lepiance śmierdzącej ziemią. Słyszałem dziecięce głosy, widziałem twarze, duchy. Matka schylała się, żeby mnie pocałować w policzek, a potem kobieta w chuście klęczała obok materaca i pocierała mi twarz wilgotną szmatką o ostrym zapachu. Ranę na policzku pokrył strup, sączyło się spod niego, rana swędziała, a twarz przeszywał piekący ból. W oddali beczały kozy i gdakały kury, matka śpiewała po ormiańsku, młode dziewczyny nuciły po turecku. Moje usta zacisnęły się na butelce i chłodna woda wypełniła mi gardło. Dygotałem z zimna i błagałem o gorąco, ale kiedy nadeszło, było palące i spływałem potem. Do mojej świadomości docierały urywki sensu, zanim nie znikły jak dmuchawce porwane wiatrem.

Po dłuższym czasie obudziłem się słaby, ale przytomny. Pokój miał gołe ściany z cegły mułowej i klepisko. Męski strój roboczy wisiał na haczyku u drzwi. Wysoki kredens stał naprzeciw materaca, a w małym oknie powiewały firanki ręcznej roboty, którymi poruszał chłodny wiaterek, niosący zapach gardenii.

Do pokoju weszła kobieta, ta, którą widziałem w snach i która klęczała u mojego boku.

– W końcu się obudziłeś – powiedziała po turecku. – Po trzech dniach musisz umierać z głodu. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Włożyła mi do rąk kromkę ciepłego jeszcze chleba. Wgryzłem się w nią, uświadomiwszy sobie nagle swój wilczy głód.

– Skropiłam ją tłuszczem i posypałam cukrem – powiedziała kobieta. – Żeby

cię wzmocnić, mój mały mężczyzno.

Był to najlepszy chleb, jaki w życiu jadłem – słodki i słony zarazem. Zebrałem okruchy z łóżka i zlizalem je z dłoni, chciałem więcej. Kobieta usiadła obok mnie na materacu, przyglądając mi się uważnie. Wzdrygnąłem się.

– Nie bój się. Nie skrzywdzę cię. Z jakiegoś powodu Allah postawił cię na mojej drodze. Jesteś Ormianinem?

Powiedziałem jej, jak się nazywam. Spytała, skąd pochodzę, ale przeszłość była niewyraźną plamą. Niewiele potrafiłem sobie przypomnieć poza materacem i chlebem, który przyniósł ulgę mojemu żołądkowi.

– Gdzie twoja rodzina, Gabrielu?

– Moja rodzina...

Przeszłość mściwie powróciła, okropności wypełniły moją głowę, szczypały w oczy. Brat i siostra zabici niczym zwierzyna łowna. Oboje nie żyją. Ukryłem twarz w dłoniach i zaszlochałem. Esra objęła mnie i trzymała w ramionach jak matka, słuchając płaczliwej relacji z rzezi w lesie, a potem sama zapłakała.

– Muszę odnaleźć matkę – powiedziałem, zdawszy sobie nagle sprawę, że może ona nadal żyje.

– Nie możesz teraz odejść. To byłoby dla ciebie niebezpieczne. Zostaniesz tu, dopóki zamieszki nie przycichną, a potem obiecuję, że pomogę ci odnaleźć matkę.

Odgłosy zbliżającego się wozu sprawiły, że poderwałem się i przywarłem do ściany.

– Nie bój się, Gabrielu. To tylko Ahmet, mój mąż, wraca z targu z naszymi córkami.

Do pokoju wpadły dwie dziewczynki. Wyglądały na zaskoczone i zdenerwowane, zobaczywszy, że siedzę na łóżku. Miały rozczochrane włosy, wytarte ubrania i chodziły boso. Za nimi wszedł ojciec, wielki mężczyzna z gęstymi wąsami, w workowatych pantalonach.

– Nasz gość wrócił między żywych – powiedziała Esra.

Dziewczynki zaklaskały, a twarz mężczyzny rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

Przez następny tydzień miałem mętlik w głowie, zaczynałem płakać, gdy tylko przypominałem sobie o bracie i siostrze, a przez resztę czasu pogrążony byłem w apatii. Przesypiałem większość dnia albo leżałem z zamkniętymi oczyma, przysłuchując się domownikom zajmującym się swoimi sprawami. Dziewczynkom bawiącym się na dworze, Esrze mielącej pszenicę na mąkę, piorącej ubrania w kamiennym zlewie albo piekącej pity na koksowym piecu. Tęskniłem za matką, ale bliska obecność Esry niosła pociechę. Myślałem o powrocie na polanę, by pochować brata i siostrę, ale bałem się widoku ich wychudzonych ciał. Esra przyjrzała się wszystkim dzieciom. Nie przeżył nikt oprócz mnie.

Któregoś wieczoru, gdy leżałem na materacu między jawą a snem, podsłuchiłem przypadkiem rozmowę Esry z mężem w drugim pokoju.

– Chcę go zatrzymać, Ahmecie. Wychować jak własne dziecko. Biedaczek nie ma nikogo.

– Też bym tego chciał, ale boję się. Słyszałem dziś, że soltys stracił posadę, bo udzielił schronienia ormiańskim dzieciom. Co się stanie, jeśli odnajdą Gabriela?

– Nie obchodzi mnie to. Kocham go.

– Ale jeśli go znajdą? Pomyśl o dziewczynkach.

– Nikt go tu nie znajdzie. Gdyby ktoś pytał, powiem, że to syn siostry. Mówi po turecku tak dobrze jak my.

– Igramy z ogniem.

– Nie wydam go, Ahmecie. Nie pošlę go na śmierć. Nie mogłabym z tym żyć.

Nazajutrz rano Esra poszła z córkami do wioski załatwić sprawunki. Gapiłem się przez okno, a mój umysł wyłączył się, jak to często bywało. Wołałem nie myśleć, nie rozpamiętywać bliskiej przeszłości. Z otępienia wybudziły mnie odgłosy powozu i chwilę później pod domem stanął Ahmet. Pracował na roli, z reguły do wieczora. Jego powrót był nieoczekiwany.

Przywołał mnie skinieniem.

– Gabrielu, zabiorę cię na przejażdżkę.

Esra uprzedzała, żebym nigdzie nie wychodził, nie otwierał drzwi, gdy jej nie ma, nie mówił nikomu, że jestem Ormianinem. Ufałem jednak Ahmetowi i cieszyłem się, że będę miał szansę wyrwać się z domu, w którym żyłem jak zbieg.

Polna droga była wąska i poorana koleinami. Koła rozklekotanego wozu podskakiwały na wybojach, przyprowadzając mnie o ból brzucha. Wyczułem napięcie Ahmeta prowadzącego starą chabetę nierówną drogą, która wiodła do lasu, a potem się przez niego wiała. Wyczułem, że nie jest to zwykła przejażdżka, że Ahmet zmierza gdzieś w konkretnym celu. Trzydzieści minut później ujrzałem szczyt minaretu wyrastający ponad czubkami drzew, zanim w polu widzenia znalazł się niewielki meczet.

– Dokąd jedziemy, Ahmecie? – Panika wprawiła moje członki w drżenie.

– W bezpieczne miejsce. Nie martw się.

W stronę powozu kroczył mułła w turbanie, z szerokim, rozbijającym uśmiechem. Ahmet ściągnął wodze i zwrócił się do mnie:

– Mułła obiecał, że zabierze cię do kryjówki w Bejrucie. Gdzieś, gdzie znajdziesz inne ormiańskie sieroty.

– Nie chcę tam iść.

Nie byłem gotów, żeby opuścić bezpieczny azyl domu Esry i rodzinę, której ufałem.

– Zeskakuj, chłopcze – powiedział mułła. – Nikt cię tu nie chce skrzywdzić.

– Ale nie pożegnałem się z Esrą...

– Nie wie, że cię tu zabrałem – rzekł Ahmet. – Proszę, wybacz mi, Gabrielu. Muszę stawiać na pierwszym miejscu bezpieczeństwo mojej rodziny.

– Złóż, chłopcze. Przed nami długa podróż, a musimy wyruszyć, nim zapadnie zmrok. – Mułła wziął mnie za rękę swymi kościstymi palcami.

– Proszę, opiekujcie się tym chłopakiem – powiedział Ahmet. – Ja i żona go pokochaliśmy.

Mułła odprawił go gestem ręki, a następnie zaprowadził mnie do meczetu.

## ROZDZIAŁ 20

### GABRIEL, NIKOZJA

„Twój język jest jak koń, który poniósł”, powiedziała Marta.

Partogh, mój przyjaciel, przysłuchuje mi się z drwiącym uśmiechem, potrząsając kośćmi do gry w złączonych dłoniach.

– Od wielu dni traktuje mnie oziębło – ciągnę.

Jesteśmy w klubie ormiańskim pełnym skórzanych foteli wygniatanych przez kościste i pulchne tyłki, przystani dla mężczyzn na emeryturze, uzależnionych od turlania się i stukotu kości. Dym unosi się nad głowami jak chmura deszczowa. Z wnętrza kuchennej rozchodzi się ożywczy zapach kawy i posypanych cukrem bułeczek z pastą sezamową.

Partogh rzuca parę szóstek i przesuwa pionki z niepokojącym uśmiechem.

– Dlaczego się śmiesz, Partoghu? Co cię tak śmieszy? Żona ze mną nie rozmawia. Wnuczka ma zamiar wyjść za odara. Twój przyjaciel ma przechlapane, czasem dostanie jakiś ochłap na obiad. Marta od pięciu dni nie gotuje jagnięciny, tylko fasolę i śrutę. Człowieku, jestem na granicy śmierci głodowej, cierpię na chroniczne wzdęcia. Gdyby nie ciastka z kremem w klubie, tobym zemdłał. Dlaczego, na Boga, wyglądasz na tak zadowolonego?

– Rzuciłem dwie szóstki.

– Uśmiechałeś się, zanim rzuciłeś parę.

– Miałem przeczucie.

– Cieszysz się z nieszczęścia przyjaciela?

– Z nieszczęścia, które sam spowodowałeś.

– Co masz na myśli?

– Twój pieski los, Gabrielu. Jesteś swoim największym wrogiem.

– Na samą wzmiankę o psach robi mi się niedobrze. Ten Grek tak je lubi.

Dzięki kolejnej parze Partogh wygrywa partię. Siadam wygodnie w fotelu, zapalam rothmansa i zaciągam się głęboko, porządnie. Klub tętni życiem, trwa żywa polityczna dyskusja. Rozbrzmiewają podniesione głosy. Podchodzi nasz przyjaciel Howsepian i zajmuje wolny fotel, by pykać w nim fajkę. Opowiadam mu o swojej niedoli i, tak jak się spodziewałem, okazuje mi więcej współczucia niż Partogh.

– Dobrze zrobiłeś, Gabrielu. Ja zachowałbym się dużo gorzej. Jeśli moja wnuczka przyprowdzi do domu Greka, wydziedziczę ją.

– A więc osioł z ciebie, Howsepian – mówi Partogh. – Grecy to nasi bracia.

Howsepian wypuszcza nosem powietrze.

– Nie rozumieją naszych zwyczajów, nie czują naszej muzyki, nie mówią w naszym języku ani nie jedzą naszych potraw.

– Jedzą suwłę, a my chorowac, innymi słowy mięso nadziane na szpikulec,

które piecze się na rożnie. Oni jedzą kubebię, a my sarmasy. Obie potrawy mają nadzienie zawinięte w liście winogron. Jaka jest różnica? Kilka głupich orzeszków piniowych? To nie powód do apartheidu.

– To ty jesteś głupi, Partoghu. Głupi jak but. – Howsepien podkreśla swoje zdanie, stukając się sugestywnie w czoło. – Gdyby wszyscy nasi młodzi poszli za przykładem Anahit, w ciągu dwudziestu lat nie zostałby nikt mówiący po ormiańsku, a my, jako lud, przestalibyśmy istnieć.

Partogh wzdycha.

– Poświęcenie w imię większego dobra, jak to raz po raz powtarzasz. Mam ciebie dość. A co z nieprzewidywalną zmienną zwaną miłością? Gdzie się ona mieści w twojej koncepcji, Howsepienie?

– Daleko za powinnością względem rodziny, oczywiście.

– Co byś powiedział, gdyby twoja wnuczka poślubiła odara? – pytam.

– Nie jest to coś, czego bym sobie życzył, ale jej szczęście jest ważniejsze od mojego. Przynajmniej twoja córka wyszła za Ormianina, Gabrielu.

Howsepien wypuszcza chmurę gryzącego dymu.

– Cóż, możesz myśleć, co sobie chcesz. Jeśli moja wnuczka weźmie ślub z odarem, nic nie dostanie. Ani grosza.

– Nie mam co dać, więc nie bardzo mogę wygłaszać takie groźby – mówię.

Howsepien kiwa współczująco głową, a po chwili robi pewne odkrycie.

– To może być twoja jedyna zaleta, przyjacielu. Kiedy Grek zda sobie sprawę, że na koncie Arakelianów nie ma pieniędzy i że nie mają ziemi, może ponownie przemyśli sytuację. Wiesz, jak ci Grecy skupieni są na pieniądzach.

– Nasza społeczność zmierza dokładnie w tym samym kierunku – mówi Partogh. – Szybko zamieniamy się w stado niepoprawnych nuworyszów.

– Mów za siebie – odpowiada Howsepien.

– Jedyna wartościowa rzecz, jaką posiadam, to mój zegarek i nie pozwolę mu położyć na nim łapy – oznajmiam.

Srebrny zegarek kieszonkowy tkwi w kieszonce kamizelki, kupiłem go za tysiąc funtów cypryjskich w czasach, gdy miałem wolną gotówkę. To kopia zegarka należącego do mojego ojca.

– Pomyśl tylko, Gabrielu. Kiedy Anahit wyjdzie za mąż, może w końcu doczekasz się prawnuka, o którym ciągle nudzisz. Tego, który dostanie imię po tobie i pójdzie na akademię medyczną.

– I nigdy nie powie ani słowa w naszym języku – podkpiwa Howsepien.

Do klubu wchodzi kobieta i wszystkie spojrzenia zwracają się na nią – nie ma w nich nic lubieżnego, raczej podejrzliwość i niezadowolenie z najścia. Podchodzi do przewodniczącego klubu, który ściska jej dłoń.

– Kto to? – pytam. – Nie znam jej. Wygląda niezbyt porządnie, pewnie Angielka.



Przewodniczący odwraca się i wskazuje mnie palcem.

– Dlaczego, do cholery, na mnie patrzą? Przychodzę tu, żeby uciec od kobiet. Co ten przewodniczący sobie wyobraża?

– Za chwilę się przekonamy, Gabrielu. Idą do nas – mówi Partogh.

– Panowie – przemawia przewodniczący wzorową angielszczyzną – chciałbym wam przedstawić Jennifer z Kalifornii.

– Mówiłem ci, że to *odar* – odzywam się po ormiańsku.

– Jennifer jest antropolożką – ciągnie przewodniczący. – Prowadzi szczegółowe badania ormiańskiej diaspory i pragnie się skupić na naszej społeczności tu, na Cyprze. Chciałaby porozmawiać z tyłoma z nas, z iloma będzie mogła, o naszym życiu teraz i dawniej, o naszym kręgu znajomych, tego rodzaju sprawach.

– Nie jestem królikiem doświadczalnym, żeby mnie szturchała i trącała kobieta, której absurdalne włosy sprawiają, że wygląda jak zaniedbany karczoch.

Howsepien chichocze z mojego dowcipu rzuconego po ormiańsku.

– Ogromnie mi miło panów poznać – mówi Jennifer z typowo amerykańskim entuzjazmem.

Na czym opiera swój zachwyty?

– Gabrielu. – Przewodniczący ponownie mnie wyróżnia. – Masz niezwykle ciekawą historię do opowiedzenia. Może byłbyś gotów poświęcić Jennifer troszkę czasu?

– Gram w tryktraka.

– Nie przyszłoby mi do głowy, żeby panu przeszkadzać w tej chwili, panie... – mówi Jennifer.

– Arakelian.

– Może moglibyśmy się umówić dziś o późniejszej porze albo jutro. Jak panu odpowiada. Nie ma strasznego pośpiechu. Będę tu kilka tygodni.

– Może pójdzie pani po południu do Gabriela do domu? – pyta Partogh. – Jego żona to urocza kobieta i jestem pewien, że będzie szczęśliwa, mogąc pani pomóc. Czy piąta po południu ci odpowiada, mój drogi?

Nie wiedzieć czemu przytakuję, choć z urazą. Zwykle o piątej piję kawę i czytam gazetę, siedząc z wyciągniętymi nogami w podkoszulku i kapciach.

– Byłoby wspaniale. Dziękuję. A jak mam się uczesać na nasze następne spotkanie, panie Arakelian? Nie zniosłabym, gdybym znów miała wyglądać jak warzywo.

– Słucham?

– Gabrielu, zapomniałem wspomnieć, że Jennifer płynnie mówi po ormiańsku. Bystrzacha z niej, nie? – Przewodniczący szczerzy zęby jak małpa, jego słowa wiszą w powietrzu jak stado pawianów na drzewie.

Partogh parska śmiechem, a Howsepien krztusi się dymem.



## ROZDZIAŁ 21

### GABRIEL, BEJRUT, ROK 1916

Śniłem, że jestem w domu w Cezarei i leżę w łóżku na wznak obok Mariam. Ona szeptem opowiedziała dowcip, a ja stłumiłem śmiech, zasłaniając twarz prześcieradłem. Bałem się ciemności, ale obecność ciepłego ciała mojej siostry sprawiała, że czułem się bezpieczny. Odtwarzając w głowie żarty Mariam, obudziłem się z uśmiechem na twarzy. Uśmiech zamarł w chwili, gdy otworzyłem oczy i zorientowałem się, że jestem gdzie indziej. Podnosząc głowę i rozglądając się wokół, wpadłem w rozpacz – jakbym po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że będę widywał Mariam już tylko w snach, że mój ojciec odszedł i matka pewnie też nie żyje. Próbowałem zasnąć, by z powrotem przenieść się duchem do Cezarei, ale odgłosy płaczu, chrapania, kasłania i chłopiących wiatrów brutalnie przywołały mnie do rzeczywistości, do nowego życia, w którym miałem fikcyjną tożsamość i w którym moje imię zostało zmienione na Guven.

Po tym jak Ahmet wysadził mnie obok meczetu, mułła zabrał mnie do domu dziecka w Bejrucie, gdzie mieszkałem już trochę ponad rok. Nadal tęskniłem za Esrą, choć tak krótko ją znałem, i często rozmyślałem o tej kobiecie aniele, która uratowała mi życie i okazała wielką dobroć.

Zadzwonął dzwon na modlitwę poranną w refektarzu. Czterystu osieroconych chłopców podniosło się z prostokątnych posłań. Woń potu, stęchlizny i moczu wypełniła ciężkie powietrze. Wszyscy mieliśmy ogolone głowy, żeby pozbyć się wszy, ale pasożyty załęgły się w innych miejscach: w pościeli, ubraniach i rzadkich włosach pod pachami starszych chłopców.

Jasne światło słoneczne sączyło się przez łukowate kamienne okna dawnego seminarium. Drobinę kurzu, maleńkie jak chore pasożyty, które opily się młodej krwi, wirowały w powodzi światła. Większość chłopców w sierocińcu była Ormianami, ale zdarzały się też tureckie i kurdyjskie dzieci. Mieszkaliśmy pod belkowanym stropem trzystuletniego budynku z wielkimi pomieszczeniami, długimi korytarzami i zacienionymi krużgankami. Rok wcześniej księża lazaryści chodzili tymi korytarzami ze spuszczoneymi głowami, czytając Pismo Święte. Wydaleni przez osmańskiego gubernatora, przenieśli się do klasztoru położonego wyżej, w górach Libanu.

Ubrałem się w pośpiechu w białą szatę i szary płaszcz bez rękawów. Z drugiego końca pomieszczenia dobiegały okrzyki. Beznamiętnie przyglądałem się zamieszaniu. Jeprem, ormiański chłopiec, leżał skulony na boku, odmawiając wstania, jego pościel poplamiona była wymiocinami. Starszy brat Jeprema, Minas, pochylał się nad nim, namawiając go do porannej modlitwy, zanim przyszedli strażnicy i wyciągnęli go z łóżka. Sierociniec prowadzono z wojskową dyscypliną i tym, którzy przeciwstawiali się regułom, wymierzano surowe kary. Zatrudniano

tureckich żołnierzy, strażników, urzędników, inspektorów i nauczycieli. Czterem arabskim siostrą zakonnym powierzono zadanie dbania o higienę i odżywianie ośmiuset chłopców.

Jeprem skarżył się na ból brzucha i zaczął płakać. Chłopcy stłoczyli się wokół jego materaca, skandując: „Wstawaj, wstawaj”. Bracia byli lubiani, szczególnie Minas. W siłowaniu się na ręce mógł pokonać każdego chłopaka, potrafił wyklócać się o swoje jak najlepszy z polityków. Miał rudoblond włosy i bystre oczy koloru melasy. Krążyła pogłoska, że planuje ucieczkę. Podszedł do niego Kurd z rękoma założonymi na piersi. Miał na imię Munzir i był przywódcą małej grupki kurdyjskich sierot.

– Powiedz swojemu bratu, żeby się zamknął. Mam dość jego wycia. – Munzir rzucił okiem na chłopców, którzy szli za nim.

Podziwiali jego pewność siebie, był dla nich autorytetem.

Minas próbował ściągnąć brata z łóżka.

– On się już nigdzie nie wybierze, chyba że na cmentarz – powiedział Munzir. – Dlaczego nie pozwolisz mu umrzeć i dać nam wszystkim odetchnąć od tych strasznych wrzasków?

Oczy Minasa zapłonęły. Wyjął widelec z kieszeni i wbił go w ramię Munzira. Kurd wrzasnął, wyszarpnął widelec z ciała i rzucił się na Minasa, przewracając go na ziemię. Chłopcy tarzali się po posłaniu, okładając się pięściami, drapiąc i gryząc. W powietrzu latały plwociny i tryskała krew, plamiąc szaty dopingujących chłopców, którzy dawali upust tłumionym dotąd uczuciom. W ciągu kilku minut Minas przydusił Munzira do ziemi i zaczął go walić po głowie. Bałem się, że wrzaski zaalarmują strażę, przez co ostatecznie Minas przegra bójkę, nawet jeśli wyszedłby z niej zwycięsko.

Głowa Munzira latała z boku na bok, podczas gdy chłopak próbował się uwolnić i rozluźnić ręce ściskające go za gardło. Oddychał z trudem, twarz mu poczerwieniała, wytrzeszczone oczy błagały Minasa, żeby go puścił. Usłyszałem szybki tupot butów Alima, zanim zobaczyłem strażnika otwierającego szeroko drzwi dormitorium i wpadającego do środka. Minas został szybko postawiony na nogi i ukryty za grupą ormiańskich chłopców.

– Co tu się stało? – Strażnik stał nad Munzirem, który zwijał się na podłodze i ściskał za szyję.

Nikt się nie odezwał. Alim złapał za rękę jakiegoś malucha.

– Powiedz, co się stało, albo zostaniesz ukarany.

Trząśł nim jak szmacianą lalką, dopóki u stóp malca nie pojawiła się kałuża moczu i chłopiec zaczął błagać strażnika, by przestał. Minas zrobił krok naprzód, twarz miał mokrą i zakrwawioną.

– Pobiliśmy się – powiedział.

– Jak się nazywasz?

– Minas Eghian.

Wstrzymałem oddech i pomyślałem, że przeciwstawiając się zasadom domu dziecka i używając swojego ormiańskiego nazwiska, Minas jest zarazem głupi i bohaterski. Każdemu ormiańskiemu chłopakowi, który pojawił się w sierocińcu, nadawano tureckie nazwisko. Niektórzy spośród młodszych chłopców zdążyli już zapomnieć swoje nazwiska, język i religię. Udało się ich z powodzeniem rozebrać na kawałki i ulepić na nowo. Modlili się do Allacha pięć razy dziennie, uważali mułłę za swego duchowego przewodnika i z entuzjazmem maszerowali po kamiennym dziedzińcu, by zadowolić dyrektora sierocińca, który przyglądał się temu z uznaniem, dumny z roli, jaką odegrał w nawracaniu giaurów – niewiernych.

– Coś powiedział? – Strażnik chwycił rękojeść drewnianej pałki, którą miał wsuniętą za szarfę w pasie.

– Powiedziałem, że nazywam się Minas Eghian.

Alim wyciągnął pałkę i uderzył go w głowę – drewno głucho stuknęło o kość. Już po raz drugi dzisiaj ścięto Minasa z nóg i chłopak leżał ogłuszony twarzą do ziemi.

– Przypomniałeś sobie już, jak się nazywałeś?

Ścisnęło mi żołądek. Chciałem, by Minas dał za wygraną i ocalił siebie, żeby przestał igrać ze strażnikiem, który sprawował tu władzę absolutną i wydawał się czerpać satysfakcję z używania pałki albo skórzanego pasa.

Minas wstał i wyprostował się; miał zaciśnięte szczęki i oczy odbijające wrogie spojrzenie strażnika.

– Nazywam się Minas Eghian.

Alim złapał go brutalnie za rękę i wyciągnął z pomieszczenia, a starsi chłopcy zaciskali pięści i powstrzymywali łzy.

Po porannej modlitwie w refektarzu i śniadaniu złożonym z chleba i oliwek szedłem do swoich obowiązków. Pomagałem doktorowi Baharowi w szpitalu sierocińca, gdzie leczono kilkudziesięciu chłopców. Kiedy doglądałem chorych, udawało mi się na dłuższy czas zapomnieć o dawnym życiu i żyć tylko terażniejszością. Dobrze władałem tureckim i nie przechodziłem już na ormiański, mimo że po ormiańsku myślałem i śniłem.

Moim pierwszym zadaniem każdego dnia było podanie kryształków siarczku wapnia chłopcom z objawami tyfusu: wysoką temperaturą, bólem brzucha, suchym kaszlem i ciemną wysypką. Sala była zatłoczona i źle wyposażona. Chorzy leżeli na poplamionych materacach. Kasłali krwią i śluzem w brudne szmatki. Niektórzy leżeli bez ruchu, trawieni gorączką i odwodnieni. Inni cierpieli przejmujący ból. Przyzwyczailem się do odoru choroby i syczących ciężkich oddechów zwiastujących śmierć.

Gdy wszedłem do izby chorych, zaskoczył mnie widok Jeprema na materacu przy drzwiach. Chłopak wpatrywał się w sufit, krew odpłynęła mu z twarzy, brudna

szata przylegała do wynędzniałego ciała.

Doktor Bahar skubał siwą brodę pogrążony w myślach. Stał nad Jepremem.

– Guven, mój chłopcze, sytuacja jest poważna. Epidemia tyfusu wymyka się spod kontroli. Kolejny dzień, kolejna ofiara, a przed zapadnięciem zmroku spodziewam się następnych.

– Tak, *effendi*. – Doktor zawsze był miły, traktował mnie z szacunkiem, nagradzał za pomoc jedzeniem. Wiedział, że mój ojciec był lekarzem, ale moja wiedza medyczna go zaskoczyła.

– Dlaczego sieroty przychodzą do mnie, dopiero gdy objawy są tak poważne? Dlaczego nie przyjdą wcześniej, kiedy można je leczyć i uratować?

Znałem odpowiedź na to pytanie, ale tylko wzruszyłem ramionami. Sieroty sądziły, że doktor Bahar zatruwa swych pacjentów na rozkaz dyrektora. Doktor był dobrym człowiekiem, robił, co mógł, by wyleczyć chorych, mając do dyspozycji niewiele środków medycznych. Improwizował z tym, co zostało w słojach aptecznych po lazarystach, oszczędnie używając maści, pigułek i tynktur. Najlepsze, co mógł zrobić dla większości chłopców, to podanie morfiny, by złagodzić ból, stępić zmysły i zapewnić spokojną śmierć.

Przyszli dwaj strażnicy. Rozglądali się nieufnie po sali, obawiając się zarażenia. Doktor wskazał ciało leżące na materacu w rogu. Strażnicy mamrotali przekleństwa, niezadowoleni, że wysłano ich, by pochowali kolejną roznoszącą chorobę sierotę. Przeszli przez salę, zawinęli ciało chłopaka w jego prześcieradło i wynieśli. W szpitalu ta scena rozgrywała się kilka razy w tygodniu i zacząłem uważać śmierć za rzecz powszednią. Przestałem opłakiwać sieroty trafiające do płytkich grobów albo najbliższej rzeki, odsyłane na tamten świat bez ceremonii religijnej.

W południe w izbie chorych było gorąco i – mimo otwartych okien – brakowało powietrza. Część chłopców zgramoliła się z posłań na podłogę, próbując się ochłodzić przyciskaniem policzków do kamiennej posadzki. Czoło zrosił mi pot, cały byłem mokry, a do kości przenikało usypiające gorąco.

Drzwi szpitala się otworzyły i Alim wciągnął za nogę Minasa. Chłopak był nagi do pasa, ciało miał dotkliwie poparzone. Widziałem innych chłopców w tym stanie – zmuszono ich do stania na słońcu i gapienia się w nie godzinami. Skórę Minasa pokryją bąble, a jego oczy mogą nigdy nie wydobrzeć. Słońce było okrutniejsze od strażników, parzyło jak przez szkło powiększające, które wypala papier.

Alim puścił nogę jeńca. Upadła na podłogę i wygięła się.

– Gdzie mam położyć chłopaka?

– Po prostu nam go zostaw. Zrobiłeś swoje – odparł surowo lekarz, nie bojąc się okazać dezaprobaty.

Kiedy Alim opuścił salę, doktor Bahar przyjrzał się uważniej Minasowi

i pokręcił głową.

– Nie wystarczy już nieszczęście w tym miejscu, że ci idioci muszą powodować kolejne? Gdzie mamy położyć tego biedaka?

Minął tydzień. Minas i Jeprem zdrowieli. Jeprem spał, jego brat zaś siedział naprzeciw mnie na podłodze. Bawiliśmy się małymi kamyczkami. Kamyki Minasa to był rosyjski batalion. Ustawiał je w jednej linii i czekał, aż zgromadzę turecką armię, zanim kamyki rzucają się na siebie i rozproszą. Za murami sierocińca prawdziwi żołnierze walczyli bronią, która rozrywała ciała. Tutaj jednak niewiele mówiło się o wojnie. Byliśmy spragnieni wieści i przysłuchiwaaliśmy się prowadzonym szeptem rozmowom nauczycieli. Od czasu do czasu informacji udzielał nam doktor, zaniepokojony tym, że turecka armia ponosiła straszne klęski i jest w odwrocie.

Wbrew sobie straciłem czujność i zacząłem myśleć o Minasie jako o przyjacielu. Podziwiałem jego odwagę, choć obawiałem się lekkomyślności.

– Przyjacielu – szeptał do mnie. – Zrób, co możesz, żeby pomóc Jepremowi. Znikamy w niedzielę.

– Dokąd pójdziecie?

– Zapłacimy strażnikowi, żeby pomógł nam uciec. Pójdiesz z nami?

Ucieczka wydała mi się niemożliwa.

– Skąd wzięliście pieniądze?

– Robię paski ze skrawków skóry i je sprzedaję.

Minas przyuczał się na szewca. Udawało mu się wygrzebywać skądś skrawki, z których szył paski, by sprzedawać je na czarnym rynku. Sieroty używały każdej waluty, jaka wpadła w ich ręce – jedzenia, drutu stalowego, tkanin, noży i widelców używanych jako broń. Niektórzy sprzedawali chleb Libańczykom zebrzącym o jedzenie pod bramą sierocińca.

Było późne popołudnie i wilgotna bryza na mojej skórze przypominała ciepły oddech. Stałem na dziedzińcu, czekając na Minasa, który poszedł na poszukiwanie potrzebnych materiałów. Za mną wznosiła się wieża zegarowa, wielki, kamienny gmach z blankami na szczycie muru, tak wysoki, że można go było dojrzeć z odległości wielu kilometrów. Posąg Świętego Józefa trzymającego ciesielski kątownik stał w głębokiej wnęce pod zegarem, który już nie wybijał godzin.

Minas wrócił z kilkoma kamieniami, kawałem drutu, odłamkiem szkła i skrawkiem materiału podwędzonym z kosza sprzed szwalni zakonnicy. Poprowadził mnie na tyły budynku ku parapetowi. Wystające cegły, kamienne półki, mała wnęka i balkon były punktami oparcia, których użyliśmy, wspinając się po ścianie, by wdrapać się na dach. Walczyłem ze strachem i z trudem podciągałem ciężar własnego ciała, aż w końcu podreptałem kalenicą za idącym swobodnym krokiem Minasem.

– Jakim cudem idziesz tak szybko? Nie boisz się, że spadniesz?

Zostawałem w tyle, kilka razy tracąc równowagę.

– Byłem tu setki razy. Uwielbiam wysokość.

Minas zeskoczył na płaską część dachu, nad rzędem pustych magazynów. Zsunąłem się za nim i zobaczyłem coś, czego do tej pory nie zdołałem zauważyć, ponieważ byłem zbyt zajęty patrzeniem pod nogi. Masa wiecznie zielonych drzew ciągnęła się po horyzont, masa, na którą ledwie spojrzałem od przybycia do sierocińca, bo świat zewnętrzny mnie nie interesował. Z naszego podwyższenia rozpościerał się biblijny pejzaż z lasami jałowcowymi, szarańczynowymi i sosnowymi, górskie zbocze pulsujące ptasim życiem, gdzie pokolenia ludzi żyły w domach z kamienia, poszukując migdałów, pistacji i miodu. Przysiadłszy na szczycie budynku, czułem się silny i niezwyciężony, nie byłem już na łasce dyrektora, nauczycieli czy Alima. Gdy patrzyłem na świat z tego punktu obserwacyjnego, moje serce zalała nadzieja i rozpaczliwie zapragnąłem wolności.

– W niedzielę idę z tobą – rzekłem. – Powiedz mi, co mam robić, co trzeba zabrać.

– Nic. Wszystko przygotowałem i ukryłem w bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie strażnicy nie będą szukać. Nie będzie łatwo. Będziemy musieli bardzo się uwijać i zacierać ślady, zresztą musimy się bać nie tylko strażników.

– Co masz na myśli?

– Wilki, szakale i koty nubijskie też tam są. – Minas wskazał w stronę gór. – I wszystkie one są równie głodne jak my.

Minas wyjął z buta kawałek zwiniętej skóry i położył go na ziemi, potem zaczął pruć materiał podwędzony siostrom, żeby z nici zrobić kłębek. Następnie spiłował koniec drutu kamieniem, by zaostrzyć czubek. Drugi koniec rozklepał na płasko i wywiercił w nim odłamkiem szkła maleńką dziurkę. Oglądając kolegę przy pracy, patrząc, jak robi igłę, nawleka ją i zaczyna szyć, poczułem rosnący spokój zabarwiony poczuciem winy. Gdy zostawiłem brata i siostrę na polanie, nigdy nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś będę szczęśliwy, ale w towarzystwie Minasa, ukryty przed światem surowej dyscyplinie tam na dole, z wieczornym wiatkiem chłodzącym twarz, czułem się pełen życia, byłem tym dawnym chłopcem z Cezarei. Wdychałem żywiczne powietrze i zacząłem planować przyszłość, bo w owej chwili wszystko wydawało się możliwe. Ucieczka z Minasem w niedzielę, odnalezienie matki i wspólna podróż do Ameryki, ku nowemu życiu.

Trzy dni przed zaplanowaną ucieczką nie mogłem w nocy spać. Byłem tak pogrążony w myślach, że nie usłyszałem zbliżającego się do mnie przez płataninę posłań cichego stąpania. Poczulem klepięcie w ramię, odwróciłem się i zobaczyłem Minasa kucającego obok materaca.

– Wstawaj. Chcę ci coś pokazać – wyszeptał.



Włożywszy szatę, wyszedłem za nim z dormitorium, potykając się o czyjeś wyciągnięte nogi i przeklinając swoją niezdarność. Munzir nie spał, wsparty na łokciach, obserwował dwa ciemne kształty idące przez pomieszczenie. Gdy tylko wyszliśmy, wstał i wymknął się po omacku wzdłuż ścian dormitorium. Zbiegł kamiennymi schodami i skierował się do baraku Alima zgłosić wykroczenie, by zdobyć przychylność strażnika i raz na zawsze rozprawić się z Minasem.

Zimna bryza przyprawiała mnie o dreszcze, gdy skradaliśmy się z Minasem przez krużganek, który ciągnął się wzdłuż całego budynku. Ciemność zrzędła, więc trzymaliśmy się cienia. Minas poprowadził mnie przez zagajnik leszczyny w stronę małej opuszczonej kaplicy z kopulastym dachem. Odsuwając na bok kolczaste gałęzie głogu, popchnął łukowate drzwi i wcisnął się do środka. Wszedłem za nim i uderzył mnie widok, którego się nie spodziewałem. Przez trzy wielkie witraże słabo świeciło wczesnoporanne słońce, kąpiąc kamienne ściany, ołtarz i pulpit w odcieniach czerwieni, bladego fioletu i bursztynu. Alegoryczny wzór na mozaice i słaby zapach kadzidła oraz wosku przeniosły mnie do kościoła Świętego Jerzego, gdzie święciłem każdą niedzielę z rodzicami i gdzie wkładałem szatę ministranta i śpiewałem w chórze u boku Towmasa.

– Chodź – powiedział Minas. – Nie mamy czasu. Niedługo zadzwoni poranny dzwon.

Minas zaprowadził mnie do małej izby bez okien na tyłach kościoła, gdzie zapach kadzidła był mocniejszy. Gdy tak stałem, mrugając w ciemnościach, Minas zapalił świecę i uniósł ją, by oświetlić pokój zasnuty pajęczynami i zaśmiecony przedmiotami, które zostawili wyjeżdżający księża – kawałkami bordowego aksamitu, połamanymi świecami i kadzielnicą. Minas zbliżył świecę do drewnianego kredensu i pociągnął za coś, co wyglądało jak przegródka wstawiona między szufladami. Ukazała się tajemna skrytka pełna monet.

– Właśnie tu trzymam pieniądze. Nikt inny nie wie. Nie powiedziałem nawet bratu.

– Dlaczego?

– Nie jest za dobry w dochowywaniu tajemnicy.

– Nikomu nie powiem.

– Gdyby coś mi się stało, Gabrielu, obiecaj mi, że zabierzesz mojego brata i uciekniesz, tak jak to ustaliliśmy.

– Nic ci się nie stanie.

– Nie pozwolę im więcej mnie bić. Wolałbym umrzeć niż musieć znowu stać i gapić się w słońce.

Drzwi kaplicy otworzyły się ze skrzypnięciem. Wszedł Alim. Minas prędko zdmuchnął świecę, wstawił szufladkę na miejsce i kazał mi bieć. Pognaliśmy obok strażnika i uciekliśmy. Alim ścigał nas przez leszczynowy zagajnik, piaszczystą drogą za dormitorium zakonnice i po kamiennej podłodze łukowatego pasażu.

Zatrzymałem się, by złapać oddech, a on mnie wyminął, zdecydowany złapać chłopaka, który nie godził się na to, by żyć zgodnie z zasadami, który nie odebrał nauki, który wdrapywał się po budynku sierocińca jak jaszczurka. Alim gramolił się za nim, a jego wrzaski obudziły chłopców, nauczycieli i zakonnice. Dzieci zebrały się w oknach na pierwszym piętrze i wyciągały szyje, by patrzeć, jak Minas wspina się na wieżę zegarową.

Zawołałem po ormiańsku słowami, których nie wymawiałem na głos od wielu miesięcy, błagając Minasa, by zszedł, ale mój przyjaciel był głuchy na cały świat i skupiony na tym, by umknąć Alimowi. Wspiął się po drewnianych listwach okna na czwartym piętrze i sięgnął blanki muru, po czym podciągnął się przez krawędź i wszedł na płaski dach. Chłopcy dopingowali go okrzykami z okna dormitorium, zagłuszając moje wołanie.

Alim wspiął się tak wysoko, jak się odważył, i stał na dachu, czekając, aż Minas się podda. Usłyszawszy zgiełk, doktor Bahar wybiegł z budynku w nocnej koszuli i dołączył do tłumku, który zgromadził się na dziedzińcu.

– Dobrze się rozejrzyj! – krzyknął Alim, z ręką na pałce. – Jak z tobą skończę, nie będziesz miał już pożytku ze swoich oczu.

Minas wszedł na krawędź blanki, gdzie balansował niepewnie z wyciągniętymi ramionami. Z tłumy wzbily się okrzyki, najmłodszy zmienili zdanie, błagając Minasa, by zszedł na dół. Munzir stał wśród chłopców, którzy rozpychali się łokciami, walcząc o miejsce w oknie; w jego oczach błyskał strach. Nie chciał, żeby do tego doszło. Jeprem nadal leżał w łóżku, dochodząc do siebie po chorobie, nieświadom, że jego brat stoi na krawędzi dachu sześćdziesiąt stóp nad ziemią.

– Jest tylko jedna droga w dół! – krzyknął Alim, lecz Minas wiedział, że istnieje inne wyjście.

Gdy przyglądałem się temu z sercem walącym tak, że dudniło w uszach, Minas zrobił krok do przodu i spadł jak przejrzały owoc; głuchy odgłos w jednym momencie uciszył gapiów, potem siostry zakonne zaczęły krzyczeć, a w oknie rozległ się płacz.

Minas leżał skręcony, jego kończyny sterczały pod dziwnymi kątami, jakby był drewnianą kukłą z drucianymi przegubami. Krew powoli płynęła mu z ust, a z dziury w czaszce sączyła się czysta ciecz. Mój stwardniały żołądek podjechał mi do gardła i dostałem gwałtownych torsji. W następnych kilku chwilach widziałem ojca na szubienicy i rodzeństwo na polanie – i cały mój ból zebrał się w jedną gigantyczną masę, która sprawiła, że osunąłem się na kolana, ukryłem twarz w dłoniach i zaszlochałem. Doktor Bahar podniósł mnie delikatnie i zaprowadził z powrotem do sierocińca, żeby oszczędzić mi widoku pogruchanego ciała przyjaciela, które zostało odciągnięte i ciśnięte na tył wozu.

Trzy dni później, gdy leżałem w łóżku, mój umysł wrócił do sceny na wieży

zegarowej. Ten natrętny obraz nie dawał mi spać, przewracałem się na materacu z boku na bok. Staralem się myśleć jasno, przypomnieć sobie szczegóły planu ucieczki, ale moje myśli biegły poplątanymi ścieżkami prowadzącymi do tego samego obrazu. Byłem ubrany i gotów do wyjścia, ale musiałem poczekać, aż dormitorium pogrąży się w ciszy i bezruchu. Wtedy zabrałbym Jeprema ze szpitala i pieniądze z kaplicy i przy zniszczonym fragmencie muru za budynkiem kuchennym spotkałbym się ze strażnikiem, który miał nam pomóc w ucieczce. Potrzebowałem całej siły, jaką mogłem z siebie wykrzesać, do przekonania Jeprema, by wstał i poszedł ze mną. Śmierć brata go zdruzgotała i chłopiec stracił wolę życia.

Żałoba uczyniła mnie ślepy na sprawy sierocińca. Ominęło mnie coś istotnego. Machinalnie wypełniałem swoje szpitalne obowiązki, ledwie dostrzegając stale strapioną i pobrużdżoną twarz doktora. Nie zwracałem większej uwagi na nieobecność dyrektora sierocińca w refektarzu w porze obiadu, na złagodnienie zasad panujących w klasie, na nagłe zniknięcie kilku członków kadry nauczycielskiej, łącznie z dyrektorem szkoły. Odwróciłem się od chłopaków, którzy dzielili się podejrzeniami, myśląc jedynie o swym zmarłym przyjacielu i ucieczce.

Tej nocy Ormianie znów grali w głuchy telefon, snując teorie i spekulując, podczas gdy przed moimi otwartymi oczyma ciało wciąż leciało w dół. Najważniejsze było, żebym nie zasnął i spełnił obietnicę daną Minasowi, ale gdy dormitorium ucichło, zmogło mnie zmęczenie.

Następnego ranka zbudziło mnie słońce świecące mi w twarz. W panice zerwałem się na równe nogi. Przespałem całą noc i straciłem okazję, by uciec. Rozglądałem się, coraz bardziej zagubiony i zdeorientowany. Dormitorium było puste, nie słyszałem jednak bicia dzwonu ani nikt nie obudził mnie na poranną modlitwę. Ubrałem się pośpiesznie i ruszyłem do refektarza, gdzie reszta chłopców stała już przy stołach. Na podwyższeniu nie było nauczycieli, dyrektora, mułły ani strażników. Zająłem swoje miejsce i czekałem. W końcu do sali wszedł doktor Bahar i poprosił, żebyśmy usiedli. Wszystkie oczy spoczęły na jego twarzy, a on się zatrzymał i położył rękę na ramieniu jednego ze starszych chłopaków.

– Ahmecie, mój chłopcze, jak brzmiało twoje ormiańskie imię? – Utkwił zmęczone spojrzenie w zmieszonym chłopcu.

– Adruszan, *effendi*.

Doktor przebiegł wzrokiem pomieszczenie i spojrzał na mnie.

– A ty, Guvenie, jak się nazywasz po ormiańsku, mój chłopcze?

– Gabriel, *effendi*. Gabriel Arakelian.

– Począwszy od dziś, od tego ranka, jesteście teraz znów Ormianami i nie macie tu żadnych panów. Już nie jesteśmy władcami tego regionu.

Chłopcy zaczęli wiwatować, ale doktor podniósł rękę, prosząc o ciszę

i zerkając na stoły, przy których siedziały pełne niepokoju sieroty tureckie i kurdyjskie. Munzir wyglądał na przerażonego.

– Proszę was wszystkich tylko o jedno: żyjcie nadal ze sobą w pokoju, tak jak to robiliście przez tyle lat.

Adruszan zwrócił się do doktora:

– Skoro nie mamy panów, możemy robić, co chcemy.

To oświadczenie zerwało bariery. Chłopcy rozbiegli się, śmiejąc się i krzycząc w niedowierzaniu. Do mnie radość nie miała dostępu; myślałem tylko o swym przyjacielu i o tym, jak blisko był odzyskania wolności.

Zbliżył się doktor.

– Bardzo się cieszę, Gabrielu. Mam nadzieję, że nadal będziemy przyjaciółmi.

– Dlaczego zostałeś, *effendi*? Dlaczego nie odszedłeś razem z innymi?

– Wciąż są tu chorzy chłopcy, a moim obowiązkiem jest się nimi opiekować.

– Dlaczego nie pojedzie pan do domu, do rodziny?

– Nie mam rodziny, Gabrielu. Moja żona i dwaj synowie nie żyją. Zostali zabici przez Rosjan. Wy wszyscy też już byście nie żyli, gdybym posłuchał rozkazów dyrektora. Kazał mi zatruć jedzenie wczoraj wieczorem, ale nie mogłem tego zrobić. Odkąd pamiętam, chciałem ratować ludzkie życie, tak jak twój ojciec.

Sieroty spędziły dzień, myszkując po klasach, kwaterach nauczycieli i gabinecie dyrektora. Chłopcy rozbili okna, wyjedli całą żywność, szybko ustanowili własną hierarchię, a także rozpalili ogniska, do których trafiły podręczniki, biurka, pałki i rzemienie, którymi ich karano. Akcje odwetowe rozpoczęły się niemal natychmiast, pierwszą ofiarą samowolnych strażników został Munzir. Rozniosła się wieść na temat roli, jaką odegrał w śmierci Minasa, i grupka chłopaków pod przywództwem pogrążonego w żałobie brata zabrała go do lasu i pobiła do nieprzytomności.

Późnym wieczorem przybył Czerwony Krzyż z katolickim księdzem i arabskim policjantem. Doktora Bahara zakuto w kajdanki i wyprowadzono. Poszedłem do kopulastej kaplicy w leszczynowym zagajniku i modliłem się za Minasa. Zastanawiałem się też, co się stanie z lekarzem.

Kilka miesięcy później na przesłuchaniu sądu wojskowego kilkanaście sierot zeznało, że w szpitalu sierocińca dzieci były zatrutowane śmiertelnymi zastrzykami podawanymi przez doktora Bahara. Ja również zeznawałem, tyle że w jego obronie, ale mój głos utonął pośród głosów większości i życzliwy lekarz, który ocalił życie tylu chłopcom, został skazany na śmierć przez rozstrzelanie.

## ROZDZIAŁ 22

### GABRIEL, NIKOZJA

Jennifer, antropolożka, przychodzi o ustalonej porze z zeszytem i dyktafonem. Zastaje mnie odszykowanego, bo na nalegania Marty włożyłem garnitur. Postępuję zgodnie z wyszczekiwanymi poleceniami w nadziei uzyskania przebaczenia za zbrodnię polegającą na tym, że dałem się ponieść słowom.

Włosy Jennifer wyglądają teraz bardziej jak ananas niż jak karczoch, spięte, ale w nieco mniejszym nieładzie.

– Bardzo panu dziękuję, że pozwolił mi pan przyjść do swojego domu. – Jej ormiański jest doskonały, poza nosowym przeciąganiem samogłosek, i muszę przyznać, że naprawdę jestem pod wrażeniem.

– Gdzie się pani tak nauczyła mówić po ormiańsku, moja droga? – pyta Marta.

– Mąż mnie nauczył. Joseph Kerdian. Mogli państwo o nim słyszeć. Jest profesorem matematyki i zapalonym podróżnikiem. Kilka lat temu wygłosił w waszym domu kultury wykład o swojej wyprawie na górę Ararat.

– Jest pani żoną Kerdiana?

– We własnej osobie. Podsunął mi pomysł badania waszej społeczności. Ma wielu krewnych na Cyprze. Uwielbia to miejsce.

Zaczynam nabierać sympatii do Jennifer, przymykam oczy na jej włosy.

– Czy dziś po południu moja fryzura panu odpowiada, panie Arakelian? – Czyta mi w myślach.

– Dziwne pytanie, moja droga – mówi Marta.

– Niedawno pan Arakelian powiedział, że wyglądam jak zaniedbany karczoch. Wspaniała metafora. Mój mąż uznał ją za przezabawną. Nie może się doczekać, aż pana pozna.

– Powiedziała pani mężowi?

– Gabrielu! Jennifer ma piękne włosy.

– Tak naprawdę cierpię na alopecję. Związuję włosy do góry, by ukryć łysinę.

Zmarszczone brwi żony mówią mi, że wracam do roli zbitego psa i jakiś czas w niej zostanę.

Marta przynosi tacę z herbatą i chałwą, rozmawia z Jennifer, jakby były przyjaciółkami, które spotkały się po latach. W ciągu kilku minut Jennifer dowiaduje się, że mamy córkę Tamar, matkę trojga dzieci, która mieszka w Anglii z mężem architektem. Że nasza wnuczka *zakochała się* podczas wakacji na Cyprze i wkrótce wyjdzie za utalentowanego stolarza z Grecji, który robi jedyne w swoim rodzaju przedmioty, dzieła sztuki użytkowej, jak je nazywa Marta. Ozdobił foyer biblioteki miejskiej i rezydencje bogatych i sławnych ludzi. Stolarz! Jakże pilnie

będę musiał strzec tej strasznej tajemnicy przed przyjaciółmi, szczególnie przed Howsepianem, którego córka poślubiła dentystę!

– Ma pani dzieci? – pyta Marta.

Jennifer kręci głową.

– Ile ma pani lat? – pytam.

– Trzydzieści dziewięć.

– Niech pani odłoży karierę na bok, młoda damo. Niewiele czasu pani zostało, żeby urodzić.

– Nie mogę mieć dzieci, panie Arakelian.

– Dlaczego? Ma pani problemy z owulacją?

– Gabrielu, jesteś wścibski.

– Nie szkodzi, pani Arakelian. Lekarze, którzy próbowali znaleźć źródło problemu, zadali mi wszystkie możliwe pytania. Mieliśmy z mężem niezliczoną ilość testów i badań, ale wydaje się, że nie ma fizycznego powodu niemożności poczęcia.

– Próbowwała pani jeść owoce granatu? – pyta Marta.

Wybucham śmiechem.

– Może każesz jej jeszcze stawać na głowie po seksie?

– Musisz zachowywać się tak ordynarnie, Gabrielu?

– Musisz zachowywać się jak w średniowieczu, kobieto?

– Może powinna pani spróbować oleju z wiesiołka?

– Proszę mi wierzyć, pani Arakelian, próbowałam wszystkiego, nawet stawania na głowie. Bardzo chciałam mieć dziecko, ale musiałam pogodzić się z tym, że nigdy nie będę go miała.

– Nie poddawaj się, moja droga. Nie ma na świecie nic wspanialszego niż mieć dziecko.

Chyba że dziecko tego dziecka za wszelką cenę chce ci złamać serce.

– Co za piękne figurki – mówi Jennifer, przyglądając się małej kolekcji szklanych zwierząt Marty.

– Miałam ich znacznie więcej, zanim straciliśmy dom.

– Marta poświęciła dwadzieścia lat na stworzenie kolekcji. Miała całą menażerię, istne zoo.

– Przykro mi to słyszeć.

– W ogólnym rozrachunku to niewielka strata – mówi Marta. – Mam męża i rodzinę, to wszystko, co naprawdę się dla mnie liczy.

– Zaczniemy? – pyta Jennifer. – Mieliby państwo coś przeciwko nagrywaniu wywiadu?

– Nic a nic – odpowiada Marta i Jennifer naciska przycisk dyktafonu. Jej wzrok przykuwa wiszące na ścianie oprawione zdjęcie, połówka ukochanego zdjęcia swojego ojca. – Kim jest ten elegancki mężczyzna? – pyta.

– To mój ojciec. Zrobiono je w dniu jego ślubu.

– A pańska matka?

– Przepadła razem z całym moim dzieciństwem. Wszystko bym oddał za jedno mignięcie twarzy matki, ale to niemożliwe. – Pamiętam dzień, w którym przedarłem zdjęcie i dałem Mariam połówkę, bo nie mogłbym znieść rozstania z ojcem.

Ściany naszego domu zdobią zdjęcia, podobizny Tamar i Aharona, mojej trójki wnucząt, uwiecznione są wszystkie ważne chwile: urodziny, święta Bożego Narodzenia, chrzty, śluby, uroczystości wręczenia dyplomów, wakacje na wyspie, moje wnuczki w kostiumach kąpielowych i strojach wieczorowych, występujące w szkolnych przedstawieniach, grające na instrumentach, zajadające się melonem na tyłach domu. Profesjonalne zdjęcia zrobione w czasach, gdy byłem fotografem, źle wykadrowane zdjęcia ich rodziców, celulooidowe odbitki przechowywane w szafce na dokumenty. Nie dam się znów zaskoczyć.

– Może pan zacząć, od czego tylko pan chce, panie Arakelian.

## ROZDZIAŁ 23

### GABRIEL, MORZE ŚRÓDZIEMNE, ROK 1919

Sześć miesięcy po wyzwoleniu sierocińca znalazłem się na pokładzie płynącej na Cypr żaglówki pełnej uchodźców. Ormiańskie rodziny szczelnie wypełniały pokład, siedząc na dywanikach i poduszkach i tłocząc się wokół resztek dobytku. Pierwsza wojna światowa się skończyła i wysiedleńcy z całego świata odbudowywali swoje życie. Ormianie poszukiwali bezpiecznych przystani, dołączając do krewnych w Europie i Ameryce. Nasz ciężki los stanowił przypis w historii, przyćmiewała go katastrofa wojny światowej.

Kilka razy wymiotowałem przez burzę drewnianej łodzi, ale na ogół siedziałem w kącie zwinięty w kłębek. Morze było spokojne, lecz mój żołądek burczał i skręcał się, rozstrojony kołysaniem i poczuciem zagubienia. Przyzwyczaiałem się do zasad i przepisów sierocińca, do twarzy, przy których budziłem się każdego ranka. Byłem zwolnionym więźniem, którego przytłaczała i niepokoiła dziwna, nowo odkryta wolność. Poprzedniego dnia, rozmyślając o matce, patrzyłem, jak z pola widzenia znika linia brzegowa mojej ojczyzny. Byłem przekonany, że matka wciąż żyje, i zastanawiałem się, w jaki sposób mnie odnajdzie za tym nieskończenie wielkim morzem, skoro nie zostawiłem śladów, którymi można by podążać.

Życie w sierocińcu zmieniło się po przybyciu Czerwonego Krzyża i – później – lazarystów, którzy zabrali się do przywracania ormiańskim chłopcom ich tożsamości. Turcy i Kurdowie zostali wysłani do domu dziecka w Syrii, podczas gdy nas uczyli księża i ormiańscy nauczyciele wolontariusze. Przybył też zespół amerykańskich misjonarzy, by prowadzić szkołę i zajmować się chorymi. Kompetentne pielęgniarki w wykrochmalonych białych uniformach podawały leki. Dyrektorką szkoły została kobieta, pełna matczynych uczuć miss Templeton, która zachęcała nas do rysowania, malowania, przelewania naszych doświadczeń na papier i przyspieszała proces katharsis. Od śmierci przyjaciela rzadko się odzywałem i mimo wysiłków miss Templeton pozostałem zamknięty w sobie.

Powoli dorośli zyskali nasze zaufanie i stopniowo oddawaliśmy ostre przedmioty trzymane na wszelki wypadek w kieszeniach. Miss Templeton wysłała najzdolniejszych chłopców do miejscowej szkoły, żeby zaczęli formalną edukację. Jęprema posłano z pieniędzmi, które zaoszczędził jego brat, a ja otrzymałem stypendium.

Dzień przed moim odjazdem miss Templeton zaprosiła mnie do swojego gabinetu. Odnaleziono brata matki, Narega, pracował w kopalni azbestu na Cyprze. Miss Templeton przekazała listę nazwisk chłopców do ormiańskich parafii na całym świecie i wujek trafił na moje nazwisko. Dobra wiadomość miała w sobie domieszkę rozczarowania. Osoba, której brak odczuwałem najbardziej, nadal była



zaginiona.

Teraz objąłem kolana rękoma, wpatrując się w chłopca śpiącego w ramionach matki – poczucie bezpieczeństwa uwidaczniało się w gładkości jego twarzy. Wielu chłopaków z sierocińca nabrało dorosłych rysów, surowych i ostrych. Zastanawiałem się, czy lata pozbawione miłości rodzinnej nie wyostriły także rysów mojej twarzy. Chłopiec poruszył się i matka ukołysała go delikatnie, głaszcząc jego głowę z czułością, która ścisnęła mnie za gardło. Nigdy jeszcze nie byłem tak zazdrosny, tak rozżalony.

Patrzyłem w ulotną dal, próbując przywołać dobre wspomnienia, lecz pojawiały się tylko te bolesne: stygnące ciało Mariam, porozrzucane kawałki kości śródrezcza i paliczków zagrzebane jak opadłe gałęzie pod gołą ziemią. Próbowałem odtworzyć żywą wersję siostry, piękne widmo z błyszczącą oliwkową skórą. Morze było falującym niebieskim płótnem. Wpatrywałem się uważnie w rozwijające się kształty i siłą woli sprawiłem, że Mariam ukazała się jako słona mgiełka w sukni z białej piany, jej czarne włosy rozchodziły się wachlarzem, gdy podskakiwała i wirowała, zanim rozplynęła się w morzu. Przybyła na moje życzenie i odeszła z własnej woli, tak szybko, jak wiele innych duchów, które czaiły się na obrzeżach mojej świadomości.

Skupiłem wzrok na horyzoncie, słone powietrze szczypało w oczy, a kilka godzin później w zasięgu wzroku znalazły się minarety u nabrzeża Larnaki. Raz jeszcze obezwładniły mnie torsje i skuliłem się, czekając, aż ciepły śródziemnomorski wiatr zaprowadzi łódź do portu.

Rozklekotany wóz, który zabrał mnie do oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów domu wuja, jechał szybko górskimi drogami. Powstrzymywałem fale mdłości, mój żołądek jeszcze nie doszedł do siebie po morskiej podróży. Woźnica był wątym staruszkiem o skórze koloru umbry palonej, który na tyle władał tureckim, żeby zrozumieć, że muszę się dostać do Amiandos, wioski zawdzięczającej swą nazwę pobliskiej kopalni azbestu. Reszta przysłanych przez wuja pieniędzy poszła na zapłatę dla woźnicy i kupno chleba na drogę.

Staruszek nie przejawiał ochoty do rozmowy, ale miał szczodre usposobienie i zaproponował mi winogrona, biały ser oraz czarne, pomarszczone oliwki. Znał każdy zakręt i każdy wybój na drodze oraz źródelka, przy których stawał, bym mógł się napić czystej wody. Patrzyłem, jak ucina sobie drzemkę na koźle, popuszczając cugli, a posłuszny koń sam odnajduje drogę przez coraz bardziej strome wzgórza, zatrzymując się, by skubnąć przydrożnych jeżyn. Koń ciągnął wóz po ostrych zakrętach, na polnych drogach, które były niebezpiecznie wąskie. Bojąc się spojrzeć w dół, skupiałem się na porośniętych winoroślą wzgórzach i lasach wiecznie zielonych drzew, wznoszących się nade mną.

Na wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów natknęliśmy się za zakrętem na surowy księżycowy krajobraz. Rozległa połać góry przypominała lodową

pustynię, goły płaskowyż pozbawiony życia. Ten jałowy obszar o powierzchni kilkuset hektarów przecinały przenośniki taśmowe, które transportowały bryły skał do wielkiej i głośniejszej młynowni. Tysiące mężczyzn pracowało kilofami w kopalni azbestu, eksploatując cenne żyły chryzotyłu w lśniącej skalnej ścianie. Młynownia wypływała chmury białego pyłu, który pokrywał mężczyzn i maszynę, powlekał okoliczny krajobraz przypominającym popiół nalotem.

Na ścieżce przed domem wuja pomachałem staruszkowi na pożegnanie. Drzwi otworzył brodaty mężczyzna o białej twarzy i siwych włosach. Krzyknął, gdy mnie zobaczył, i wziął mnie w ramiona. Zawstydził mnie tak mocny i serdeczny uścisk nieznanego. Rozglądałem się po pokoju ze zniszczonymi, tynkowanymi ścianami i gipsową podłogą, szukając wujka.

– Gabrielu, to ja, Nareg. Nie poznajesz mnie?

Mężczyzna się cofnął, po twarzy spływały mu łzy, znacząc bruzdy. Potarł głowę, twarz i brodę, wzbijając w powietrze chmurę białego pyłu i odsłaniając kruczoczarne włosy oraz rumiane policzki.

Nareg i jego żona Lena przez trzy dni świętowali moje przybycie, co wieczór rozpalając ruszt, by ugościć ormiańskich przyjaciół i sąsiadów. Stałem się dla wszystkich żywym dowodem na to, że cuda są możliwe, że człowiek może powstać z martwych. Skoro siostrzeniec mógł pojawić się znikąd po tylu latach, to mogli to zrobić matka, ojciec czy siostra. Pili za moje zdrowie, wysławiali Pana i delektowali się mięsem u Narega. Byłem biernym obserwatorem, niezdolnym do świętowania, odwzajemnienia miłości wuja, korzystania z mojego nowego życia w tej surowej scenerii, tak nieznanego i odległego. Przy każdej okazji uciekałem z tętniącego życiem domu, od hałasu i kontaktu z obcymi.

Pewnego dnia, gdy siedziałem w gałęziach szarańczyny, kryjąc się przed światem, dostrzegłem Martę karmiącą dzikie koty resztkami jedzenia i wabiącą je na kolana. Dziesiątki wynędzniałych stworzeń ze zmierzwią sierścią powychodziły z kryjówek i przewracały się na grzbiet, mrużąc jak agregaty, gdy ich dotykała. Złapałem się na pragnieniu, żeby być kotem, o którego względy zabiega i którego karmi i głaszczesz ta dziewczyna. Gdy to pomyślałem, ona spojrzała mi prosto w oczy, a moje policzki oblał rumieniec. Było to dziwne i niepokojące uczucie. Marta nie odezwała się ani nie uciekła, lecz nadal głaskała koty, których zaufanie zdobyła swą łagodnością. Zanim zszedłem z drzewa, poczekałem, aż pójdzie, a potem ruszyłem do domu, ale nazajutrz o tej samej porze wróciłem na szarańczyn i znów ukryłem się między chropowatymi gałęziami korony. Marta przyszła, jak na to liczyłem, wabiąc bezdomne zwierzęta cmokaniem, i usiadła po turecku, by je głaskać.

W następnych tygodniach i miesiącach przywykłem do życia w górach. Do górników idących do pracy o wschodzie słońca i Marty karmiącej po południu okoliczne koty, do hałasu kopalni i wszechobecnego pyłu, który zabarwiał wodę

wypływającą ze zbocza góry, pokrywał dachy z terakoty i osiadał na liściach. Pyłu, który wnikał we włosy i ubrania wuja, przedwcześnie go postarzając.

Każdego wieczoru ciotka Lena rozwieszała rzeczy męża na sznurze do bielizny i miotłą strzepywała z nich kurz, zanim zamiotła podwórze i poląła je wodą z węża. Górnicy i ich żony uważali pył za nieszkodliwy, tak samo niegroźny jak śnieg, który przykrywał zimą górę. Byli zbyt zajęci życiem z dnia na dzień, żeby zastanawiać się, dlaczego nie kwitły ich drzewa owocowe, dlaczego zimą cierpieli na gwałtowne napady kaszlu, dlaczego czuli ciężar w piersi i dlaczego wielu mężczyzn umierało przedwcześnie. Rzeński górski wiaterek, którym cieszą się w wiosce, miał wady i zalety – chłodził pracujących górników, ale zanieczyszczał powietrze przypominającymi robaki włóknami, nieustannie osiadającymi w płucach mieszkańców osady.

Moje relacje z Naregiem stawały się coraz bardziej zażyłe. Wuj był cierpliwym człowiekiem i wiedział, że potrzebuję czasu. Chłopak, który z nim zamieszkał, miał niewiele wspólnego z kochającym i pewnym siebie siostrzeńcem, którego znał z Cezarei. Nareg starał się trafić do ponurego introwertyka, jakim się stałem, uważał jednak, że ostatecznie wyleczy mnie miłość, przywracając do życia moje młodsze ja.

Zachęcał mnie, żebym mówił o przeszłości. Podczas pieszych wędrówek słuchał mnie i mi doradzał. Z czasem się rozluźniałem i wylewały się ze mnie historie, które mnie prześladowały. Mówiłem o egzekucji ojca, życiu w sierocińcu i skoku Minasa z wieży zegarowej, o przerażeniu, które czułem na polanie. Nareg obiecał, że opuścimy góry tak szybko, jak się da, i przeniesiemy się do stolicy, gdzie mógłbym kontynuować naukę. Każdej nocy zapalaliśmy świecę i stawialiśmy ją w oknie od frontu, gdzie się paliła do rana. Byliśmy przekonani, że matka nadal żyje i pewnego dnia pojawi się na progu z dzieckiem w ramionach. Migocząca w oknie poświata świecy, która z czasem okopciła framugę, miała doprowadzić mamę do domu, gdyby przybyła do wioski późno w nocy, kiedy panowała całkowita ciemność.

Po osiemnastu miesiącach od przyjazdu zacząłem traktować Narega jak ojca, Amiandos zaś jak dom. Kochałem wuja całym sercem, a gdy się uśmiechał, przypominałem sobie twarz matki. Nareg nazywał mnie swym cudem, a po trzech latach mojego pobytu wydarzył się drugi cud. Lena była w czwartym miesiącu ciąży po pięciu latach nieudanych prób i kilku poronieniach.

Czerpałem teraz przyjemność ze wspólnych wieczornych posiłków z Naregiem, Leną i zaprzyjaźnionymi Ormianami, którzy mieszkali w pobliżu. Lena przygotowywała proste dania na prymusie w rogu pokoju, mieszając mąkę i wodę na pity i wstrząsając pszenną harissę w miedzianym garnku. Siedząc przy stole albo stojąc, jeśli zabrakło krzeseł, goście Leny dzielili się chlebem, oliwkami, serem i gęstym jogurtem, wspominając sceny z życia, które zostawili za sobą.

Wszyscy uważali Cypr za bezpieczne miejsce na przeczekanie, zanim wróci się do domu, do żyznej czerwonej ziemi, którą nasi przodkowie uprawiali od tysięcy lat. W trakcie wieczornych zgromadzeń mężczyźni poważnie omawiali sytuację polityczną w Turcji, podczas gdy kobiety opowiadały o okropnościach, których były świadkami w 1915 roku, i opłakiwały krewnych i przyjaciół, których już nigdy nie zobaczą.

Długo oczekiwane dziecko przyszło na świat tydzień przed terminem i otrzymało imię po mojej babci Warwarze. Nareg wrócił do pracy następnego dnia po jego narodzinach, ja zaś opiekowałem się ciotką. Nauczyłem się gotować, pomagać w domu, otrzepywać ubrania wuja z kurzu, podczas gdy ciotka poświęcała uwagę dziecku. Moja więź z Warwarą była natychmiastowa, podobnie jak mój instynkt opiekuńczy i miłość do niej. Była powodem do radości, powiększającym szeregi naszego małego klanu, świeżym zielonym pędem na okaleczonym drzewie rodzinnym.

Dni przed jej chrztem były pracowite i chaotyczne. Zaproszeni zostali wszyscy mieszkańcy wioski oraz niemieccy dyrektorzy fabryki. Lena z sąsiadkami spędziła kilka tygodni na przygotowaniach do przyjęcia, robiąc jogurt i basturmę, destylując sok winogronowy na raki, marynując kapary, mieląc pszenicę i przyprawiając oliwki w solance. W przeddzień chrztu upiekły chleb i zrobiły paklawę, układając cienkie ciasto warstwami i przekładając je suto osłodzonymi orzechami.

Rankiem w dniu chrzcina we wsi panował świąteczny nastrój. Nareg zaniósł córkę do kościoła na stoku nad Amiandos, a mieszkańcy wioski podążali za nim pieszo, konno lub na osłach, ubrani w garnitury albo pantalone i wypastowane skórzane buty. Byli wśród nich nieznani mi młodzi mężczyźni o świeżej cerze oraz grubo ciosani ludzie starej daty o rękach i twarzach poznaczonych bliznami i śladami ciężkiej pracy, którzy w rzadko noszonych, wykrochmalonych koszulach wyglądali niezgrabnie.

W kościele opuszczono Warwarę do chrzcielnicy. Doznanie to w pierwszej chwili sprawiło jej radość, ale po chwili jej oczy rozszerzyły się ze strachu i piąstki zaczęły drżeć. Gdy ksiądz pomazał jej twarz olejkiem, ku rozbawieniu wszystkich zacisnęła swoje śliczne usteczka. Nie znośm, gdy płacze, ale uśmiechnąłem się z ulgą, gdy rzuciła się na księdza i szarpnęła za krzyż. Świątowanie rozpoczęło się w drodze powrotnej do wioski. Przystrojone stoły i krzesła stały wzdłuż całej naszej ulicy, a bliscy znajomi rozpalili już kilka rusztów i doglądali ich, piekąc wieprzowinę, jagnięcinę i basturmę. Zapach mięsnych sosów, czosnku i kuminu unosił się nad zboczem góry w kłębach dymu drzewnego, zaostarzając apetyty. Mężczyźni popijali raki i czerwone wino dostarczone przez Niemców, kobiety zaś donosiły na uginające się stoły kolejne półmiski: ziemniaki pieczone w glinianym piecu, pokrojone karczochy, sałatki z serem feta, góry wiejskiego chleba i gęsty

jogurt Leny w ceramicznych dzbankach.

Jadłem chleb i basturmę, sączyłem raki, która wedle słów wuja miała posiać włosy na mojej piersi, ciesząc się jej ognistym smakiem i uczuciem lekkiego upojenia. Kiedy skrzypek zaczął grać, zerwałem się na równe nogi i dołączyłem do Narega. Wszyscy klaskali i skandowali „Tańcz, Gabrielu, tańcz”, a ja po raz pierwszy od ślubu Ester zapomniałem o swoich zahamowaniach. Muzyka przejęła władanie nad moim ciałem i tańczyłem z uniesionymi rękoma, sterczącymi łokciami, przykucając i podskakując w nadziei, że Marta przygląda się mojemu pokazowi sprawności zza stołu, przy którym siedzi z rodzicami. Każdy radosny gest przeznaczony był tylko dla niej. Przyłączyli się do nas inni mężczyźni i w upojeniu wycofałem się z koła, które się uformowało.

Poszedłem poszukać mojej małej kuzynki Warwary. Była marudna i zmęczona, niespokojna z powodu hałasu, zaproponowałem więc, że wezmę ją na spacer. Zabrałem ją z wioski do gaju pomarańczowego, gdzie kwiecie zaczynało już przekwitać. Zasnęła mi w ramionach. Odległy głuchy odgłos spadającej skały przyciągnął moją uwagę i wybudził Warwarę z płytkiego snu. Wracając do wioski, nie przywiązywałem większej wagi do łoskotu; rozmyślałem o Marcie i o tym, jak ślicznie wyglądała. Byłem przyzwyczajony do hałasu kopalni, do dźwięków rozlatujących się na kawałki skał, buczenia maszynarii i sporadycznych eksplozji.

Spodziewałem się zastać wesołą uliczną scenę, którą opuściłem, wstrząsnął mną jednak widok zawodzącej i krzyczącej kobiety, która stała w grupce ludzi. Lena klęczała. Sąsiad zaczął relacjonować nieścislą wersję zdarzeń... Zapadł się przodek kopalni... górnicy zostali uwięzieni pod skałą... wszyscy mężczyźni ruszyli na pomoc. Oddałem Warwarę sąsiadowi i przyłączyłem się do kobiet otaczających Lenę. Zarzuciła mi ręce na szyję, powtarzając w kółko żalony lament, który z wolna zaczął do mnie docierać.

– On nie żyje, Gabrielu. Mój mąż nie żyje. Nasz Nareg zginął.

Uczepiłem się kurczowo ciotki, żeby nie upaść. Przypomniałem sobie, że słyszałem osuwającą się skałę, i zdałem sobie sprawę, że Warwara obudziła się dokładnie w chwili, gdy zginął Nareg. Moja kuzynka rozplakała się, szeroko otwierając usta i odrzucając głowę do tyłu, jakby wiedziała, że będzie dorastać bez ojca.

Nareg poszedł do kopani w doskonałym nastroju, żeby zanieść mięso i wino grupie pracujących górników. Zapuściwszy się w zagłębienie w zboczu góry, gdzie mężczyźni pracowali kilofami, wznosił właśnie toast na cześć córki, gdy zarwał się nad nim strop litej skały. Zginął na miejscu razem z pięcioma innymi mężczyznami, w tym piętnastoletnim bratem Marty, który zastępował jej ojca.

Wdowy i osierocone dzieci powróciły do pustych domów. Sąsiedzi i znajomi usunęli ślady zabawy, nim zaczęli odwiedzać rodziny zmarłych, by złożyć im kondolencje. Górnicza wspólnota była zżyta i oddana sobie, ale w następnych

dniach zmęczyły mnie pełne najlepszych intencji kobiety, które zajmowały się Warwarą, kilka razy dziennie przynosiły jedzenie, bez końca rozprawiały o dobroci i szczodrości Narega, a także wysłuchiwały litanii obaw Leny. Jak sama wychowa dwójkę dzieci? Jak zapłaci za moje kształcenie? Skąd weźmie siłę, by żyć bez męża?

Dwa tygodnie po śmierci Narega wybrałem się do kopalni i poprosiłem o pracę. Miałem dopiero piętnaście lat, ale niemiecki brygadzysta przytknął oko na mój wiek. Z miejsca zacząłem pracę, świadom, że nigdy nie pójdę do szkoły ani nie zostanę lekarzem. Skupiałem się jednak na tym, by wspierać ciotkę i kuzynkę. Każdego wieczoru po pracy zapalałem i stawiałem na parapecie dwie świece – jedną, by oświetlić drogę matce, i drugą za duszę wuja Narega.

\* \* \*

Moi słuchacze są poruszeni, szczególnie Jennifer, która patrzy na mnie zwilgotniałymi oczyma. Zapalam papierosa, wycieńczony wysiłkiem grzebania w głębinach pamięci. Nauczyłem się przywoływać przeszłość beznamiętnie. Historia opowiadana setki razy traci swój dramatyzm, swą wyrazistość, nawet gdy jej tragicznym bohaterem jest twój ukochany wuj.

– Panie Arakelian, sądzę, że powinnam pana teraz zostawić, żeby pan odpoczął – mówi Jennifer.

– Nie chce pani usłyszeć dobrego kawałka historii?

Zaskakuje ją moja nonszalancja. Poczucie humoru zawsze było dla mnie podporą i pomagało dawać sobie radę.

– Moje życie nie było wyłącznie katastrofą. Pełne też było darów i błogosławieństw. Najdroższy dar siedzi tutaj, obok mnie – mówię, a oczy mojej żony zachodzą mgłą. – Po śmierci wuja szwendałem się po wiosce jak lunatyk, próbując ignorować współczujące spojrzenia. Nie byłem jedynym wędrowcem bez celu. Marta też się wałęsała, a nasze ścieżki przecinały się na polach i w sadach za wioską. Jej widok przyprawiał mnie o gwałtowne bicie serca i mrowienie skóry. Zakrywałem bliznę po bagnecie, bo w jej obecności czułem się taki skrępowany.

Marta delikatnie muska mój policzek.

– Blizna tylko dodawała ci atrakcyjności.

– Z czasem zebrałem się na odwagę, żeby spojrzeć jej w twarz, pewnego dnia pomachałem do niej, a ona odpowiedziała tym samym. Zrozumiałem wtedy, że czuje to co ja.

– Współczułam ci! Przypominałeś mi zdziczałego kota.

– Któregoś razu natknąłem się na nią na drodze i szliśmy razem w milczeniu.

– To nie był przypadek. Zaczaiłam się.

– Naprawdę? Nie miałem pojęcia przez wszystkie te lata! Spotykaliśmy się przy szarańczynie w sadzie za wioską, ten zwyczaj przetrwał kilka lat. Takie

zachowanie było w tamtych czasach bardzo śmiałe i prowokowało do plotek.

– Tylko trzymaliśmy się za ręce, Gabrielu.

– Była to dla mnie największa radość, dopóki nie skończyłem osiemnastu lat i nie poprosiłem cię o rękę. Pamiętasz? Twój brat przyjął mnie do rodziny jak ojciec syna. Marta stała się moim życiem, moim światem. Uwielbiałem to, jak się uśmiechała, jej łagodne usposobienie, elfie rysy twarzy. Połączyło nas i do dziś wiąże ze sobą doświadczenie utraty, tak nagłej i tragicznej. Marta stanowiła jedyne piękno tych zapomnianych przez Boga i ludzi gór. W kopalni nie dostrzegałem niczego poza brzydota.

– Niektórzy widzieli jej piękno – mówi Marta. – Pamiętasz amerykańskiego fotografa z „National Geographic”? Tego, który wykorzystał cię jako modela? Mam gdzieś egzemplarz tego czasopisma. – Wstaje, żeby poszperać w biblioteczkę.

Fotograf zatrzymał się na tydzień w kamiennym domu blisko kopalni, gdzie wywoływał zdjęcia. Każdy przemyślany kadr streszczał złą naturę kopalni, która nie pasowała do piękna otoczenia. Surowa biel księżycowego krajobrazu kłóciła się z intensywną zielenią okolicznych wzgórz.

Marta odnajduje magazyn, na okładce gniewna młoda twarz z oczami starca. Znużony górnik o wyzywającym spojrzeniu.

– To pan, panie Arakelian? – pyta Jennifer.

– Tak. Mój tytuł do sławy nie do pozazdroszczenia. To było zdjęcie, które umocniło mnie w postanowieniu, żeby opuścić górę tak szybko, jak będę mógł, i zbudować życie, z którego będę dumny.

Oczy Jennifer są smutne i poważne. Po chwili jednak kobieta uśmiecha się, dziękuje i ściska nas oboje.

– Panie Arakelian, sądzę, że potrzebuje pan odpoczynku, ale mam nadzieję, że pozwoli mi pan złożyć sobie następną wizytę.

Marta odprowadza Jennifer do drzwi, a potem wraca i przesuwa palcami po moich rzadzących włosach.

– Lubię to, Marto.

– Połóż się. Pomasuję ci głowę, mój kochany.

Głaszcz mnie po głowie zwinnymi palcami, łagodząc ból wkręcony w spirale mojego DNA, tak w nich zakorzeniony jak kolory żyłkujące granitową skałę. Od dotyku Marty chce mi się płakać z ulgi, to doznanie tak wspaniałe i intensywne, że kręci mi się w głowie.

## ROZDZIAŁ 24

### KATERINA

Kilka dni zajmują wizyty w górskim sadzie i długie, niespieszne posiłki w przytulnych tawernach. Nieuczęszczane miejsca, w których podaje się grzyby, kielbaski z kuminem i krojoną w kostkę grillowaną jagnięcinę z oregano, wszystko z czerwonym trodosem. Łapię się na nadziei, że istnieje niebo, z którego babcia spogląda w dół pełnym aprobaty wzrokiem.

Któregoś popołudnia siedzimy na plaży pod trzciniowym parasolem, na jednym leżaku, a moje myśli wracają do historii babci. Daję Arze dziennik, on zaś szybko odnajduje stronę, na której przerwaliśmy, i czyta raz jeszcze:

– „Znalazła nas Rose. Leżąc pod drzewem, trzymaliśmy się życia ostatkiem sił”. Kim była Rose?

– Kobieta, która ją adoptowała. Była Amerykanką, wyszła za nauczyciela z Anglii, miał na imię Ernest. Zamieszkali w jakimś ustronnym wiejskim domu w Peak District, należącym do rodziny Ernesta. Znam ich tylko ze zdjęć. Wyglądają na dosyć surowych, ale babcia mówiła, że byli dobrymi ludźmi. Umarli na długo przed tym, jak się urodziłam.

Babcia opisywała zwykle swe życie z Rose i Ernestem jako spokojne. Było przystanią, która obudziła w niej miłość do krajobrazu i pieszych wycieczek. Jej opiekunowie zbliżali się do czterdziestki, gdy brali ślub, i Rose pragnęła spokojnego życia po latach doglądania chorych w szkołach misyjnych w Turcji i na Bliskim Wschodzie.

– Rose to żadna zagadka. Tajemnicą jest Lewon. Nic o nim nie wiem.

– Może poszli każde swoją drogą? Może umarł w wyniku obrażeń? Odpowiedź musi kryć się gdzieś na tych kartkach.

– Ten chłopak ocalił jej życie. Sprawił, że podniosła się i ruszyła. Byłoby mi strasznie przykro, gdyby *jego* też straciła.

Ara wytrzymuje moje spojrzenie i zbliża rękę do mojej.

– Nie chcę cię stracić, Katerino. Nie chcę, żeby to się skończyło. Nie mogę znieść myśli o twoim wyjeździe.

Mogę tylko domyślać się powodów, dla których nie jestem w stanie do niczego się zobowiązać wobec tego mężczyzny, zainwestować w związek na odległość, któremu pisany jest koniec.

– Nie wiem, jak mogłoby się to udać, Ara. To znaczy na dłuższą metę.

– Świat jest mały.

– Lubię *swój* świat. Bez rodziny i przyjaciół byłabym nieszczęśliwa, no i właśnie dostałam awans na szefa działu reportażu. Muszę się teraz skupić na pracy.

– Mogłabyś pracować tutaj.



– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego o tym rozmawiamy. Dopiero się poznaliśmy. Nie możemy się po prostu cieszyć chwilą?  
Odwracam wzrok, by ukryć niepewność, a jego dłoń wiotczeje w mojej.

## ROZDZIAŁ 25

### MARIAM, ROK 1919

Miałam jedenaście lat, siedziałam na huśtawce za domem, zanurzona w przeszłości, wspominając bazary uliczne w Cezarei i patrząc, jak Lewon kopie piłką w płot. Był wysoki i niezgrabny, wyglądał na więcej niż dwanaście lat, szczególnie gdy się złościł.

Minęły cztery lata, od kiedy Rose w drodze do Bejrutu znalazła nas w lesie. Pracowała jako pielęgniarka w szkole misyjnej w regionie Bitlis, na zachód od jeziora Wan, i uciekała przed zamieszkami. Ryzykowała życie, żeby zabrać nas do Libanu, i walczyła z biurokracją, by zatrzymać nas pod swoją opieką. Podróżowaliśmy do Anglii, gdzie Rose miała krewnych i gdzie poznała oraz poślubiła Ernesta, nauczyciela. Zamieszkali w domku w Peak District, w którym wychował się Ernest. Rose mówiła o tym domku jak o sanktuarium, gdzie wszyscy będziemy mogli dojść do siebie. Stroniła od świata, unikając gazet i radia. Siostra Ernesta, Irene, przyjeżdżała z rodziną dwa razy do roku, ale innych stałych gości nie miewaliśmy. Rose była wyczerpana po wszystkich doświadczeniach za granicą i potrzebowała wycofania się ze świata. Zmagiała się z demonami, jak mówiła, z niedającym się wymazać obrazem dzieci, których nie zdołała ochronić, nie rozwodziła się jednak nad tym i dopiero później, gdy natrafiliśmy na dokument, którego nie mieliśmy nigdy oglądać, zrozumieliśmy więcej.

Żyliśmy skromnie i w dużej mierze byliśmy samowystarczalni. Rose piekła chleb i robiła ser, szyła też proste bawełniane ubrania dla nas czworga. Nauczyła mnie robić na drutach, a ja odkryłam, że monotonna czynność tkania i szycia jest kojąca, pozwala uciec od myśli. Trzymaliśmy kury, króliki i kozę, a rolnik z sąsiedztwa zaopatrywał nas w mąkę i mleko. Ernest hodował warzywa i umiał robić różne rzeczy w domu – sam nauczył się podstaw ciesielstwa. Najbliższa wioska ze sklepem spożywczym, pocztą i kościołem oddalona była o trzydzieści minut jazdy dwukółką. Raz w miesiącu robiliśmy zapasy, wolno nam było też kupować wtedy cukierki i czekoladę. W niedzielę zwykle chodziliśmy do kościoła, w którym czuliśmy się z Lewonem jak obce ciemnoskóre dziwadła w źle dopasowanych ciuchach z samodziału.

Dom stał samotnie na końcu długiej, odludnej drogi, przycupnięty w pofałdowanym polu. Lewon nienawidził ciszy i wzdychał za sąsiadami i domokrażcami. W tej okolicy nie było nic znajomego, absolutnie nic, co przypominałoby nasz dom. Zostaliśmy rzućni w krajobraz jak z innej planety, pełen zieleni, gdzie chmury kłębiły się nad głowami, a zimowy wiatr ciął jak nożem. Lewon był moim jedynym łącznikiem z przeszłością w tym obcym pejzażu. Przy nim mogłam się wyładować i mówić w języku matki. Potrafił czytać w moich myślach, wczuć się we mnie i przywrócić mnie do życia, gdy byłam nieszczęśliwa

i apatyczna. Często wracałam wspomnieniami na polanę, do moich braci, do miejsca ich pochówku, usianego kośćmi cmentarza, gdzie leżały głowy młodych chłopaków z twarzami wykrzywionymi grymasem.

Oboje daliśmy Rose listę nazwisk przyjaciół i krewnych, którzy wciąż mogli żyć. Moja lista obejmowała matkę, Nwart, Lousine, Ester – wszystkich, których śmierci nie widziałam. Rose przesłała nazwiska swojej znajomej, Elsie Barrow. Pracowały razem w szkole misyjnej w Bitlis, a teraz Elsie była wolontariuszką Czerwonego Krzyża w Nowym Jorku i pomagała uchodźcom odnajdywać zaginionych bliskich. Każdego dnia zapalaliśmy świece za nasze matki i naszych przyjaciół i modliliśmy się, by ich odnaleziono. Z biegiem lat jednak moja nadzieja gasła, podczas gdy Lewon nadal wierzył w cud.

Lewon walił piłką w płot, wyżywając się na drewnianych sztachetach. Często wściekał się na niesprawiedliwość, która nas spotkała, i tupał po domu jak zraniony niedźwiedź. Codziennie rozgrzebywał przeszłość, dzielił się ze mną historiami z dzieciństwa, nie godząc się zapomnieć o naszym dawnym życiu i przyjąć nowe. Wolał pamiętać, ja zaś chciałam zapomnieć, udawałam, że przeszłość nigdy się nie wydarzyła.

– Mariam! – zawołał Lewon, wpatrując się w coś na ziemi.

Przeszłam przez krótko przycięty trawnik i zobaczyłam, że stoi nad martwym wróblem, z którego piersi wylewa się miazga różowych wnętrzności.

– Musiał go zabić kot. Pochowamy go? – spytał.

Przywykłam do jego fascynacji śmiercią i pogrzebami. Podwórko za domem usiane było prowizorycznymi krzyżykami znaczącymi groby martwych stworzonek, na które się natknęliśmy.

Lewon wygrzebał rękoma dołek w klombie i zakopał ptaka. Postaliśmy nad grobem, przeżegnaliśmy się i wymamrotaliśmy ponure modlitwy.

Rose zapukała w okno kuchenne i zawołała nas do środka na lekcje, a Lewon marudził przez całą drogę do tylnego wejścia. Uczyliśmy się w domu, a każdy dzień rozpoczynaliśmy krótkim czytaniem Biblii. Rodzice Rose byli misjonarzami, lecz ona nie podzielała ich religijnej żarliwości. W naszym domu większy nacisk kładziono na naukę historii, geografii, arytmetyki i kaligrafii. Wszędzie tu było mnóstwo starych książek Ernesta i zachęcano nas, byśmy w wolnym czasie czytali Dickensa, Marka Twaina, Rudyarda Kiplinga, bajki Ezopa, poezje Emily Dickinson i Roberta Louisa Stevensona. Lewon nie interesował się książkami, wolał pomagać Rose w kuchni albo Ernestowi w warsztacie, odnajdując pociechę w pracy fizycznej.

Zajęliśmy swoje miejsca, Lewon rozciągnął się na stole z głową opartą na ręku.

– Usiądź prosto, Lewonie – powiedziała Rose.

Natychmiast się oparł, zgarbiony w krześle.

– Mariam, przeczytasz nam swój ulubiony werset z Księgi Jeremiasza?

Przekartkowałam Biblię, odnalazłam ustęp, którego szukałam – ten, który dawał mi nadzieję na lepszą przyszłość.

– „Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamysłam co do was – wyrocznia Pana – zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie. Będziecie Mnie wzywać, zanosząc do Mnie swe modlitwy, a Ja was wysłucham...”<sup>3</sup>.

Lubiłam czytać na głos Pismo Święte, wierzyłam w moc modlitwy i uważałam historie biblijne za wciągające i pogrzipające.

Kiedy skończyłam, Rose poprosiła o lekturę Lewona. Wciągnął powietrze przez zęby, nim sięgnął po Biblię, a potem przerzucał strony, by arbitralnie wybrać ustęp. Zaczął czytać – z błędami, ignorując interpunkcję, w niedbałym pośpiechu. Lewona nie poruszało w Biblii nic, nic też nie porywało jego wyobraźni: ani stworzenie świata, ani upadek człowieka, ani Ewangelia Mateusza, ani historie o walce i poświęceniu, które przypominały nasze doświadczenia.

– Nie chcę tego robić. – Zaszurał krzesłem, przygryzając wargę.

– Spróbuj jeszcze raz, Lewonie – powiedziała Rose z nutą irytacji w głosie; jej cierpliwość się wyczerpywała.

– Nie.

– To idź prosto do swojego pokoju i nie wychodź stamtąd. – Cierpki ton jej głosu nie zrobił większego wrażenia na Lewonie.

Splótł długie ręce na piersi.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić. Nie jesteś moją matką.

Nie był to pierwszy raz, gdy odmawiał jej rodzicielskich praw, przywołując osobę, której wspomnienie nieustannie nam towarzyszyło.

– Jestem jedyną matką, jaką masz, więc lepiej mnie słuchaj, bo jak nie...

– Bo jak nie, to co? – Zerwał się z krzesła, mamrocząc przekleństwa po ormiańsku, i wypadł z kuchni jak burza.

– Lepiej pobiegnij za nim, Mariam – powiedziała Rose, obawiając się, co może zrobić Lewon porwany nagłym gniewem.

Ruszyłam za nim na dwór, podatna na jego gniewną retorykę.

– Nie chcę czytać Biblii ani rozmawiać po angielsku. Chcę mówić w naszym języku, być sobą.

Dotarliśmy do drzew na tyłach domu i Lewon puścił się zygżakiem przez gęsty zagajnik. Często bawiliśmy się w pobliskim lasku. Rose zachęcała nas do zabawy na dworze, żebyśmy odkrywali krajobraz naszej nowej ojczyzny i zużywali energię, biegając, wspinając się na drzewa oraz pomagając Ernestowi w ogrodzie. Po kilku lekcjach mogliśmy robić, co chcieliśmy, Rose wierzyła bowiem, że wolność pomoże nam szybciej dojść do siebie, uśmierzy koszmary.

Dobiegliśmy do naszego ulubionego drzewa, rozłożystego kasztana, i Lewon

zrobił z rąk podpórkę dla moich stóp. Wspięłam się i niebawem usadowiliśmy się oboje na grubej gałęzi, niewidoczni z dołu, a nasze nogi kołysały się kilka metrów nad ziemią.

– Nie możemy zapomnieć, kim jesteśmy i skąd pochodzimy – powiedział. – Zresztą kto chciałby być Anglikiem? Nie unoszą rąk w tańcu ani nie śpiewają tak jak my. Nie płaczą, gdy są szczęśliwi, nie krzyczą, gdy rozmawiają, i nie potrafią jeść. Nie ścierpię kolejnego kawałka tego okropnego sera Rose ani kolejnej miski owsianki bez smaku. Dobry Boże, pozwól mi jeszcze raz przed śmiercią skosztować gulaszu z baraniny mojej mamy.

Ślinka mi ciekła na myśl o przysmakach przygotowywanych z okazji świąt.

– Wyobrażasz sobie, co powiedziałyby Rose, gdybym ją poprosił o ugotowanie owczej głowy? Pomyślałaby, że to jakiś satanistyczny rytuał. Już i tak myśli, że jestem antychrystem. – Wciągnął powietrze przez zęby. – Tęsknię za kuchnią mamy, a ty nie, Mariam? Pamiętasz rozłupywanie świeżych migdałów albo smak słodkich melonów? Oddałbym wszystko za kęs lahmadzunu mamy. – Teatralnie zapłakał i położył mi głowę na ramieniu.

Uwielbiałam sposób, w jaki Lewon zachwycał się jedzeniem, jego gadatliwość. Wiedziałam, że nigdy nie zazna spokoju w domu pozbawionym wrażeń i kolorów, towarzystwa, którego łaknął, potraw, za którymi tęsknił. Miał niespokojną, głodną przygód duszę i obawiałam się, że wkrótce zrobi się tu dla niego za ciasno.

Miałam na sobie sukienkę w kwiaty z wysokim kołnierzykiem, zapiętą pod szyję. Stałam obok Lewona na końcu kościoła, śpiewając *Pan jest moim pasterzem*. Śpiew chóru był melodyjny, ale nie poruszał mnie jak zapadające w pamięć głosy u Świętego Grzegorza. Parafialny kościół miał białe ściany i był pusty, w jednym końcu stał ołtarz, a w drugim – kamienna chrzcielnica. Ławki były drewniane, nad amboną znajdował się prosty metalowy krzyż i kilka stopionych do połowy świec.

Kątem oka mogłam dostrzec wargi Lewona wypowiadające słowa hymnu, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Lewon nigdy nie śpiewał w kościele, odgrywał jednak całe przedstawienie, otwierając usta szeroko jak głodny ptak. Wiedziałam, że Rose skarci go później, że zgrywał głupiego w Domu Bożym.

Po mszy Rose i Ernest rozmawiali z kilkorgiem znajomych, z którymi zaprzyjaźnili się w parafii. Mała blond dziewczynka gapiała się na nas, ciągnąc matkę za spódnicę i pokazując nas palcem. Kobieta obdarzyła nas pełnym współczucia uśmiechem, a potem usłyszałam słowo „sieroty” i poczułam, jakby ktoś wbijał mi nóż w serce.

– Słyszałaś to? – spytał Lewon, piorunując wzrokiem dziewczynkę, która ukryła głowę w spódnicy matki.

– Ona tylko żartowała.

– Nie jesteśmy sierotami – odrzekł. – Nasze matki żyją. Wiem, że tak jest.

Pewnego dnia nas odnajdą.

Graliśmy w oczko na słodycze, siedząc na strychu. Dałam Lewonowi kartę z nadzieją, że dla odmiany go pokonam. Z reguły wygrywał i przez całą grę zajadał karmelki i pańską skórkę.

Raz w tygodniu grywał w karty ze Stewartem, synem gospodarza mieszkającego po sąsiedzku. Wyprawiał się z zapasem czekoladek i karmelków, na które grali, i wracał z kieszeniami wypchanymi monetami i większą ilością słodyczy. Oszczędzał wygrane, by zorganizować ucieczkę z wioski, gdyby miały się spełnić jego najgorsze obawy i nikt by po nas nie przyjechał.

Odwróciłam swoje karty i wyciągnęłam dziesiątkę kier. Lewon znów wygrał.

– Więcej słodyczy dla mnie – powiedział, przyciągając torebkę do siebie i wyjmując laskę lukrecji.

Rzuciłam talię na stół.

– Zawsze wygrywasz. To nie w porządku.

– Zawsze byłem dobry w gry. Jak mój ojciec. – Przestał żuć, jakby smakołyk utknął mu w gardle. – Im jestem starszy, tym bardziej go przypominam, tym bardziej odczuwam, że jest gdzieś wewnątrz mnie.

Jego oczy mówiły mi, że znalazł się z powrotem w swojej wiosce, z oskarżonym o zdradę ojcem, którego wyprowadzono z domu na muszce. Kiedy zjawiała się policja, żeby aresztować więcej mężczyzn, Lewon uciekł z wioski, dołączył do karawany wygnańców i rozdzielił się z rodziną.

– Mariam, sądzisz, że dusza żyje wiecznie?

Chciałam wierzyć w to, że duchy tych, których utraciliśmy, żyją. Lewon pochylił się i oddał mi słodycze.

– Jedzmy, dopóki nie pękniemy. Dopóki brzuchy nas nie rozbolą i zęby się nam nie popsują.

Przeniosłam się w czasie do ślubu Ester, dnia, gdy wraz z Gabrielem podjadaliśmy chałwę pod gruszą. Rozbudowana gestykulacja Lewona i jego pobudliwość często przywodziły mi na myśl Gabriela.

Z kuchni dochodził na strych zapach dymu. Ciemna przestrzeń poddasza była zagracona kufkami i drewnianymi skrzynkami, oświetlała ją lampa i kilka świec. Siedziałam na starym wiklinowym krześle, a Lewon na siedzeniu, które zrobił sobie w warsztacie Ernesta z pnia drzewa. Jako stołu używaliśmy walizki, a żeby uczynić nasze gniazdko bardziej przytulnym, znosiliśmy tu różne przedmioty domowego użytku: filiżanki, wazon, koc i pled. Na strychu trzymałam też druty i robiłam sobie lalkę z włóczki, a także kolorową poduszkę dla Lewona. Zgromadziliśmy też papier do rysowania i kilka gier. Przy łóżku trzymałam stosik podniszczonych broszur, książek i czasopism: kilka egzemplarzy „Medical Journal” Sajousa z oślimi rogami i parę podręczników pierwszej pomocy

Czerwonego Krzyża, niewielką biblioteczkę, z której korzystała Rose w swym medycznym kształceniu, zanim wyruszyła w podróż. W rogu pod oknem stał nasz ołtarzyk zastawiony świecami; modliliśmy się przy nim o powrót matek.

– Mam ochotę na historyjkę – rzekł Lewon. – Jedną z tych, które opowiadał twój brat.

– Słyszałeś je wszystkie po tysiąc razy.

Legendy o dziewicach słońca, ognistych duchach, niepokonanych kogutach i tajemniczych węzowych dzieciach nigdy Lewona nie nudziły. Prawie wyczerpałam repertuar Gabriela, ale była jedna historia, której nie opowiadałam, historia, która przywoływała wspomnienie tej nocy, kiedy leżałam obok Gabriela na pustyni. Tęskniłam za braćmi, choć rysy ich twarzy zatarły się w mojej pamięci, jak szkice węglem rozmazane palcem czasu.

Przywołałam historię Siedmiu Gwiazd o chłopcu i dziewczynie, którzy zakochali się w sobie, lecz nie wolno im było się pobrać, o parze, która zmarła z powodu złamanych serc i wzbiła się na nieboskłon, by stać się gwiazdami. Lewon trzymał na kolanach papier i szkicował dwoje dzieci trzymających się za ręce i lecących do nieba. Lubił rysować i potrafił godzinami wyczarowywać na papierze postaci z moich opowieści. Dziewczyna miała długie włosy jak ja, a chłopak z krzywym uśmiechem i dużymi uszami był karykaturą Lewona. Pomyślałam, że to dziwne, że narysował nas w ten sposób, ze splecionymi dłońmi, jakbyśmy byli parą.

Gdy skończyłam historyjkę, poczułam tęsknotę za domem. Bajka uwolniła powódź wspomnień i sprawiła, że zaczęłam myśleć o życiu pozagrobowym. Zastanawiałam się, czy ludzie w niebie się starzeją. Czy Gabriel przez całą wieczność będzie kędzierzawym chłopakiem szczerzącym zęby w uśmiechu? A jeśli niebo jest tak duże jak Anglia, to jak go odnajdę? I jak matka odnajdzie mnie zagubioną w morzu zieleni? Nasza sytuacja wydawała się beznadziejna.

– O czym myślisz? – spytał Lewon.

– O matce.

– Niebawem się pojawi. Zabierze cię stąd.

– A co z Rose i Ernestem?

Pokochałam ludzi, którzy nas adoptowali, a ich dom stała się moim domem.

– To nie są nasi rodzice. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

Lewon zatrzasnął serce przed Ernestem i Rose, jakby miłość do nich była zdradą wobec prawdziwych rodziców. Często rozmyślałam o matce, ale ból zmalął, a gdy Rose tuliła mnie w ramionach, całą duszą czułam się jej córką.

– Nigdy nie wrócimy do domu, Lewonie. Dlaczego nie przyjmiesz tego po prostu do wiadomości?

– Możemy tam pójść w tej chwili, jeśli chcesz.

– O czym ty mówisz?

– Tu na górze możemy być, gdzie tylko chcemy. – Zdmuchnął świece i zgasił lampę naftową. Strych pogrążył się w ciemności. – Gdzie chciałabyś teraz być, Mariam?

– W salonie mojego domu w Cezarei.

– I kogo byś tam chciała zastać?

– Mojego ojca.

– Jest tutaj. Widzisz go? Kogo jeszcze?

– Przyjaciela Baby, poetę Badaliana.

– Właśnie przyszedł. Zdejmuje płaszcz. To bardzo starannie uszyty płaszcz, podszyty jedwabiem.

– Miał sfatygowane palto. Chyba nie bardzo przejmował się ciuchami.

– Wybił się. Teraz jest sławnym człowiekiem, publikowanym poetą. Stać go na jedwabie.

– A gdzie stoi mój ojciec?

– O tu, przed tobą, pali fajkę. Nie czujesz dymu? Jest tak gryzący, że ledwie mogę oddychać. Kim jestem?

– Jesteś Karabetianem, prawnikiem, przyszedłeś na herbatę.

Wykorzystałam ciemność, wypełniając ją ludźmi, których mi brakowało, wyobrażałam sobie, że widzę sylwetkę ojca, dumny zarys pleców, połysk jego olejku do włosów.

– Gdzie moja herbata? – spytał Lewon.

Zastukałam filiżanką o spodek, pomieszałam.

– Pańska herbata, z łyżką miodu.

Lewon siorbnął.

– Doprawdy wyborna, kwiatuszku. Jest może któreś z tych twoich ciastek? Mam ochotę na małe co nieco.

– Proszę, niech się pan częstuje, prosto z pieca.

Przysięgam, że poczułam zapach ciastek z miętą i serem, które robiła matka. Byłam w Cezarei, ośnieżone szczyty Erciyesu lśniły za wymagowanym oknem.

Lewon schrupał ciastko, siorbnął i wydał pełen uznania pomruk.

– Mmm. Wyśmienite. Nigdy nie jadłem nic lepszego. Na pewno znów tu zajrzę, choć jak na mój gust światło jest zbyt przytłumione.

Uśmiechnęłam się.

– Uśmiechasz się – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Widzę w ciemnościach.

– W takim razie co teraz robię? – Wystawiłam język.

– Przewracasz oczyma... krzywisz się... wystawiasz język?

Mój uśmiech zbladł, gdy zatarł się widmowy obraz ojca, rozplywając się w czerni, i nagle z powrotem byłam na poddaszu, osamotniona.



– Nigdy ci nie mówiłam, co się stało z przyjaciółmi ojca.  
– Powiedz.  
– Prawnikowi odcięto podeszwy stóp, a poecie wyrwano język. –  
Wzdrygnęłam się i ciemność zaczęła się przybliżać. – Lewon, jesteś tu?

Wyczuł moją panikę i wziął mnie za rękę.

– Jestem tu, Mariam. Nie bój się.

Zapalił zapałkę, a potem świecę, wymazując przeszłość.

Leżałam za domem, w górze kłębiły się chmury deszczowe. Obok Lewon nucił melodię, a ja żułam pozbawioną smaku gumę, wyobrażając sobie, że to chałwa.

– Wszystko bym oddała za kawałek chałwy – wypowiedziałam swoją myśl, a wsparty na łokciu Lewon poruszył się.

– Może byśmy ją zrobili?

– Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Wymyślimy coś na poczekaniu. Jak skomplikowane może być zrobienie chałwy? No dalej. Rose i Ernesta nie będzie kilka godzin, a piec jest jeszcze rozgrzany od śniadania.

Porwana entuzjazmem Lewona, poszłam za nim do kuchni i patrzyłam, jak bierze torebkę cukru z kredensu i wysypuje go do stojącego na piecu garnka. Dodał wody, zamieszał drewnianą łyżką.

– Musi być delikatna i się ciągnąć – powiedział. – Cukier i woda nie załatwią sprawy. Musimy dodać coś jeszcze.

– Co na przykład?

Zamyślił się, a potem oczy mu się rozszerzyły.

– Idź na strych i przynieś mi torebkę z cukierkami i wszystkim, czego smak lubisz.

Wróciłam po chwili z cukierkami i pudełkiem mieszanki czekoladowej. Lewon wsypał cukierki do garnka i kuchnię wypełnił zawieszisty aromat, który zaostrił mój apetyt. Potem wrzucił – jedną po drugiej – czekoladki, mieszając, aż wszystkie składniki stopiły się w ciągnące, kremowe spirale, a następnie wylał całość na metalowy półmisek.

Zanieśliśmy stygnące naczynie na strych i graliśmy w karty, czekając, aż deser się zetnie. Lewon pokroił go na kwadraciki i zaproponował mi pierwszy kawałek. Wzięłam go do ust i żułam mieszaninę – delikatną, drażniąco słodką, kleistą, czekoladowo-karmelową w smaku.

– Takie dobre, że można by sprzedawać – powiedział Lewon. – Tak właśnie zbiję majątek. Sprzedając chałwę. Podzielimy się zyskami i oboje będziemy bogaci.

Lewon miewał szalone marzenia, a ja lubiłam o nich słuchać, podróżować w przyszłość, w której żylibyśmy wspólnie w wielkim domu i prowadzili własną

restaurację. Sama nie miałam żadnych marzeń i cieszyłam się, że mogę przyjąć wizję Lewona i wyobrażać sobie nasze wspaniałe wspólne życie jako rekompensatę za wszystko, co utraciliśmy.

Lewon zaczął grzebać w kufrach na strychu. To była jego ulubiona rozrywka, dzięki której odkryliśmy zabawki Ernesta z dzieciństwa i rodzinne pamiątki: zdjęcia, bibeloty, książki, patchworkowe narzuty.

Tego dnia Lewon otworzył siłą ukrytą szufladę w jednym z kufrów i odnalazł zwitek zapisanych na maszynie kartek – złożone pod przysięgą w 1918 roku oświadczenie Rose dla Amerykańskiej Rady Komisarzy ds. Zagranicznych, szczegółowo opisujące jej doświadczenia w szkole misyjnej w Bitlis, gdzie pielęgnowała dzieci chore na tyfus. Tego dnia dowiedzieliśmy się o odwadze kobiety, która ogromnie ryzykowała, ukrywając wypędzonych Ormian w piwnicy szkoły, która pokochała sieroty zostawiane pod bramą przez uciekające matki i która była załamana, gdy wyprowadzano uczniów ze szkoły pod lufami karabinów. Pisała o swej ucieczce z regionu dzięki pomocy tureckiego woźnego i scenach, których była świadkiem w trakcie podróży powozem do Bejrutu – o morzu uchodźców, śmiertelnie przerażonych i zrezygnowanych. Opisywała chwilę, gdy nas znalazła, zakrwawionych i w łachmanach, i determinację, by chronić nas bez względu na wszystko. Nazwała nas swym darem od Boga.

## ROZDZIAŁ 26

### KATERINA

Nurtuje mnie jedno pytanie. Co się stało z Lewonem? W jaki sposób zniknął tak całkowicie z orbity życiowej mojej babki? Co się stało z chłopcem, który dzielił z nią tak ważną część dzieciństwa? Czekam na przybycie Ary, próbuję skupić się na powieści, ale jestem kłębkim burzliwych emocji: dojmującego smutku z powodu babci, mętliku w kwestii własnej przyszłości i moich uczuć wobec Ary. Przepływa przeze mnie strumień ciepła, gdy rozmyślam nad ostatnimi kilkoma dniami. Może warto spróbować związku na odległość, może spotkanie – z pomocą ducha babci – było nam pisane?

Zerkam na zegarek, czekając na niego. Mija godzina, potem dwie. Przyjdzie, bo obiecał, mówię sobie, no i został jeszcze ostatni rozdział. Poprzedniej nocy na plaży wyjawiał swoje uczucia. Dzwonię do pracowni i do jego mieszkania, ale nikt nie odbiera, więc spaceruję bulwarem, a w moim wnętrzu toczy się zaciekły spór między sercem a rozumem. Czy powtarza się ta historia z Robem, ten przypadek, gdy Katerina wplątuje się w romantyczne głupstwo i puste słowa bierze za dobrą monetę? Szukam pociechy w lodach, dwóch gałkach pistacjowych. Siedzę, patrzę na morze i czuję się odrzucona. Pragnę wiedzieć, dlaczego nie przyszedł, zastanawiam się, czy nie jest chory, ale zbyt wiele we mnie dumy, żeby znów zadzwonić albo go odwiedzić, i wmawiam sobie, że jego zniknięcie to pewnie najlepsze wyjście.

W pokoju hotelowym Jenny siedzi na łóżku, pogryzając tabliczkę czekolady.

– To koniec – mówi z lekceważącym wzruszeniem ramion, odnosząc się do tygodnia swej przelotnej przyjemności.

Moja przyjaciółka jest ze stali i nie będzie źle sypiać z powodu wakacyjnej przygody.

– To jest nas dwie.

– No, to jest niespodzianka. Trzymasz się?

Nie dała się oszukać mojemu uśmiechowi, jej troska sprawia, że pieką mnie oczy.

Nazajutrz wracamy do dawnych nawyków. Wstajemy późno, jemy fast foody, wylegujemy się godzinami na plaży, a potem siedzimy do rana w irlandzkim barze. Przedostatniego dnia naszych dwutygodniowych wakacji zaczynam spisywać nagrania Ary i dźwięk jego głosu napełnia mnie słusznym gniewem, który domaga się ujęcia. Zaproponował, że przetłumaczy dziennik, a zostawił po sobie niewyjaśnione sprawy, zdradzając naszą przyjaźń. Postanawiam się z nim rozmówić, zanim wyjadę do domu. W końcu i tak już nigdy go nie zobaczę. Łapię się na tym, że układam włosy, tak jak lubi, szesane na jedną stronę, i ruszam do pracowni, wciąż powtarzając w myślach przynoszące satysfakcję obelgi, którymi

go obrzucę.

W knajpce niedaleko pracowni moją uwagę przyciąga rzeźba, więc staję, by się jej przyjrzeć. Cykladyczna naguska Ary pyszni się w witrynie, a potem dostrzegam jej twórcę siedzącego tyłem do mnie przy stoliku z grupką artystycznych typów, niespiesznie popalającego i pijącego kawę. Odchodzę, powraca gniew, prawdę widać jak na dłoni. Wrócił do dawnego życia i jedyne, co nas wiąże, to przeszłość mojej babki.

## ROZDZIAŁ 27

### GABRIEL

– Rozumiem twój problem, przyjacielu – mówi Howsepian.

Rozmawiamy szeptem w cichym kącie klubu.

– Marta zaprosiła rodziców Harry’ego na niedzielny obiad. Teściowie, tak ich nazywa, *khenami*. Po moim trupie! Ostrzegła mnie, bym się dobrze zachowywał, bo jak nie...

– Bo jak nie, to co?

– Jak nie, to do końca życia nie będę miał okazji cieszyć się pieczoną baraniną, zatopić zębów w cieście zawijanym z serem i nigdy nie zakosztuję rozkoszy masażu głowy.

– Za długo byłeś pod pantoflem żony, przyjacielu.

– Zmieńmy temat, zbliża się Partogh.

– O czym tak szepczecie? – pyta Partogh.

– Gdybyśmy chcieli, żebyś wiedział, tobyśmy nie szeptali – mówi Howsepian.

– Jak twoi *khenami*, Gabrielu?

– Ugryźże się w język.

– Co masz przeciwko chłopakowi? Wydaje mi się całkiem sympatyczny.

– Od czego mam zacząć? Jego obcisłe ciuchy, nastroszone włosy...

– Ubrania młodych ludzi są po to, żeby razić starych nudziarzy takich jak my. Nowe pokolenie chce się odcinać, dokładnie tak jak powinno, by zostawić w świecie swój ślad.

– Mój zięć się tak nie ubiera – mówi Howsepian.

– Twój zięć nosi pulowery, które robi mu matka.

Stojąc na ostatnim szczeblu drabiny, zaglądam do ptasiego gniazda na szarańczynie. Cztery błyszczące niebieskie jaja leżą w gnieździe o kształcie filiżanki. Słyszę, jak Marta wykrzykuje moje imię, i widzę, że wychodzi przez tylne drzwi i drapie pod brodą dzikiego kota. Przyglądając się jej z ukrycia, przypominam sobie dzień, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, i moje stare serce na chwilę zamiera, znów jestem chłopcem, który śledzi ukochaną dziewczynę i pragnie być kotem.

Marta podchodzi do drzewa, staje pod nim i szuka mnie wzrokiem. Zrywam strąk szarańczyny i zrzucam jej na głowę. Jej ręce przemieszczają się na biodra.

– Co ty tam, na Boga, robisz, Gabrielu?

– Sprawdziłem ptasie jaja. Upewniałem się, że nie dobrał się do nich wąż.

– Zejdz, zanim złamiesz nogę. Ta stara drabina zagraża zdrowiu.

Robię, jak każe, i wracam do szklaneczki whisky stojącej na stole w ogrodzie.

– Wiesz, na czym polega twój problem, Gabrielu? Masz za dużo wolnego czasu – mówi Marta. – Musisz sobie znaleźć więcej zajęć. Bądź proaktywny, promuj samego siebie. Anahit byłaby szczęśliwa, gdybyś robił zdjęcia na jej ślubie. Miałbyś w końcu coś do roboty. I trzymałbyś się z dala od kłopotów.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych wyrobiłem sobie nazwisko jako fotograf. Wszyscy zabiegali o to, żeby na ich weselach i chrzcinach pstrykał Gabriel Arakelian. Teraz pracuję sporadycznie, w ramach przysługi dla przyjaciół. Utrata domu i sklepu osłabiła moje zainteresowanie zawodem, który pokochałem.

– Ślubu nie będzie. Ona nie wyjdzie za tego półgłówka.

Marta wzdycha i odchodzi do domu. Zdjęcia, no rzeczywiście! Każdy trzask migawki byłby jak sól na ranę. Moje oko wychwytuje ruch za ogrodzeniem w płataninie uschłej roślinności. Zastanawiam się, czy Therko obserwuje podwórze, przygląda mi się badawczo przez zarośla i czeka na okazję, by porwać tamte jaja. Trzeba coś zrobić, żeby powstrzymać jego zuchwałe podchody za dnia. Łamię sobie głowę nad rozwiązaniem. Mógłbym pożyczyć strzelbę od Howsepiana i załatwić huncwota. Albo kupić pułapkę. Za pomocą akumulatora i kabla mógłbym zrobić ogrodzenie pod napięciem, by trzymać intruza z dala przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z butelką domowej roboty raki Partogha postanawiam odwiedzić starego znajomego Pavlosa, mechanika, i wymienić ją na akumulator.

Jest niedziela. Marta obwiesiła podwórze światełkami, nakryła stół dla sześciu osób pod szarańczynem, wystawiła najlepszą porcelanę i pożyczyła od sąsiadów kryształowe kieliszki. Siedzę, topiąc pogardę w whisky i rozgrzewając się przed występem, i patrzę, jak składa serwetki w stożki. Muszę jasno dać do zrozumienia swoją niechęć, nie wydając się przy tym otwarcie grubiańskim i nie ryzykując sankcji żywieniowych.

Marta zaszalała z potrawami, trwoniąc na nie tygodniowy budżet. Stół obfituje w efektowne dania. Jakovos, ojciec taksówkarz, siedzi naprzeciwko, obok swej żony Riny. Wkładam do ust kęs delikatnej baraniny doprawionej czosnkiem, pieprzem i rozmarynem, delektuję się smakiem jak człowiek, który niebawem zostanie zagłodzony za drobne towarzyskie wykroczenie.

Jakovos jest dokładnie taki, jak się spodziewałem, plebejusz. Ma nieodzowne taksówkarskie brzuszyśko i wąsy, nosi też – jeśli wzrok mnie nie myli – tupecik z kłaczkowatych akrylowych kosmyków. Zastanawiam się, o czym wedle mojej wnuczki będziemy dyskutować w niedzielne popołudnia. O piastach i świecach zapłonowych? O oleju silnikowym i katalizatorach? Wolałbym spłonąć żywcem.

Jakovos ma głośny, skrzekliwy śmiech. Odrzuca głowę, rechocząc z własnych ordynarnych taksjarskich dowcipów – jeden jest o dwóch głupich blondynkach, które utknęły w studni, a drugi o Greku z Pontu próbującym

obrabować bank za pomocą banana. Jeśli waży się opowiedzieć dowcip o skąpym Ormianinie, wsadzę jego twarz do jogurtowego dipu. Sporadyczne gniewne spojrzenia Marty są wyjątkowo niesprawiedliwe. W żadnym razie nie może liczyć na to, że będę się śmiał z żartów, które są dyskryminacyjne, niewyszukane i mało zabawne.

Matka Harry'ego jest pulchna jak ciastko z budyniem i nie ma w sobie nic z subtelności Marty. Jej łydki są grube, a spuchnięte palce przystrajają krzykliwe złote pierścienie. Sporo czasu zajmuje jej opis problemów z wrzodami. „Nie mam apetytu”, mówi, nakładając sobie drugą dokładkę pilawu na talerz. „Naprawdę nie powinnam jeść”, dodaje, sięgając po ostatni kawałek łopatki jagnięcej i przetykając znaczną część mojej pensji ze zboląłą, choć niezbyt przekonującą miną.

Anahit unosi brwi, rzucając mi spojrzenie, i staram się, naprawdę się staram wymyślić, co mógłbym powiedzieć. Coś ożywczego, co zadowoli Martę i moją wnuczkę. Talerz z sercami karczochów połyskującymi w sosie z oliwy i cytryny podsuwa mi pewien pomysł.

- Co pan myśli o transplantacji serca? – pytam taksówkarza.
- Co proszę?
- Przeszczep serca. Słyszał pan o dziewczynce, która urodziła się w Ameryce z poważną wadą serca? Doktorzy wszyli jej serce pawiana wielkości orzecha włoskiego. Żyła trzy tygodnie z małym narządem.
- Jaki to miało sens?
- Sens! – Cymbał. – Przeszczep się przyjął. To był cud medycyny, który otwiera drogę do transplantacji międzygatunkowych.
- Nie chciałbym mieć w sobie serca małpy.
- Nawet gdyby cierpiał pan na poważną chorobę wieńcową i dawano by panu kilka dni życia?
- Poszedłbym do Stworzyciela taki, jaki jestem.
- Pańska rodzina może mieć na ten temat inne zdanie. – Zwracam się do Riny, która w końcu położyła widelec obok noża na pustym talerzu. – Gdyby pani mąż cierpiał na niewydolność serca w końcowym stadium, nie chciałaby pani, żeby miał przeszczep?
- Wolę o tym nie myśleć.
- A gdyby znalazł się na skraju rzeki, ścigany przez lwy, popchnęłaby go pani?
- Nie umie pływać.
- To była przenośnia, kobieto! Z pewnością musi pani mieć jakieś zdanie na temat najbardziej niesłychanego przełomu w chirurgii w dziedzinie przedłużania życia.
- Przestań wrzeszczeć – mówi Anahit.

Matka Harry'ego wygląda na przestraszoną, jest trochę żółta, i zastanawiam

się, czy wątroba dokucza jej podobnie jak wrzody.

– Mój dziadek jest zapalonym miłośnikiem medycyny – mówi Anahit z przepraszającym uśmiechem. – Jego ojciec, Grigor, był doktorem.

– Czy opowiadałem wam już dowcip o człowieku bez serca? – pyta taksówkarz.

– Nie, tato. I nie chcemy go słuchać – odpowiada Harry.

– Gabrielu, zmieńmy może temat, dobrze?

– O czym mam opowiadać, Marto? O kołpakach i choinkach samochodowych?

– Poradził pan już sobie z wężem, panie Arakelian? – pyta Harry.

– Nie, ale przygotowałem pułapkę. – Wskazuję odwrócone pudełko w rogu podwórza, podparte patykiem przywiązany sznurkiem: podstawowa pułapka na myszy.

– Z jakim wężem? – pyta Rina, kładąc dłoń na sercu.

– Wężem, który mieszka w koronie szarańczynu, gdy nie uprzykrza nam życia pełzaniem po podwórzu.

Rina żegna się i z drzeniem spogląda w górę.

– Nie znoszę węży. Na samą myśl o nich przechodzą mnie ciarki.

– Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym – prosi Marta.

Rina klaszcze w pulchne dłonie.

– Tak! Lubię śluby. Wesele mojego syna będzie największym i najwspanialszym weselem, jakie widziało to miasto.

– A kim jest ta szczęśliwa dziewczyna?

Moja dowcipna uwaga wywołuje gniewne spojrzenia.

– Dziadek tylko żartuje. Taki już jest – mówi Anahit. – Nie może się powstrzymać.

– Żałuję, że nie jest tak, jak mówię. Myślę, że to wszystko dzieje się w pośpiechu i nie bardzo rozumiem dlaczego.

– Spotykają się od pięciu lat – mówi taksówkarz.

– Gdybym postawił na swoim, spotykaliby się przez kolejnych pięć.

– Dlaczego? Czy mój syn nie jest wystarczająco dobry dla pańskiej wnuczki?

– Moja wnuczka to wykształcona dziewczyna, nauczycielka, a pański syn...

Zanim skończę zdanie, neandertalczyk odsuwa krzesło, wstaje i każe żonie zrobić to samo, a moi bliscy podążają za nim, rzucając mi wściekłe spojrzenia. Nie czuję najmniejszych wyrzutów sumienia, dopóki Anahit jeszcze tego samego dnia nie pakuje walizki, oznajmiając, że zamieszka z Harrym.

Moja zwykle rozsądna żona syczy na mnie:

– Szczęśliwy jesteś, że twoja wnuczka się wyprowadza? Obiecaliśmy jej rodzicom, że się nią dobrze zaopiekujemy. Dziś, Gabrielu Arakelianie, będziesz sobie spał razem ze swoim wężem.



Tej nocy zamyka przede mną dom.

## ROZDZIAŁ 28

W następną środę Jennifer wraca na zaproszenie Marty. Wchodzi do domu w zaskakująco serdecznym nastroju i całuje mnie w policzki. Nie dla mnie oślizgłe pocałunki – dotyk jej tłustej szminki na skórze jest nieco odpychający. Wyśmiewałem jej fryzurę, a ona mimo to mnie polubiła, chyba że ten pokaz sympatii jest amerykańskim sposobem na zdobycie mojego zaufania i ośmielenie mnie. Granice naszych relacji są dla mnie zupełnie jasne – ona przeprowadza wywiad, a ja go udzielam.

Po domu rozchodzi się zapach świeżo upieczonych ciasteczek. Marta była zajęta w kuchni przygotowywaniem banir boreg, ciasta zawijanego z serem. Wchodzi do pokoju, wycierając w fartuch umazane mąką ręce, i całuje Jennifer na powitanie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio pocałowała mnie.

Niebawem siedzimy wszyscy przy stole w jadalni, popijamy herbatę i jemy ciasto z serem, kobiety wesoło gadają o niczym, jak to potrafią tylko one. Biorę drugi kawałek baniru, a Marta rzuca mi spojrzenie niczym smagnięcie rozwidlonym językiem, spojrzenie, które mówi cicho, ostrzegawczo: „Gabrielu, weź jeszcze jeden kawałek, a odetnę ci rękę. Pamiętaj, że masz wysoki cholesterol, dusznicę i duży brzuch. Pamiętaj, że ostatnio musiałam wypuścić ci pasek w twoich ulubionych spodniach, a gdy okaże się to znowu potrzebne, spełnię swoją groźbę i pozbędę się ich”.

To spojrzenie ma pewien sens, ale i tak zjadam kolejny kawałek, wiedząc, że nieprędko będę miał szansę zjeść następny.

– Zaczynamy, panie Arakelian? – pyta Jennifer. – Ostatnim razem opowiadał pan o życiu w górach. Może łatwiej będzie posuwać się w porządku chronologicznym.

Dziś moje myśli są bezładną płataniną i potrzebuję whisky, by je uporządkować.

– Chwileczkę.

– Och, Gabrielu, marnujesz czas Jennifer. Ona ma jeszcze innych rozmówców.

– Proszę się nie martwić o mój czas. Nie mam nic przeciwko, żeby pan Arakelian robił wszystko we własnym rytmie.

Idę do kuchni i nalewam sobie z lodówki johnny’ego walkera. Napełniam szklankę po brzegi i nie mogę się doczekać jego odprężającego działania. W domu jest zawsze butelka albo dwie najlepszej szkockiej, wydzielającej owocowy, leczniczy zapach. Marta rozwadnia moją whisky, zmuszając mnie, żebym wypijał podwójną ilość. Trzymam buteleczkę nierozcieńzonego alkoholu w szafie i pociągam z niej, zawsze kiedy czuję się wzburzony, gdy w snach oblewa mnie zimny pot. To koszmary, w których Martę uwozi zamaskowany jeździec, Tamar

w łachmanach zebrze o jedzenie, a Anahit umiera. Jeśli zdenerwowanie nie ustąpi wraz z whisky, zwracam się ku moim ukrytym zapasom ativanu, środka uspokajającego, który pomaga mi zasnąć. W tym kraju większość leków na receptę można kupić spod lady, jeśli zna się odpowiedniego aptekarza.

Wracając do pokoju, zauważam odbicie starzejącego się człowieka w lustrze w korytarzu. Skórę mam pobrużdżoną jak misterne origami po rozłożeniu wzdłuż linii mojej kościstej twarzy. Przywodzące mnie do zguby usta sprawiają, że wyglądam na wiecznie zirytowanego, nawet przy tych rzadkich okazjach, gdy jestem szczęśliwy, gdy Tamar przychodzi z wizytą, gdy dom wypełniają wnuki. Przez prawy policzek biegnie ledwo widoczna blizna, moje piętno, świadectwo – jakby go było potrzeba – tego dnia na polanie, kiedy straciłem brata i siostrę.

Marta obserwuje, jak wracam na swoje miejsce przy stole; intensywność jej spojrzenia sprawia, że rozlewam złociste krople na wykafelkowaną podłogę.

– To twoja wina – mówię, udaremniając wykład o głupocie napełniania szklanki po brzegi.

Pociągam zdrowy łyk, by zapobiec dalszemu rozlewaniu, i sięgam po rothmansy.

– Panie Arakelian, dowiedział się pan w ogóle, co się stało z pańską matką?

– Napisałem do każdej ormiańskiej parafii na świecie. Przeszukiwałem rejestry. Zatrudniłem nawet prywatnego detektywa.

– Detektywa! Może mi pan o tym opowie?

– Był Libańczykiem. Na imię miał Farid. Pamiętam dobrze dzień, gdy przyniósł mi wieści. To były urodziny króla, dzień, gdy miałem stawić czoła wielkiemu rozczarowaniu i wielkiej radości. Zresztą ogólnie tak właśnie układało się moje życie, Jennifer...

## ROZDZIAŁ 29

### NIKOZJA, ROK 1937

Siedziałem na balkonie naszej czynszówki w stolicy, patrząc, jak okolica budzi się do życia. Aparat był przygotowany, z nową kliszą w środku. Gazeta zatrudniła mnie jako fotografa na zlecenie, żebym robił zdjęcia obchodów urodzin króla na placu apelowym, niedaleko naszego mieszkania.

Kilka lat wcześniej przeprowadziłem rodzinę z gór do tureckiej dzielnicy Nikozji, gdzie ormiańska społeczność miała swoje tradycje i kwitła. Żyłem ze stadkiem kobiet: z Martą i moją córeczką Tamar, z ciotką Leną i kuzynką Warwarą. Kobiety dobrze zaadaptowały się do miejskiego życia, nawiązały liczne przyjaźnie i często popijały kawę z naszą turecką sąsiadką Begum. Begum była szlachetną duszą, zawsze zachodziła do nas w święta i z okazji urodzin, przynosząc mączną chałwę, ciastka migdałowe i budyń z kaszy manny. Przypominała mi Esrę, kobietę, która ocaliła mi życie i nierzadko przychodziła do mnie w snach na jawie – niestarzejąca się istota w chuście z frędzlami. Zastanawiałem się, jak żyje, i żałowałem, że nie dano mi okazji się z nią pożegnać i wyrazić wdzięczności.

Marta i Lena robiły zakupy na tureckich i ormiańskich straganach i w sklepach, gdzie można było znaleźć wiele produktów, na które mieliśmy nieprzepartą ochotę: pęta basturmy, gęsty jogurt w ceramicznych garnuszkach, aromatyczne herbaty, chałwę i orzechy w karmelu. Nie żałowałem, że porzuciłem harówkę w kopalni i uciekłem ze starych kątów, które przypominały mi o wuju. Udawaliśmy, że nie widzimy miejskich enklaw przemocy i politycznych niepokoju podsyconych przez greckich Cypryjczyków sprzeciwiających się brytyjskim rządowi.

Przez pierwsze sześć miesięcy brałem każdą robotę, jaka się nawinęła, dopóki stary Bedros, ormiański fotograf, nie zaproponował mi praktyki u siebie. Byłem zafascynowany kodakiem, który wetknął mi do rąk, i uważałem swą nową pracę za satysfakcjonujący kompromis w połowie drogi między upragnionym życiem dżentelmena w garniturze a fizyczną harówką zwykłego robotnika. Ludzie zawsze cieszyli się na mój widok, pragnęli, by uwiecznić ich na kliszy, zarejestrować dla potomności ich rytuały przejścia: chrzty, zaręczyny, śluby. Zdjęcia przetrwały, ocalawszy z ucisku, tyranii i rzezi. Wielu znajomych Ormian uciekło z domów w 1915 roku, kurczowo ściskając jedynie rodzinne fotografie. Oprawiona podobizna ojca na kominku była moim najcenniejszym skarbem, jedyną rzeczą, którą chciałem ocalić, gdyby wszystko inne przepadło. Żałowałem, że nie mam więcej zdjęć rodziny, że w dniu, gdy wyrzucono nas z domu, nie wziąłem fotografii zamiast chleba.

Zajęcie było kiepsko opłacane i byłem zmuszony wydawać na życie pieniądze, które zaoszczędziłem podczas pracy w kopalni. Resztę tamtych

pieniędzy miałem przy sobie w kieszeni, żeby zapłacić człowiekowi, z którym umówiłem się na spotkanie w kawiarni Ahmeta, libańskiemu agentowi Faridowi specjalizującemu się w odnajdywaniu zaginionych ormiańskich krewnych. Przez klub Farid przysłał mi wiadomość, że ma informacje o mojej matce. Upływ czasu nie zmniejszył mojej nadziei na jej odnalezienie; czułem, że jej siły witalne popychają mnie do kontynuowania poszukiwań. Była gdzieś tam, w świecie, i nikt nie mógł mnie przekonać, że jest inaczej.

Na spotkanie wyruszyłem na piechotę przez dzielnicę oszpeconą przeszłymi bitwami. Były tam zrujnowane kościoły i fragmenty łuków, bogato zdobione drzwi, które prowadziły donikąd, zniszczone freski na kruszejących ścianach. Mroźące krew w żyłach dowody tyranii były widoczne w każdym elemencie krajobrazu, od weneckich szesnastowiecznych blanków z czasu fortyfikowania miasta przed osmańskim atakiem do domów o płaskich dachach i małych oknach, wybudowanych, by zapewnić bezpieczeństwo przed najazdem i prześladowaniami ze strony despotycznych władców wyspy. Wielu zdobywców odcisnęło tu swój ślad: Egipcjanie, Persowie, Lusignanie, Turcy. W 1925 roku – po upadku imperium osmańskiego – Cypr stał się kolonią Korony Brytyjskiej. Wyspę sprzedawano i wymieniano wedle woli obcych państw i zgodnie z ich strategicznymi i terytorialnymi interesami. Czułem, że pewnego dnia kłopoty powrócą do tego miejsca, które historia tak naznaczyła bliznami.

Szczęśliwie ominęły mnie zamieszki 1931 roku, gdy antybrytyjscy demonstranci, rozpaleni okrzykami: „Precz z tyranią!” i „Cudzoziemcy wynocha!”, wtargnęli do rezydencji gubernatora, demolując i podpalając budynek. Cegła o mały włos ugodziłaby brytyjskiego gubernatora Ronalda Storrsa, który wyskoczył z łóżka i uciekał w popłochu. Rezydencja spłonęła do szczytu, czemu demonstranci przyglądali się, wiwatując i śpiewając grecki hymn. W nadchodzących dniach wojsko brytyjskie dało odczuć swoją obecność w stolicy i ogłoszono stan wyjątkowy.

Wszedłem do kawiarni Ahmeta tuż za Bramą Wenecką. Było tam tłoczno od klientów i gęsto od gryzącego dymu. Imię właściciela wydrukowano pogrubioną czcionką na zakurzonej płóciennej markizie. Przez dziury w niej sęczyły się promienie słońca rozciągnięte jak widmowe palce. Mężczyźni w białych pantalonach pociągali z fajek wodnych, inni zaś kurzyli papierosy i grali w kości. Wydawało się, że mają nieskończenie wiele wolnego czasu na próżniactwo. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć tej ich gnuśności. Kawiarnia cieszyła się popularnością u Turków i Ormian, spośród których wielu było bliskimi znajomymi. Przywykliśmy do życia razem, czuliśmy się ze sobą swobodnie mimo naszej historii, dzieliliśmy język. Niektórzy Ormianie znali zaledwie parę słów po grecku, lecz z łatwością rozmawiali po turecku, w języku naszych rodzinnych stron.

Farid siedział w rogu kawiarni. Pozdrowił mnie przy pochlebnym uśmiechem

człowieka, który niebawem napełni sobie kieszenie. Dałem mu kopertę z gotówką i jego uśmiech się rozszerzył.

– Jak się pan miewa, przyjacielu? – spytał.

– Jakie wieści przynosisz, Faridzie? – Chciałem informacji o matce, a nie towarzyskiej pogawędki.

– Niech pan pozwoli postawić sobie drinka, panie Arakelian.

Z niecierpliwości żołądek podszedł mi do gardła.

– Po prostu powiedz, co wiesz.

– Odnalazłem kobietę, która spotkała pana matkę w Katmie, kilka tygodni po tym, jak zostaliście rozdzieleni.

Serce mi waliło. Matka dotarła do Katmy, przetrwała najgorszą część wędrówki, więc można było mieć nadzieję, że wciąż żyje i mieszka w jakiejś innej części świata. Wiedziałem o Katmie – jak my wszyscy. Był to cieszący się złą sławą obóz przejściowy dla uchodźców, wąski pas pustyni otoczony jałowymi wzgórzami, brama do Aleppo, miejsce postoju albo ostatniego spoczynku. Słyszałem relacje z pierwszej ręki o warunkach w Katmie, smrodzie śmieci i gnijących ciał, morzu wychudłych ludzi żebrzących o jedzenie, muchach ciężkich jak chmury burzowe, płytkich grobach pełnych sinych zwłok. Nie zabijano tam, ale mnóstwo uchodźców umierało z powodu chorób, głodu i palącego słońca. A mimo to ludzki duch wznosił się ponad tę nędzę. W Katmie odprawiano zaimprovizowane nabożeństwa, deportowani księża próbowali chować zmarłych z godnością. Urządzono też mały targ.

– Spotkała moją matkę? Aż mi się wierzyć nie chce.

– Poznała zielonooką kobietę w ciąży, która nazywała się Arakelian i była żoną doktora z Cezarei.

– W jakich okolicznościach poznała moją matkę?

– Ta kobieta była uchodźczynią z Hadżinu. Obozowała wraz z rodziną obok pańskiej matki. Szybko zdali sobie sprawę, że Gadarina Arakelian nie jest zwykłą wieśniaczką.

– Co masz na myśli?

– Pana matka spędzała czas, doglądając chorych. Kiedy się nimi nie zajmowała, chodziła od namiotu do namiotu ze zdjęciem swoich dzieci, pytając, czy ktoś ich nie widział.

Wiedziałem, do jakiego zdjęcia odnosi się Farid, ale nie byłem przekonany, że mówi prawdę. Detektywi w rodzaju Farida naciągnęli wielu Ormian, budząc nadzieję tylko po to, by ją zniweczyć.

– Masz mi jeszcze coś do opowiedzenia?

– Tak, ale obawiam się, że to niedobra wiadomość.

– O co chodzi?

– Pańska siostra była bardzo chora i jest mało prawdopodobne, by przeżyła.

Upadłem na duchu. Jego opowieść kulała.

– Widziałem, jak moja siostra umiera, Faridzie. Co ty, u diabła, wygadujesz?

– Kobieta powiedziała, że żona doktora podróżowała z córką o imieniu Alitz.

Coś ścisnęło mnie za gardło. Farid mówił prawdę. Nigdy nie pomyślałem, żeby opowiedzieć mu o Alitz Tawlian, gdy prosił o informacje o mojej matce. Była tą dziewczynką, która szła z nami, gdy porwano jej matkę.

– Coś jeszcze, Faridzie? Cokolwiek?

– Tak, tamta kobieta słyszała, że pana matka zdołała wydostać się z Katmy dzięki łapówce. Wsiadła z Alitz do pociągu jadącego do Aleppo. Próbowałem dowiedzieć się czegoś przez przyjaciół w tym mieście, ale nic więcej się nie udało.

Aleppo. Lejek, przez który napływały tysiące ormiańskich wygnańców w drodze do obozów przesiedleńczych, jak nazywali je Osmanowie, na jałowych pustyniach Syrii i Mezopotamii.

– Czy ktoś z nią podróżował?

– Nie byłem w stanie odnaleźć żadnej z osób, które pan wymienił.

– Co teraz, Faridzie? Co teraz zrobimy?

– Obawiam się, że nie mogę zrobić dla pana nic więcej.

Zostawiłem Farida. Moje serce przeszywały odłamki nadziei. Widziano moją matkę, wsiadła do pociągu z Alitz, przetrwała głód, choroby i wycieńczenie. Żyła. Znajdę ją i dziecko, które nosiła, i znów będziemy rodziną.

Idąc na południe Victoria Street, znów byłem chłopcem, który przemierza ulice Cezarei. Ta część miasta, zamieszкана głównie przez Turków i Ormian, przypominała mi ojczyznę. Domy z cegły mułowej sąsiadowały tu z misternymi gotyckimi konstrukcjami. Kontury minaretów i dzwonnicy były nieostre od rozedrganego powietrza. Wybrzmiał okrzyk muezina wzywającego wiernych do modlitwy, a pięć palców góry Pentadaktilos wypełniało horyzont tak samo jak góra wznosząca się nad domem mojego dzieciństwa.

Kiedy zbliżałem się do sektora VIP-ów przy placu apelowym, miałem przeczucie, że coś się stanie, coś, co odmieni nasze życie. Przeczucie to zagnieździło mi się w brzuchu, gdy zaczęli się gromadzić brytyjscy żołnierze i tłum wokół mnie zaczął gęstnieć. Patrzyłem, jak przybywają i zajmują swoje miejsca najbardziej wpływowi obywatele wyspy: najważniejsi urzędnicy służby cywilnej i Brytyjczycy w dwurzędowych garniturach i filcowych kapeluszach, a także ich żony w rozkloszowanych spódnicach lub barwnych sukniach. Byli tam także greccy, tureccy i ormiańscy goście – przyjaciele brytyjskiego gubernatora, przewodniczący sądu najwyższego z żoną, zastępca gubernatora i sekretarz administracyjny wyspy. Pstrykałem im wszystkim zdjęcia, a oni cieszyli się tą chwilą w blasku jupiterów, pozując do fotografii.

Gapie zaczęli się ustawiać na blankach weneckich fortyfikacji, coraz głośniejsze rozbrzmiewały ich podekscytowane głosy. Prawdziwa menażeria. Fachowcy

w garniturach i z wybrylantynowanymi włosami stali obok chłopów w kapeluszach, pantalonach i wyszywanych kamizelkach. Świadome mody mieszkanki miasta w letnich sukienkach z drukowanych tkanin mieszały się z bezkształtnymi kobietami opatulonymi w chusty.

Wpadłem na Partogha, spędzał ten dzień poza domem. Podczas gdy on przyglądał się wszystkiemu znużonym wzrokiem, ja dalej robiłem zdjęcia. Grała orkiestra wojskowa i gubernator wyspy ruszył konno po placu apelowym, przepasany jedwabną szarfą, z wojskowymi odznaczeniami, z szablą i w kapeluszu z piórami.

– Brytyjczycy z pewnością mają dryg do efektownych widowisk.

– Jakby ktoś pytał, to gubernator wygląda jak nadęty paw.

Przed tłumem przemaszerował generał brygady, a za nim, salutując VIP-om, oddziały Królewskiej Marynarki Wojennej, szwadron kawalerii, pułk spadochronowy i zawodowi żołnierze w pułkowych barwach. Nad głową ryknęły samoloty Królewskich Sił Powietrznych, wzmagając moje złe przeczucia.

– No, to jest prawdziwy pokaz siły. Ostrzeżenie dla tych, którzy mieliby ochotę się zbuntować.

– Nikt nie przyszedł tu przysparzać kłopotów, Gabrielu. Widok pawia na koniu cieszy wszystkich.

– Nie widzisz nic poza pompą, Partoghu? Nie wyczuwasz niebezpieczeństwa w powietrzu? Nie dostrzegasz uzbrojonych straży, które otaczają VIP-ów, obwąchując tłum, gotowe, by stłumić najdrobniejszą oznakę niezadowolenia? Nie minęło wiele czasu od dnia, gdy Grecy spalili rezydencję gubernatora.

Po powstaniu brytyjski rząd zdusił opozycję, delegalizując partie polityczne, zakazując demonstracji i publicznych zgromadzeń, ograniczając władzę duchowieństwa. Zacząłem rozumieć greckie pragnienie autonomii, ale szanowałem Brytyjczyków za wybudowanie szkół i szpitali, stworzenie sprawnie działającej służby cywilnej i zatrudnianie Ormian mówiących po angielsku. Faworyzowano nas, ponieważ nie kierowały nami żadne interesy i nie stanowiliśmy zagrożenia dla władz.

– Dość to wystawne, nie sądzisz? Wszyscy musimy zadowolić się tortem urodzinowym, i to jeśli mamy szczęście – powiedział Partogh.

– Mamy za co dziękować Brytyjczykom.

– Niech żyje król, żebyśmy mogli żyć w niewoli.

– Brytyjczycy zbudowali drogi i zasadzili drzewa na jałowych wzgórzach.

– I wyplenili nieznośną szarańczę. Bla, bla, bla. Znam wszystkie argumenty za Brytyjczykami, Gabrielu, ale nie są tak demokratyczni, jak lubią utrzymywać. Nadal więżą przeciwników politycznych bez procesów i skazują młodych mężczyzn na śmierć przez powieszenie. Jak długo Grecy będą to według ciebie znosić? Akty przemocy, teraz sporadyczne, muszą się nasilić. Wyspa to beczka



prochu, gotowa wybuchnąć.

– Brytyjczycy to potęga militarna. Nikt nie napadnie na wyspę, gdy tu są. Poza tym czy nie wycierpieliśmy już wystarczająco dużo, Partoghu? Czy źle jest pragnąć stabilizacji?

– Za cenę wolności?

Krzyk kobiety sprawił, że włosy stanęły mi dęba. Obserwowałem, jak policja rusza w stronę miejsca na skraju tłumu, szybko otacza kordonem scenę chaosu, a ludzie biegną i krzyczą. Czy to właśnie to, co przeczuwałem? Wybuch przemocy?

– Co to za rechwach, Gabrielu?

– Nie wiem. Chodźmy zobaczyć.

Przeciskałem się przez tłum z myślami skierowanymi częściowo ku rodzinie, zmierzając ślepo przed siebie, choć logika nakłaniała mnie do odwrotu. „Gabrielu, zmyj się, a nie bij się”. Nogi prowadziły mnie jednak w stronę zgiełku, podczas gdy histeryczne krzyki przeniosły mnie na główny plac Cezarei do tego poranka, gdy po raz ostatni widziałem ojca, a potem do dnia, gdy straciłem wujka Narega.

Dotarłszy do serca zamieszania, zobaczyłem leżącego chłopca w krótkich spodenkach, głowę miał przyciśniętą do ziemi kolanem żołnierza, celowały w nią karabiny. Szybko ogarnąłem wzrokiem tłum. Stary rower na boku, otwarty tornister, kilka domowej roboty butelek z benzyną porzucanych na ziemi. Tłum, gubernator i przewodniczący sądu najwyższego uniknęli nieszczęścia. Bezczelnemu chłopakowi groziły więzienie, tortury, być może egzekucja.

Instynktownie zrobiłem zdjęcie i odszedłem wraz z Partoghiem. Na placu apelowym maszerowały w szeregach nieświadome zamieszania plutony. Gdy czterdzieści jeden salw armatnich obwieściło zbliżający się koniec defilady, pstryknąłem ostatnie zdjęcie gubernatorowi i przez szerokokątny obiektyw dostrzegłem w tłumie znajomą twarz, twarz młodzieńca, która sprawiła, że serce zabiło mi mocniej, ładną twarz z poważnymi oczami, okoloną rudoblond włosami.

– Gabrielu, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – zauważył Partogh.

Bo zobaczyłem.

– Muszę iść, Partoghu. Muszę iść.

Popędziłem przez tłum, obawiając się, że chłopak może zniknąć, rozwiać się jak dym. Gdy do niego dotarłem, byłem zlany potem. Zmysły mnie nie zwiodły. Wyglądał zupełnie jak Minas, mój przyjaciel, który skoczył z wieży zegarowej, przystojny, poważny chłopak. Miał kpiące ciemne oczy z gęstymi rzęsami, jak mój stary druh.

– Gabrielu, to ty?

Odwróciłem się do mężczyzny stojącego obok chłopca i zdałem sobie sprawę, że to Jeprem, młodszy brat Minas. Uściskaliśmy się, rycząc jak stare płaczki, a chłopiec przyglądał nam się uważnym, skupionym spojrzeniem.

– Baba, co się dzieje?

Odsunęliśmy się od siebie, mierząc się nawzajem wzrokiem. Rozstaliśmy się jako dzieci, a teraz obaj byliśmy po trzydziestce, burzliwa przeszłość wyostrzyła rysy naszych twarzy.

– To twój syn? – spytałem.

– Tak, to Aharon.

– Bardzo się przyjaźniłem z twoim wujkiem Minasem – powiedziałem.

– Ojciec mówi, że wyglądam zupełnie jak on.

– Aharon ma głowę i urodę po moim bracie – odrzekł Jeprem. – To piątkowicz. Chce być architektem.

Te słowa napełniły mnie radością i dumą. Minas nie żył, ale jego duch został wskrzeszony w bratanku.

– A co wy dwaj robicie na Cyprze? Nie mówcie, że tu teraz mieszkacie.

– Przyjechaliśmy na ślub kuzyna. Jutro wracamy do Libanu.

– W takim razie musicie dać się zaprosić na coś do jedzenia. Niedaleko stąd jest cudowna tawerna.

Przecisnęliśmy się przez tłum, ja pod rękę z Jeprem i Aharon obok nas. W tawernie zamówiłem raki i meze. Piliśmy nawzajem swoje zdrowie i za to, co utraciliśmy. Rozmawialiśmy o przeszłości, o naszym pobycie w sierocińcu i bliskiej przyjaźni, która nas łączyła.

– Minas był takim bystrym chłopakiem – powiedział Jeprem. – W sierocińcu nie ufał nikomu, nikomu z wyjątkiem ciebie. Wybrał cię na przyjaciela, Gabrielu, pokazał ci, gdzie są ukryte pieniądze. Dzięki jego oszczędności mogłem sobie kupić pierwsze podręczniki.

– Spodobałoby mu się to.

– A potem Bóg zesłał mi Aharona na jego podobieństwo.

Aharon słuchał w nabożnym skupieniu, zadając skłaniające do refleksji pytania, które ujawniały jego dojrzałość. Był cudownym dzieckiem i z miejsca poczułem do niego sympatię.

Gdy Aharon i Jeprem wyjechali, utrzymywaliśmy kontakt listowny. Kilka lat później Aharon przyjechał do nas na wakacje i okazał się wspaniałym gościem. Graliśmy w tryktraka i dyskutowaliśmy o polityce, a ja podsyciałem jego zainteresowanie architekturą, mitologią i historią starożytną. Odwiedzał nas i później, nawet gdy uzyskał stypendium na studia w Anglii. Przyjeżdżał każdego lata i wszyscy wyczekiwaliśmy jego wizyt, lecz szybko stało się oczywiste, że magnesem, który go przyciąga, jest Tamar, moja piękna córka. Dzień ich ślubu był najszcześniejszym dniem mojego życia, uwiecznionym na niezliczonych zdjęciach – od nastrojowych ujęć z Tamar i Aharonem przy ołtarzu, po te z nocy, w trakcie której wszyscy piliśmy raki, tańczyliśmy na stołach i wirowaliśmy jak derwisze.

\* \* \*

Klucz zgrzyta w drzwiach i wchodzi Anahit. Wita się z Jennifer, całuje babcię, mnie jednak nie dostrzega.

– Kochanie, chciałabyś herbaty? – pyta Marta. – Jennifer przyszła porozmawiać z twoim dziadkiem.

– Nie, nie zostanę, babciu. Przyszłam tylko po kilka ciuchów.

– Anahit, bardzo bym chciała z tobą porozmawiać, jak będziesz miała czas – mówi Jennifer. – Perspektywa twojego pokolenia jest niezwykle istotna dla moich badań. Muszę zrozumieć, co dla ciebie znaczy być Ormianką, żeby dowiedzieć się, jak to się zmienia z pokolenia na pokolenie.

– Nic się nie zmienia. Szczególnie w sprawie małżeństw. Nadal oczekuje się od kobiety, że ustatkuje się z jakimś miłym ormiańskim chłopakiem i zajmie się domem.

– Co jest złego w poślubieniu Ormianina?

– A co jest złego w poślubieniu nie-Ormianina?

– To kulturowe ludobójstwo. Zaprzepaszczenie wszystkiego, za co cierpieli twoi przodkowie, wszystkiego, za co ja cierpiałem.

– Po co to napuszone słownictwo, dziadku?

Anahit nawet gdy się złości, wygląda jak moja siostra, jej zielone oczy błyszczą jak podświetlone szmaragdy.

– Nie wyjdiesz za niego.

– Nawet ojciec nie może mi mówić, co mam robić. Jestem dużą dziewczynką, gdybyś nie zauważył.

– Nigdy nie dam ci błogosławieństwa.

– Czy musimy publicznie prać swoje brudy? – pyta Marta.

– To ty zawsze przytaczasz medyczne fakty, papiku. Cóż, i ja mam dla ciebie jeden z nich. Matka natura jest za krzyżowaniem się, by wzmocnić ludzki genom. Pozwól mi więc iść i się skrzyżować, na litość boską!

– Żebyśmy wszyscy popadli w zapomnienie?

– Nie musi tak być, panie Arakelian – stwierdza Jennifer. – Mąż nauczył mnie ormiańskiego i Anahit może zrobić to samo...

– A panią kto pytał?

– Papiku! Nie bądź nieuprzejmy. Proszę przyjąć moje przeprosiny w imieniu dziadka – mówi Anahit. – Bo nigdy nie słyszałam, żeby przyznał się do błędu. A teraz naprawdę muszę już iść, zanim powiem coś, czego będę żałować.

– Nie! – wtrąca się Marta. – Ja i twój dziadek właśnie wychodzimy, więc Jennifer może z tobą porozmawiać. Gabrielu, idź na dwór i pobaw się ze swoim wędem.



Serce wali mi w piersi, gdy siedzę na tylnym siedzeniu samochodu Partogha. Znajdujemy się tysiąc metrów nad poziomem morza, droga wiję się przez góry Troodos. Partogh gna na serpentynowych zakrętach i cały się napinam. Z fotela kierowcy obraca się do mnie z szerokim uśmiechem.

– Niedługo będziemy, przyjacielu. Nie martw się.

– Patrz na tę cholerną drogę, Partoghu. – Ukradkiem zerkam przez okno na zbocze, nad nami wznoszą się ogromne skalne załomy. – I zwolnij, dobrze?

Siedzący obok kierowcy Howsepian proponuje mi miętę.

– Dlaczego w ogóle się na to zgodziłem?

Pytanie jest retoryczne, co umyka Partoghowi.

– Bo jesteś chciwym gagatkiem jak my wszyscy i nie lubisz wydawać pieniędzy.

– Po co wydawać pieniądze, gdy można skorzystać z owoców natury – mówi Howsepian. – Troodos to istny bazar świeżego powietrza.

– Cóż, nigdy więcej nie zaryzykuję życia za koszyk grzybów.

Znów rzucam okiem przez okno. Przerażająca droga w dół. Zamykam oczy i próbuję sprawić, żeby nie przewracało mi się w żołądku.

Howsepian prowadzi mnie ścieżką, przy której rośnie mnóstwo grzybów. Zostawiliśmy Partogha, żeby szukał dzikich szparagów. Zbieramy bedłki o płaskich kapeluszach i wrzucamy je do koszyka pełnego smardzów, boczników i hełmówek.

– Wymyśliłeś coś w sprawie węża? – pyta Howsepian.

– Och, tak. Mam teraz ogrodzenie pod napięciem.

– Porażenie prądem? Czy to aby nie zbyt radykalne, Gabrielu?

– Nie sądzę.

– Ile woltów?

– Dwanaście.

– Ulżyło mi, że nie zamierzasz go zabić.

– Kogo?

– Harry’ego.

– Mówiłem o tym drugim wężu, Therko.

– Dzięki Bogu. Myślałem, że postradałeś zmysły, przyjacielu. – Howsepian schyla się, by zebrać parę parasolkowatych grzybów na cienkich nóżkach. – Co my tu mamy? Magiczne grzybki. Nakarm kilkoma swojego zięcia i obserwuj, jak robi z siebie skończonego durnia. Marta i Anahit poznają wtedy jego prawdziwe oblicze i dołączają do krucjaty.

– Jakiej krucjaty? – pyta Partogh, wychynawszy zza drzewa. Uniósł brwi.

– Przeciwno białemu ludobójstwu.

Białe w przeciwieństwie do krwawego. Howsepien ma na myśli zgubne skutki asymilacji, klątwę małżeństw mieszanych, największe zagrożenia dla naszych tradycji, języka, narodu.

– Dinozaur z ciebie, Howsepien. Stary, zapomniany stwór skazany na rychłe wymarcie. Niech młodzi robią, jak chcą. Dlaczego należy ich ograniczać, robić z nich ofiary naszej przeszłości?

– Bo my jako naród prawie przestaliśmy istnieć.

– Dlaczego my, Boże? Biada nam – mówi Partogh jęklwym głosem. – Daj spokój, Howsepien. Najlepsze, co mogą zrobić młodzi w hołdzie dla przeszłości, to jak najlepiej wykorzystać swoje życie, zdobyć porządną edukację, iść do przodu.

– I dobrze się chajtnąć – dodaję, pogardliwie wykrzywiając usta.

– Gwarantuję ci, Gabrieli, że nie byłbyś zadowolony z żadnego mężczyzny, którego przedstawiłaby ci Anahit. Nikt nie byłby godny miana idealnego pana młodego. Chyba że byłby to neurochirurg pochodzący z odpowiedniego regionu rodzinnego kraju i tak dalej, i tak dalej. Proponuję, byśmy utopili nasze smutki w raki i wypili za zdrowie i szczęście twojej wnuczki. – Sięga do kieszeni po piersiówkę i opada obok mnie na trawę. Odkręca zakrętkę i pociąga łyk. – Uwielbiam być tu w górze – mówi, przekazując mi butelkę.

– Co tu uwielbiać poza grzybami? – Biorę porządny łyk i podaję piersiówkę Howsepienowi. – Niedaleko stąd straciłem wuja.

– Odpuść przeszłość, przyjacielu. Te wszystkie nagromadzone urazy nie są dobre dla duszy.

– Przeszłość to nie woda w sedesie. Nie można jej spuścić. To szambo, które z każdym dniem bardziej wonieje. – Wyrwam z ziemi garść magicznych grzybków rosnących pod drzewem i w roztargnieniu wsadzam je do kieszeni.

W domu Marta nagradza nasze wysiłki, smażąc to, co zebraliśmy, z jajkami i czosnkiem. Siedzę na dworze z Partoghem, racząc się daniem godnym bogów. Gdy kończymy, Marta podaje paklawę domowej roboty, a Partogh ujmuje jej dłoń i całuje.

– Naprawdę przepyszne.

– To wy wykonaliście całą brudną robotę.

– Ale to ty zamieniłaś surowe składniki w magiczne danie. Jesteś czarodziejką, Marto. – Raz jeszcze całuje ją w rękę.

– Przestań flirtować z moją żoną, ty szczwany lisie. Zatrzymaj te tłuste usta dla siebie.

– Nie, dopóki nie zdradzi mi swojego tajemnego przepisu.

– Żadna to tajemnica, Partoghu. Użyłam świeżych jajek, oliwy, dużo czosnku i grzybów, które zebraliście. W kieszeni spodni Gabriela znalazłam jeszcze kilka i też je wykorzystałam.

Grzyby w mojej kieszeni! Te, które wyrwałem spod pnia. Nagle zalewa mnie

fala mdłości, uświadamiam sobie, że moja żona nieświadomie napchała nas halucynogennym narkotykiem.

– Jeszcze szklaneczkę raki, Gabrielu? – pyta Partogh. – Wypijmy za talent kulinarny twojej żony.

– Myślę, że dość już wypilem.

– O, to coś nowego – mówi Marta. – Gabriel odmawiający raki. Chory jesteś, mój drogi?

Zrobiło się ciemno. Narasta brzęczenie cykad, a uliczny hałas słabnie. Siedzę, trzymając sznurek przywiązany do gałązki podtrzymującej pudełko, w które złapię węża. Partogh śmieje się jak hiena, jego wesołość jest zaraźliwa. Słyszę, jak sam się głośno zaśmiewam i chichoczę z Partogha parodiującego okropnie starego Jakuba i przewodniczącego naszej społeczności, a nawet Howsepiana. Partogh gramoli się i wymachuje białą serwetką w powietrzu.

– Ormianie wszystkich krajów, łączcie się! Przyłączcie się do żylastych szyj w ich krucjacie przeciwko białej napaści. Musimy bronić swego narodu. Za wszelką cenę. Będziemy walczyć z nimi na plażach i w budach z grillem, w tawernach i na dyskotekach. Nigdy nie poddamy się odarom.

Głęboko się kłania, siada i zaczyna czkać.

– Bardzo dziwnie się czuję. Mocna ta raki.

Widzę poruszenie na podwórku, blisko mojego pudełka. Może to się dzieje naprawdę, a może to halucynacja.

– Co to? – pytam

– Co co?

– O, tam. Widziałem ruch koło pułapki.

– Dobry Boże, Gabrielu, myślę, że to wąż. Ciągnij za sznurek, chłopie. Ciągnij.

Udaje mi się usunąć gałązkę i schwytać wroga.

– Co teraz zrobimy, Gabrielu?

– Przewieziemy cholernika na drugi koniec miasta i niech się żywi u kogo innego.

Biorę rozwidlony kij i idę w stronę pułapki, a Partogh ostrożnie podąża za mną, ciągle czkając.

– Nienawidzę węży. Przyprawiają mnie o ciarki. – Opiera mi się na ramieniu, podczas gdy pomalutku zbliżamy się do pudełka.

– Partoghu, ty podniesiesz pudełko, a ja przyszpilę głowę węża widełkami.

– Nie zbliżę się do tego pudełka.

– No dobrze. Ja to zrobię.

Obaj kłęczymy. Ostrożnie unoszę kijem róg pudełka i zerkam do środka.

– Nic nie widzę. Jest za ciemno.

Przybliżamy się i zerkamy przez szparę, mrużąc oczy. Dwoje świdrujących

oczu odpowiada nam spojrzeniem. Nagły ruch w kierunku naszych twarzy sprawia, że przewracamy się do tyłu, szok leczy Partogha z czkawki. Nasza zdobycz to nie wąż, tylko szczur. Ucieka.

Partogh leży na wznak i chichocze.

– Nie martw się, Gabrielu. Jeśli pułapka nie zadziała, to twoje ogrodzenie pod napięciem niedługo da mu do wiwatu.

– Co to za zapyziała nora. W sam raz dla szczura.

– Dla szczura to była pułapka – żartuje Partogh.

– Tęsknię za domem. Nienawidzę tej dziury. Nie boli cię to, Partoghu? Utrata wszystkiego, na co pracowaliśmy? Wszystkiego, co zbudowaliśmy, kawałek po kawałku?

– Co dobrego by mi przyszło, gdybym dopuścił ten ból do głosu?

– Stałbyś się ludzki.

Przed dwudziestoma dwoma laty byłem majątnym człowiekiem. Zgorzkniałym, ale wciąż niezwichniętym. W zimną grudniową noc 1963 roku byliśmy z Martą w domu. Tamar przyjechała na Cypr z dwuletnią Anahit na święta, zostawiwszy męża w Anglii. Nagle domem wstrząsnął potężny huk, jakby równocześnie waliły pioruny i nastąpiło trzęsienie ziemi. Po wybuchu rozpętała się kanonada z karabinów maszynowych, rozległy się krzyki i wrzaski, a potem popękały żarówki i dom pogrążył się w ciemności. Nie było to całkowite zaskoczenie, bo od lat mieliśmy problemy z powodu starć między Turkami a Grekami. W ostatniej dekadzie eksplozje i morderstwa na ulicach były stałym elementem życia w tureckiej dzielnicy.

Kiedy wybuchaly bomby, ludzie rozbiegali się jak kaczki, do których wali się ze śrutu, a potem grupkami pojawiali się z powrotem, gdy tylko rozwiął się dym. Zamiatano potłuczone szkło, wynoszono zabitych i rannych. Pomiedzy atakami wszyscy zajmowali się swoim życiem, kupowali chleb, robili zapasy wędlin, gadali z sąsiadami, cieszyli się słońcem i wieczornym graniem cykad. Strach pojawiał się w krótkich, przerażających zrywach i szybko o nim zapominano.

Tamtego grudniowego dnia płomienie i dym wzbijały się w oddali. Wyszedłem z domu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Sąsiedzi z niepokojem wyglądali z okien, zbyt wystraszeni, by wyjść. Trzymałem się cienia. Zaskoczyło mnie, gdy usłyszałem wołanie po turecku.

– Stój! Kto idzie?

Celował we mnie karabin maszynowy stojący u wylotu drogi odchodzącej od Victoria Street. Powtórnie przeżywałem przerażenie, którego przed tyloma laty doświadczyłem na polanie. Moje ciało oblał zimny pot. Karabin obsługiwali tureccy żołnierze, jeden z nich wystąpił naprzód i rozkazał mi unieść ręce do głowy.



- Jak się nazywasz?
- Gabriel Arakelian. Ormianin.
- Gdzie mieszkasz?
- Na Victoria Street.
- Dlaczego wyszedłeś?
- Usłyszałem strzelaninę.
- I pomyślałeś, że dasz się zastrzelić. Idź do domu i tam siedź.

Pospieszyłem do domu na trzęsących się nogach, zabarykadowałem drzwi ciężkimi meblami, zatrzasnąłem okna i drewniane okiennice i starałem się nie dopuszczać odgłosów walki przenikających przez ściany. Turecka milicja wkroczyła do naszej dzielnicy. Nie była to już walka między cywilami a partyzantami. Nastąpił punkt zwrotny. Noc spędziliśmy w egipskich ciemnościach, ściśnięci na podłodze w salonie. Trzymałem Martę za rękę, a nasza córka i wnuczka spały między nami.

– Nie pozwolę im zabrać nam domu – szepnąłem. – Nie stracę znowu wszystkiego.

- Nie dojdzie do tego, Gabrielu. W ciągu kilku dni wszystko przycichnie.
- Obyś miała rację, Marto. Z całego serca chciałbym, żebyś ją miała.

Marta zasnęła, ale ja czuwałem przez całą noc tak samo jak na pustyni, gdy obok mnie leżała Mariam. Obiecałem sobie, że ochronię moją siostrę i ostatecznie zawiodłem. Drugi raz nie zawiodę. Z nożem do mięsa w ręku patrzyłem, jak moja rodzina śpi. Byłem ich lwem, ich ogromnym grizzly. Każdy huk wybuchu sprawiał, że się zrywałem, trzymał mnie w pogotowiu; rękojeść ścisnąłem tak kurczowo, że paznokcie przebiły mi kłęb kciuka. Tamtej nocy w moim życiu pewna była tylko jedna rzecz. Zabiłbym każdego mężczyznę, który spróbowałby skrzywdzić moje dziewczyny.

Gdy ciemności się rozproszyły, wróciłem myślami do najnowszej historii wyspy. Brytyjczycy już nie rządzą, trzy lata wcześniej Cypr uzyskał niepodległość i własną konstytucję. Od tamtej pory panował kruchy pokój, który teraz dobiegał końca. Od jakiegoś czasu rosły między Turkami a Grekami napięcia dotyczące realnej władzy politycznej i proponowanych poprawek do konstytucji. Grecy Cypryjczycy chcieli położyć kres działaniu separatystycznych rad miejskich tureckich Cypryjczyków, na które Brytyjczycy zgodzili się w 1958 roku. Turcy dokonaliby inwazji, gdyby nie Amerykanie. Enklawy przemocy, zabójstwa z zemsty, podpalenia i porwania przerodziły się w regularny bój między tureckimi milicjami a paramilitarnymi organizacjami greckich Cypryjczyków, między partyzantami po obu stronach etnicznego podziału.

Do rana walka przygasła i śpiew ptaków oznajmił świt. Przed domem zatrzymał się głośny wojskowy pojazd i rozległ się ciężki, głuchy łomot do drzwi. Brytyjski żołnierz wołał, byśmy natychmiast opuścili lokal. Nie mieliśmy innego

wyboru, niż udać się za barczystym sierżantem do zaparkowanej nieopodal ciężarówki. Kilkoro sąsiadów siedziało już z tyłu; przywitały nas ich strapione twarze. Na ulicy pełno było żołnierzy, którzy walili do drzwi, wyprowadzając ludzi z domów. Pomogłem żonie i córce wsiąść do ciężarówki, a sam wycofałem się, odmawiając wyjazdu.

– Co ty, do diabła, robisz?! – zawołała Tamar, tuląc Anahit w ramionach.

– Zostaję tam, gdzie mój dom.

– Chcesz dać się zabić?

– Zostaję.

– Oszalałeś?

– Nie, nigdy nie myślałem tak trzeźwo.

– W takim razie ja też zostaję – powiedziała Marta.

Tamar złapała ją za rękę.

– Nigdzie się nie ruszysz.

Pozostałem głuchy na ich błagania i ślepy na łzy Marty. Moja rodzina była bezpieczna i przetrwałaby beze mnie, cokolwiek by się działo. Nie dam się wygonić z domu, nie będę uciekał jak tchórz. Pamiętałem dziewięcioletniego chłopca, którego zmuszono do ucieczki, i nie zgadzałem się na to, by przeżywać raz jeszcze tamten epizod z mojego życia. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu. Nie mogłem patrzeć na to, jak moja rodzina odjeżdża, jak kiedyś patrzyłem na matkę i Alitz znikające w oddali. Znalazłszy się z powrotem w salonie, poprzestawiałem ciężkie meble, włączyłem radio i położyłem się na sofie. Słuchałem wiadomości na temat aktualnej sytuacji, zapadałem w drzemkę i budziłem się na odgłosy strzelaniny. Tak się to toczyło, dzień za dniem, przez dwa tygodnie. Zjadłem całe łatwo psujące się jedzenie: chleb, ser, mleko, wszystkie owoce i warzywa, aż doszedłem do roślin strączkowych: ciecierzycy, soczewicy i fasoli. Jadłem, nie zważając na smak. Sięgałem po kawę, by zaspokoić głód. W spiżarni miałem wystarczająco dużo jedzenia, żeby przetrwać jeszcze dwa tygodnie, i doceniłem skłonność Marty do robienia zapasów.

Przeglądałem albumy rodzinne, śledziłem wszystkie etapy życia mojej córki, studiowałem twarz Marty od spokojnej ślicznej dziewczyny po starszą kobietę o miłej twarzy, która z każdym rokiem jest coraz piękniejsza – żona jak marzenie, matka doskonała. Byłem szczęściarzem i wiedziałem, że Tamar zajmie się matką, gdyby cokolwiek mi się stało. Płakałem rzewnymi łzami, które spływały mi po brodzie i kapały na celofanowe strony.

Walki się wzmożyły i rozprzestrzeniły po wyspie. Nad Nikozją latały tureckie odrzutowce i wojsko utworzyło stałe posterunki, przejąwszy kontrolę nad strategicznymi szlakami do stolicy. Brytyjskie oddziały pilnowały blokad z drutu kolczastego, rozstawionych wokół tureckiej strefy miasta. Z rosnącym lękiem słuchałem doniesień i dom, który pokochałem, wydawał mi się coraz bardziej

więzieniem, pustą skorupą stworzenia, któremu wydarto serce. Bez Marty czułem się beznadziejnie samotny, a gdy ta samotność stała się nie do zniesienia, zdjąłem ze ścian zdjęcia. Moja dorastająca dziewczynka, jej ślub, ukochana wnuczka, jedyna fotografia ojca, która przetrwała. Spakowałem do walizki wszystkie zdjęcia, co do jednego, wraz z negatywami. Przynajmniej tym razem wspomnienia zostaną ocalone. Poczekałem na przerwę w walkach, odsunąłem meble od drzwi, wyszedłem na światło dzienne i ruszyłem w stronę pobliskiego posterunku w hotelu Ledra Palace, wymachując białą chusteczką, z walizką w drugiej dłoni.

Żołnierze skierowali mnie do ormiańskiej szkoły średniej, która stała się obozem dla uchodźców i dała schronienie mojej rodzinie. Mój zięć przyjechał z Anglii, żeby pomóc. Wraz z Tamar urządzili zaimprovizowaną szkołę dla dzieci w jednym pomieszczeniu, Marta zaś krzątała się w kuchni, przygotowując razem z innymi kobietami pszenną harissę w wielkiej kadzi. Rozpłakała się z ulgi, gdy mnie zobaczyła, od razu jednak otarła łzy. Zbliżała się pora obiadu i było wiele gęb do wyżywienia.

W dniach, które nadeszły, mnożyły się teorie i przewidywania – ostrożne, skrajne i pełne nadziei. Większość wierzyła, że powrót do domu to kwestia dni, tygodni, może miesięcy, ale z pewnością nie lat. To nie był 1915 rok. Nie wydalono nas na stałe z ojczyzny, ale z niewielkiego przedmieścia leżącego tuż za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Ewakuowani naprawdę czekali na ogłoszenie zawieszenia broni i wycofanie się żołnierzy do baz wojskowych.

Tydzień po opuszczeniu domu nadarzyła się możliwość powrotu pod eskortą ONZ po trochę niezbędnych rzeczy. Wieziono mnie ulicami, które stały się zaniedbaną bazą wypadową tureckiej milicji. Zastygłem w bezruchu na progu domu, który nie był już mój, brudny i splądrowany. Cenne szklane figurki zwierząt Marty, zbierane przez ponad dwadzieścia lat, leżały porozrzucane na ziemi: bezgłowe łabędzie, koty roztrzaskane na kawałki, odłamki delfinów. Zabłocone buciory stratowały jej ukochane dywany, a drzwiczki kredensu zwisały na jednym zawiasie. Wielu bezprawnie tu wtargnęło: żołnierze, partyzanci, cywile. Wyobrażałem sobie, jak grzebią w moich rzeczach, napychają sobie kieszenie, bezmyślnie demolują dom. Z łóżek zdjęto pościel. Ktoś zaniósł siekierę do sypialni i wszędzie pozrywano firanki. Było mi niedobrze, czułem się wściekły i oszukany, znowu jak małe dziecko w ograbionym domu.

Walki w Nikozji dobiegły końca, gdy na prośbę prezydenta interweniowały brytyjskie siły, ale nadzieja na powrót do tureckiej dzielnicy szybko zgasła.

Miasto podzielono na strefy grecką i turecką, a cała ormiańska diaspora została wypędzona z enklawy i po raz drugi w życiu stałem się uchodźcą. Utraciliśmy nasz kościół, centrum wspólnoty, szkołę podstawową i towarzystwo bliskich tureckich znajomych, takich jak Begum, która była nieodłączną częścią naszej codzienności.

– Nad czym tak rozmyślasz? – pyta Partogh, rozwalony na ziemi jak rozgwiezda.

– Jak człowiek może stracić dwa domy w jednym życiu bez własnej winy? Kiedy my wreszcie zaznamy spokoju, Partoghu?

– Nie w tym życiu, przyjacielu.

– Myślałem, że dotarliśmy do punktu zwrotnego w dniu, w którym wciągnięto na maszt flagę republiki.

– Też tak myślałem.

– Wiwatowałem nawet na cześć przybywających wojsk. Moja turecka sąsiadka Begum zrobiła transparent z napisem: „Witamy Was na Cyprze, żołnierze przynoszący wolność i pokój”.

Pierwszy oficjalny dzień niepodległości: szesnasty sierpnia 1960 roku. Na Cypr przybyli greccy i tureccy żołnierze, aby dołączyć do trójstronnych sił i służyć jako jedna jednostka, chroniąca suwerenność wyspy. Dziesięć tysięcy tureckich Cypryjczyków stało wzdłuż murów miejskich, by powitać pierwszy od osiemdziesięciu dwóch lat kontyngent tureckich żołnierzy, który miał wylądować na wyspie. Grecka armia została powitana równie burzliwie, żołnierze maszerowali po obsypanych mirtem ulicach do dźwięków greckiego hymnu narodowego.

– Co zrobiliśmy, żeby zasłużyć na tak okropny los, skoro tylu innych ludzi cieszy się wygodnymi domami, wystarczającą ilością ziemi, żeby mogły pobudować się ich dzieci, i krewnymi, których widoku nie mogą znieść? Co ja bym oddał za spłachetek ziemi, za brata albo siostrę, za wścibską matkę...

– Nasze życie jest w rękach bogów, Gabrielu.

– Jesteśmy pionkami na ich usługach.

– Taki już los człowieka. Pomyśl o naszych rodzinach i udrękach, które musiały ścierpieć.

– Nie ma dnia, żebym nie myślał o nich i o tym, jak zniszczono ich życie.

– Oni żyją nadal, Gabrielu, w parze beznadziejnych włóczęgów pijących raki, w uśmiechu mojego syna i oczach twojej córki. Ich dziedzictwo jest nieśmiertelne jak gwiazdy. Jest też widok, którego nie ujrzysz codziennie. Spójrz w górę, Gabrielu.

– Nie bardzo mogę spojrzeć w dół. Leżę na plecach, chłopie.

– To Ursa Maior, konstelacja znana jako Wielki Wóz, grupa siedmiu gwiazd. Jej skrzące się oczy patrzyły na starożytnych i nadal będą błyszczeć, gdy dawno będzie po nas i obrócimy się w proch.

– Siedem gwiazd to dusze nieszczęśliwych kochanków, które ponownie połączyły się w niebie.

– Nigdy nie sądziłem, że w głębi duszy jesteś taki romantyczny.

– Moja siostra kochała tę historię, zresztą to jedna z moich ulubionych. Przynosi mi nadzieję, że pewnego dnia spotkamy się znów w niebie.

- Myślisz, że pójdziesz do nieba?!
- Liczę na to, że moja siostra będzie tam czekała z torebką chałwy.
- I odrobiną raki, jeśli będziesz miał szczęście.

Odległy wybuch sprawia, że chwytam Partogha za rękę.

- Nie wiedziałem, że ci na tym zależy, stary druhu.
- Co to było, Partoghu?
- To tylko rura wydechowa. Nie ma się czym przejmować.

Zamykam oczy przed skłębionym niebem i poddaję się pierzastej chmurze, która unosi mnie coraz wyżej i wyżej, ku gwiazdom, ku siostrze.

Gdy idę wyboistą drogą w stronę domu, spowija mnie mgła spalin. Zdezelowana ciężarówka toczy się w kłębach gęstego dymu, który gryzie w płucach i sprawia, że charczę, jakbym i bez tego nie był w rozsypce. Wcześniej wybrałem się do klubu ormiańskiego w nadziei, że zagłuszę niepokój partyjką tryktraka, parującą czarną kawą i dyskusją z Partoghiem, ale nie było tam nikogo poza starym Józefem, dozorcą, który pochrapywał w kącie. Siedziałem przez chwilę, zastanawiając się, gdzie podziali się moi tak zwani przyjaciele. Czy klub przeniósł się do nowego lokum? Czy bojkotowano mnie, bo kogoś obraziłem? Był jakiś pogrzeb? Niezależnie od powodu miałem prawo być rozdrażniony. Zły na siebie, że pozwoliłem, by umknął mi jakiś istotny szczegół. Zły na tego tępaka Partogha, że mnie nie poinformował.

Mój dzień wypadł z kolein i gdy wkładam klucz do zamka i przekręcam go, nie mogę się doczekać pełnej po brzegi, kojącej szklaneczki whisky. Nie tej rozcieńczonej ciecicy Marty, ale palącego gardło i roztopiającego gniew johnny'ego walkera gold, schowanego w mojej szafie. Otwieram drzwi i wybuch straszna wrzawa.

– Niespodzianka!

Klub ormiański wypluł swoje wnętrze prosto do mojego salonu. Szklanki z bursztynowym nektarem w górze.

– O, wy dranie! Prawie dostałem przez was zawału.

– Nie martw się – mówi Partogh, szczerząc zęby jak obłąkaniec. – Doktor Mouradian jest pod ręką, w razie gdyby serduszko ci wysiadło.

– Co tu, na Boga, wszyscy robicie, popijając moją whisky?

– To twoje urodziny, Gabrielu – mówi Marta. – Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę.

Nienawidzę niespodzianek, szczególnie tych, za które sam płacę, ale nic nie mówię i pozwalam moim znajomym na tę rzadką poufałość, by mnie obejmowali, szczękając swoimi starymi kośćmi o moje. Stół jest zastawiony po królewsku lahmadżunem, koftą ghemali, suberekami, tabulehem, hummusem i czy koftą; dania pachną kuminem, czosnkiem i sokiem z cytryny. Zwijam lahmadżun i odgryzam kawałek, na próżno próbując stłumić obawy. Moja szafka została opróżniona i tuzin mężczyzn z kieszeniami bardziej wypchanymi od moich wyżłopało moją whisky.

Wchodzi Anahit. Spojrzenie ma łagodne i wyrozumiałe i lahmadżun staje mi w gardle. Przypomina mi się mój ślub – świat się rozmył, gdy Marta szła na paluszkach nawą. Wizję tę brutalnie zakłóca Harry, który podąża za Anahit. Po co go przyprowadziła akurat dzisiaj, gdy wiedziała, że będą tu wszyscy moi znajomi? Przewodniczący klubu to wścibski łajdak, na pewno zapyta, czym się Harry

zajmuje, a potem rozejdzie się, że wykształcona wnuczka Gabriela Arakeliana, ucząca w English School, wychodzi za greckiego cieślę. Anahit właściwie interpretuje moje zmarszczone brwi i kręci głową, biorąc Harry'ego za rękę i prowadząc go do salonu, i wtedy właśnie w drzwiach pojawia się stary Józef, trąc zaspane oczy.

– Dlaczego, u diabła, nikt mnie nie obudził?

Z małego magnetofonu stojącego niepewnie na parapecie lecą *Wody jeziora Bingöl*. Upiłem się radośnie i otaczają mnie przyjaciele, zapadająca w pamięć melodia Komitasa przenosi mnie z powrotem do krajobrazu mojego dzieciństwa, do lata spędzanego w wiosce prababki, gdzie Mariam i ja włóczyliśmy się swobodnie, wspinaliśmy po drzewach i pluskaliśmy w potoku. Poruszam się w strumieniu powietrza nad pejzażem bogatym w sady pełne jabłoni, grusz i morel, nad krytymi czerwoną dachówką domami i pofałdowaną wiejską okolicą.

– Gdzie się podziewałeś, przyjacielu? – pyta Howsepian.

– Byłem z powrotem w rodzinnych stronach.

– A gdzie to dokładnie? Spędziłem tutaj tyle lat, że czasem zapominam.

– Kto może zapomnieć swój *dzenentavayr*, miejsce urodzenia, gdzie po raz pierwszy nabrał powietrza w płuca i miał nadzieję zrobić to po raz ostatni?

– Miejsce, do którego nie ma powrotu. Często wracam tam w snach na jawie

– mówi Howsepian, a mężczyźni siedzący wokół niego przytakują powolnym skinieniem głów.

Gdzie bym się wybrał, gdybym miał okazję wrócić? Odwiedziłbym grób ojca, przespacerowałbym się ulicami, na których bawiłem się z Mariam, poszedłbym do kościoła Świętego Grzegorza, gdzie u boku brata śpiewałem w chórze, stanąłbym przed moim domem, jeśli wciąż istnieje, pozwalając otulić się wspomnieniom.

Partogh wychodzi na podwórkę z Harrym i Anahit.

– Pomyślałem, że byłoby miło, gdyby Harry do nas dołączył – mówi. – Moglibyśmy go wszyscy trochę lepiej poznać.

Harry i Anahit siedzą na skraju grupy i gadają z doktorem Mouradianem. Stary Jakub zerka na Harry'ego i klepie mnie w nogę.

– Hej, Gabrielu, kto to? – pyta.

– Przyjaciel mojej córki.

– Narzeczony – mówi Partogh, siadając obok mnie.

Wścibski osioł nieproszony udziela więcej informacji, niż to absolutnie konieczne.

– Grek?

– Wspaniały, męski młody człowiek, który da Gabrielowi upragnionego wnuka. – Partogh szturcha mnie kościstym łokciem. – Czyż nie o tym ciągle przynudzałeś, o kolejnym spadkobiercy w swoim orszaku? O chłopcu, który

trzymałby cię za rękę i słuchał twoich historii i który dostałby imię po twoim ojcu.

– Nie za wszelką cenę, Partoghu.

Anahit przysłuchuje się naszej rozmowie i odwraca się do mnie z gniewnym spojrzeniem Meduzy.

– To wspaniały chłopak, Gabrielu – mówi Partogh. – Gadałem z nim właśnie w kuchni o wyższości orzecha nad sosną. Jest bardzo elokwentnym i żarliwym młodzieńcem, który z pewnością zna się na swoim fachu.

– Tak jak dzieciół.

Chwytam garść orzechów i rozgryzam je hałaśliwie. Popijam haustem whisky, pragnąc, by Partogh się zamknął.

– Czym zajmuje się chłopak? – pyta stary Jakub i pilnie strzeżona tajemnica zaraz przestanie nią być.

Muszę szybko coś wymyślić, odwrócić uwagę od pytania. Łapię się za gardło i kaszlę, przekonująco odgrywam rolę człowieka, który dusi się niełuskany włoskim orzechem. Doktor Mouradian zrywa się natychmiast, podnosi mnie z krzesła i wykonuje serię niepotrzebnych chwytów Heimlicha. Niebezpieczeństwo zażegnane, oddycham rytmicznie, doktor zaś bada mi tętno. Kątem oka widzę nieco sceptyczną minę Anahit, ani trochę niezmartwionej moim stanem zdrowia, mimo że oczy Harry'ego udają niepokój.

W następnej chwili zdaję sobie sprawę, że stary Jakub stoi i wskazuje palcem metalowe ogrodzenie.

– Gabrielu, w twoim ogrodzie jest wąż. Okropny, wielki wąż. Chłopie, na Boga, on może być jadowity.

Harry szybko wstaje i energicznie idzie w stronę ogrodzenia z rozpostartymi rękoma. Pozwalam mu dotknąć siatki, patrzę, jak trzęsie nim prąd i jak potem pada na plecy. Jego głowa uderza o beton. Anahit krzyczy i pędzi do niego z doktorem Mouradianem.

– Nie dotykajcie ogrodzenia, jest pod napięciem – ostrzegam.

– Trochę za późno! – wykrzykuje Anahit.

– Ile woltów, Gabrielu? Ile woltów? – pyta doktor.

– Tylko dwanaście.

Harry porusza się i rozgląda wokół zdezorientowany.

– Harry! Nic ci nie jest, kochany? – gorączkuje się Anahit.

– W porządku, Anahit. Nic mi nie jest, kochanie. Nie masz się czym martwić. – Wyciąga rękę, by odruchowo obrócić w palcach kosmyk jej włosów.

– Mój Boże, myślałam, że nie żyjesz! – mówi Anahit, zalewając się łzami.

Jej miłość do niego jest oczywista dla wszystkich, nawet dla tego starego dinozaura, którego nagle ogarnia poczucie winy. Sięgam po whisky i zmywam się do kuchni.

Harry i Anahit niebawem wychodzą, ale biesiada trwa do nocy. Kiedy



znikają ostatni goście, idę chwiejnie do sypialni, bo dosłownie padam z nóg. Nagle w drzwiach szczęka klucza, do środka wpada Anahit i przypiera mnie do ściany.

– Co, do diabła, próbowałaś zrobić, papiku?!

– O czym ty mówisz?

Marta przybiega z kuchni.

– Co się dzieje?

– Twój mąż chciał śmiertelnie porazić prądem mojego narzeczonego.

– Dwanaście woltów myszy by nie zabiło.

– To był wypadek, prawda? – mówi Marta.

– To nie był wypadek – odpowiada Anahit.

– Gabrielu, mieliśmy gości. Powinieneś być ostrożniejszy.

– Gości, o których nie miałem pojęcia, na przyjęciu, o które nie prosiłem.

– Sądzisz, że stary Jakub przeżyłby porażenie prądem? – pyta Anahit.

– Jestem pewna, że twój dziadek nie chciał, żeby Harry’emu coś się stało.

Byłoby to... no, cóż... jawnie okrutne i nikczemne... A co więcej... niezgodne z prawem. Gabrielu, spójrz mi w oczy i powiedz, że to był wypadek.

Okłamywałem Martę już wiele razy, ale to kłamstwo więźnie mi w gardle, nie przejdzie przez nie za żadną cenę.

– Nie do wiary! Ty stary głupcze! Tym razem przebrałeś miarę, Gabrielu. Zachowujesz się jak zwykły despota i nie pozwolę, by uszło ci to na sucho.

Nazajutrz moje prośby spotykają się z milczącą odmową, a pytania pozostają bez odpowiedzi. Możemy się w to bawić, mówię sobie, ale to ja jestem w tę grę lepszy. Z początku kara jest błogosławieństwem, bo nikt nie suszy mi głowy o wypitą whisky, nikt nie żąda, żebym zmienił podkoszulek albo skarpety. Gram w ich własną grę, ciesząc się korzyściami z bycia wykluczonym. Gdy chodzi o upór, mam przewagę i znakomicie odgrywam swoją rolę.

Mija kilka dni i mój zapał do zabawy słabnie. Jak było do przewidzenia, zostaję pokonany, zmuszony do uległości. „Proszę, rozmawiaj ze mną, Marto”, mówię, gdy moja prośba o kawę zostaje zignorowana. „To śmieszne i dziecinne”, narzekam, nieudolnie przygotowując sobie obiad złożony z sera i chleba i jedząc w samotności. Tydzień później czuję się tak opuszczony, że mógłbym się rozpłakać, i kilkakrotnie robię to w zaciszu mojej sypialni. Zapadłszy się w fotelu, godzę się z porażką, zniechęcony do reszty. Bez rodziny jestem niczym, zwykłym workiem kości i narządów.

– Przepraszam, Marto – mówię słabym głosem, gdy już nie mogę wytrzymać.

– Przeprós Anahit – odpowiada. – I to szczerze.

Przepraszam wnuczkę, czując się jak złośliwy uczeń i zdając sobie sprawę, że wkrótce będę musiał spojrzeć w oczy swojej nemezis.

Kruchy pokój został przywrócony. Kobiety gawędzą w kuchni – Marta,

Anahit i Jennifer. Ich trajkotanie nie dociera do salonu, gdzie przerzucam strony ormiańskiej gazety z nogami wyciągniętymi na skórzanym pufie. Moją uwagę przyciągają nieszczęśliwe historie, opowieści o tragediach, trzęsieniach ziemi, pożarach lasów i wypadkach drogowych, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że życie od początku do końca jest jedną wielką męką i w mgnieniu oka może stanąć na głowie.

Przebiegam wzrokiem tekst o otwarciu nowego ormiańskiego domu opieki we Fresno w Kalifornii, artykuł obejmuje krótkie biografie kilku pensjonariuszy. Jedna z kobiet po siedemdziesiątce opisuje, jak wypędzono ją z rodzinnej wioski w zachodniej Turcji i jak została sierotą, gdy jej matkę porwał arabski jeździec. Zanim dotarła do Nowego Jorku i w końcu do Fresno, dołączyła do karawany wygnańców zmierzających na południe. Setki razy słyszałem takie opowieści i już mam przewrócić stronę, gdy nagle rzuca mi się w oczy nazwisko Alitz Gregorian, dawniej Tawlian. Rozpoznanie nazwiska zabiera mojemu przyćmionemu umysłowi kilka sekund.

– Marto, Marto! – wołam z walącym sercem.

Marta wpada do pokoju, gotowa do kłótni.

– Nie! Nie naleję ci kolejnej szklaneczki whisky, nawet nie prosz.

– Nie chcę whisky. Przeczytałem właśnie coś w gazecie i nie wiem, co o tym sądzić.

– O co chodzi? – Marta się przybliża.

– Natknąłem się na nazwisko, które znam. Kobieta o tym samym nazwisku podróżowała z moją matką jako dziewczynka. Alitz Tawlian. Mieszka w domu opieki we Fresno.

– Dobry Boże, Gabrielu! Czy to może być ta sama osoba?

– Nie wiem. Co robić, Marto? Co mam robić?

– Anahit, szybko! Potrzebujemy pomocy.

Anahit i Jennifer wchodzą pospiesznie do pokoju, zerkają na artykuł, a Marta wyjaśnia im, o co chodzi.

– Muszę zadzwonić, papiku – mówi Anahit, idąc do aparatu.

Siedzę w osłupieniu, trzymając Martę za rękę, podczas gdy Anahit dzwoni do międzynarodowej centrali telefonicznej, a potem do domu spokojnej starości. Rozmowa jest krótka i rzeczowa, a kiedy Anahit odkłada słuchawkę, uśmiecha się.

– Rozmawiałam z pielęgniarką, która opiekuje się Alitz. Okazuje się, że Alitz często mówi o twojej matce. Spytałam, czy mógłbyś z nią porozmawiać przez telefon, ale pielęgniarka powiedziała, że ma słaby słuch. Zasugerowała, że może chciałbyś złożyć wizytę.

Nie wiem, co mam myśleć, jak się czuć. To odkrycie jest tak nagłe i niespodziewane.

– Musimy natychmiast polecieć do Fresno – mówi Marta.

- Tak, tylko jak? Nie mamy grosza przy duszy.
- Poprosimy społeczność o pożyczkę.
- Nie będę do nikogo chodził po prośbie.
- Możecie zatrzymać się u mnie. Dam wam klucze. Mieszkam niedaleko Fresno – mówi Jennifer. – Nie będziecie musieli się martwić o zakwaterowanie.
- Zadzwońię do mamy. Powiem, żeby zarezerwowała bilety – mówi Anahit.
- Nie będę prosił swojej córki o pieniądze. Sam się tym zajmę.

Przyływ adrenaliny prowadzi mnie do pobliskiego pasażu handlowego. Wchodzę do zegarmistrza i zastaję właściciela przy stole, wpatrującego się we wnętrze małego zegarka, ze szkłem powiększającym w lewym oku. Odpinam zegarek kieszonkowy.

- Chcę go sprzedać. Ile mi pan za niego da?
- Ogląda zegarek przez monokl.
- Nie jest w za dobrym stanie.
  - To antyk.
  - Jest stary i powgniatany.
  - Pan też by był powgniatany, gdyby pan miał sto lat.
  - Dam panu pięćdziesiąt funtów.
  - To prawdziwe srebro, jest wart dwadzieścia razy tyle. Zapłaciłem za niego tysiąc.
  - To replika, z Chin.
  - Dawaj go, ty oszuście, złodzieju zapluty.

Odbieram mu zegarek i wracam do domu w ślepym gniewie, kilka razy wchodząc w drogę nadjeżdżającym samochodom i rozpalając wściekłość kierowców, którzy klną przez otwarte okna. Pracowałem przez całe życie i nic z tego nie mam. Żadnej sumki na czarną godzinę, żadnych dóbr, by je sprzedać i zapłacić za bilet, który pomógłby mi się dowiedzieć, co się stało z moją matką.

- Marta czeka na mnie w salonie. Sadza mnie na krześle, ma ożywioną twarz.
- Siadaj, Gabrielu. Jennifer ma ci coś do powiedzenia.
  - Panie Arakelian, wyjeżdżam pod koniec tygodnia i chciałam panu podziękować za pomoc w badaniach.

Przytupuję, rozglądając się po domu za przedmiotami na sprzedaż.

- Pańska pomoc była wprost nieoceniona, pana historie wywarły na mnie głębokie wrażenie.

- Trzeba będzie oddać w zastaw ramę obrazu z czystego srebra.
- Bardzo bym chciała, żeby pan i pani Arakelian odwiedzili mnie w Kalifornii i zatrzymali się u mnie w domu.

Obrączki ślubnej też trzeba się będzie pozbyć.

- Pragnę, żeby przyjął pan ode mnie prezent. Nie przyjmę odmowy. Chciałabym zapłacić za państwa bilety do Ameryki.

Sprzedam aparat.

– Gabrielu! Słyszałeś, co powiedziała Jennifer? O biletach?

Nagle uświadamiam sobie, co się wokół mnie dzieje – ktoś proponuje mi jałmużnę.

– Nie pozwolę na to, młoda damo. Pod żadnym pozorem.

– Mój mąż zarezerwował już bilety, panie Arakelian. Lecimy jutro.

## ROZDZIAŁ 32

### KATERINA

Zaczynam pakować walizkę, perspektywa wyjazdu przynosi mi ulgę – szmat oceanu oddzieli mnie od Ary. Pojawia się przelotny obraz naszego dnia w sędzie i czuję ukłucie dotkliwej tęsknoty. W tej samej chwili dzwoni telefon; Jenny odbiera. Przewraca oczami, podając mi słuchawkę.

– To on. Jest na dole w recepcji. Chce porozmawiać.

Rumieniąc się, kręcę głową. Nie chcę wziąć słuchawki. Jenny wyświadcza mi przysługę, tak jak zrobiłaby to bliska przyjaciółka. Jest uprzejma, ale energiczna i trzaska słuchawką z nieodwołalnością, która jest stosowna do sytuacji, ale nie przynosi specjalnego ukojenia. Ogarniam wzrokiem pokój w poszukiwaniu poniewierających się ubrań i sprzątam je w pośpiechu. Chwilę później rozlega się pukanie do drzwi i Jenny wychodzi do łazienki, odmawiając udziału w zмовie. Próbuję się uspokoić, masuję dłońmi skronie i przybieram niedbałą postawę, która ma wyrażać obojętność, gdy stoję pod drzwiami i ostrożnie je uchylam. Zmęczony wzrok Ary napotyka moje spojrzenie.

– Katerino, mogę wejść?

Idzie za mną do pokoju. Kiedy zdaję sobie sprawę, jak bardzo mi brakowało jego fizycznej obecności, jestem zbyt zmieszana, żeby się odezwać.

– Co u ciebie? – pyta.

Przygląda się badawczo mojej twarzy, gdy przewyciężam dławienie w gardle i odzyskuję głos.

– Cieszę się, że jadę do domu... do rodziny i przyjaciół. – Te słowa mają sugerować, że on nie należy do żadnej z tych kategorii.

– Przynoszę wieści, Katerino – mówi. – Moja matka zadzwoniła w parę miejsc i dowiedziała się o człowieku, który nazywa się Arakelian. Mieszka w Nikozji. Może być spokrewniony z twoją matką. Mam jego adres. Myślę, że powinniśmy pojechać tam i go odnaleźć.

Uderza mnie śmieszność propozycji; ta wyprawa to strata czasu.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Wyjeżdżam dziś po południu.

Ara przygląda się łóżku, na którym porzucane są moje rzeczy, jakby oceniał sytuację.

– Skończ się pakować. Zabierzemy twoją walizkę. Możemy pojechać do Nikozji i wrócić na czas. Podrzucę cię na lotnisko.

Ara pożyczył samochód ojca. Wsiadłszy, odsuwam kolana w stronę drzwi pasażera, żałując, że zgodziłam się na tę bezcelową wycieczkę. Cisza jest gęsta od przykrych emocji i wydaje się jasne, że nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Wyjeżdżamy z Larnaki na autostradę, na której panuje południowy tłok. Odchylam głowę i zamykam oczy. Podróż okraszona jest wymianą monosylab, aż w końcu

docieramy do stolicy.

– To Ledra – mówi Ara, gdy wjeżdżamy do miasta szeroką, zatłoczoną ulicą, wzdłuż której stoi szereg modnych butików, eleganckich kawiarni i barów pełnych ludzi ubranych tak, by się pokazać. Miejsce jest skąpane w słońcu i pragnę się zatrzymać, pospacerować, napić cappuccino i pooddychać tętniącą życiem atmosferą ulicy. Jednak nie z Arą. To szalony miszmasz, ale się sprawdza – ultranowoczesne gmachy ze szklanymi elewacjami obok wiekowych budowli wzniesionych przez Brytyjczyków.

Ara skręca z głównej arterii i jedzie przez labirynt uliczek, gdzie współistnieją najróżniejsze style architektoniczne, mijamy bielone domy, kolonialne wille, szare bloki. Gdy oddalamy się od głównej ulicy ku sercu nikozyjskiego przedmieścia, ruch uliczny rzadnie. Dostrzegam kilka pasaży handlowych, gdzie przez otwarte drzwi ciastkarni, piekarni i barów z kebabami niosą się zapachy aromatycznych wyrobów, przejeżdżamy obok odrapanego zakładu fotograficznego i zegarmistrza i w końcu zatrzymujemy się przed kremowobiałym otynkowanym domem z drzewkiem cytrynowym w ogródku od frontu i jaśminem u drzwi.

– To tutaj. Adres, który dała mi matka – mówi Ara, odpinając pas.

Puka kilka razy do drzwi, potem zagląda przez okno zasłonięte firanką.

– Nie wygląda na to, żeby ktoś tam był. Spróbujmy u sąsiadów.

Na dzwonek do drzwi w domu obok podchodzi łysy mężczyzna w białej koszulce upstrzonej plamami tłuszczu. Przełyka kęs jedzenia, przeciera usta wierzchem dłoni i wybucha rozmowa po grecku. Mężczyzna nie wygląda na zadowolonego. Mówi głośno i nieco agresywnie, co przyjmuję za oznakę greckiego temperamentu, dopóki tamten nie zamyka Arze drzwi przed nosem.

– O rany, pan Arakelian nie jest zbyt lubiany przez sąsiadów – mówi Ara.

– Co powiedział ten facet?

– Że to nędzny stary cap, który zawsze każe mu ściszać muzykę.

– A gdzie jest?

– W Ameryce. Wyjechał wczoraj i nie będzie go przez tydzień.

– To by było na tyle. Nie poznam go.

– Mogę z nim porozmawiać, jeśli chcesz, dałbym ci znać, co mówi.

Ara stoi tuż obok, ciepło jego ciała przesącza się we mnie – wytrącające z równowagi, przemożne doznanie, które sprawia, że chcę się zbliżyć, ale oddalam się, by pokazać, że nie dam z sobą pogrywać. Idę z powrotem do samochodu.

– Muszę się dostać na lotnisko. Nie chcę się spóźnić na samolot.

– Zajedźmy po drodze do mnie. Moja matka chciała się pożegnać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

W domu Ary zamierzam krótko pożegnać się z wielkoduszną kobietą, która udzieliła mi niezapomnianej gościny. Arpi wita mnie pocałunkiem w oba policzki

i tacką właśnie upieczonych ciastek, złotych półksiężyców z miętowym nadzieniem halloumi. Piję kawę i jem ciasto francuskie z serem, podczas gdy Ara relacjonuje naszą bezowocną wyprawę, a potem zerka na zegarek i wstaje.

– Nie możesz teraz wyjechać – mówi Arpi. – Ten mężczyzna może być krewnym.

– Zarezerwowałam już bilet.

– Mam siostrzenicę, która pracuje na lotnisku. Możemy zmienić rezerwację.

– Mój szef spodziewa się mnie za dwa dni w pracy.

– Nie macie w Anglii czegoś takiego jak urlop okolicznościowy? W końcu to wyjątkowa sytuacja rodzinna. Czyż nie obiecałaś matce, że dowiesz się tyle, ile się da? To tylko jeden dodatkowy tydzień.

Arpi jest bardzo przekonująca, ale jej pomysł wydaje mi się absurdalny.

– Właśnie wymeldowałam się z hotelu. Gdzie miałabym się zatrzymać? Poza tym nie mam już pieniędzy.

– Możesz zostać tutaj, w starym pokoju Ary.

– W żadnym wypadku nie mogę tu zostać, Arpi.

– Dlaczego? Chcę, żebyś została. Oboje chcemy, prawda, synu?

W jego skinieniu głową jest niewiele entuzjazmu; Ara ma twarz nieruchomą, bez wyrazu, a ja nie wiem, co począć, oszołomiona wirem wydarzeń.

– Może niech zdecyduje twoja matka? – mówi on. – Zadzwoń do niej. Proszę.

Dzwonię do mamy i mówię o człowieku z Nikozji, Arakelianie, który może być krewnym.

– Katerino, to wspaniała wiadomość. Tak daleko zaszłaś, po prostu musisz tam zostać. Może powinnam zarezerwować bilet i sama przylecieć?

– Mamo, to wszystko może prowadzić donikąd. Poczekaj, aż go sprawdzę, zanim zaczniesz świętować. Poza tym czy to takie ważne, że się dowiesz, że jesteś daleko spokrewniona z kimś, kto mieszka dwa tysiące mil od ciebie?

– Dla mnie ważne i dla ciebie też powinno być. Twoja babcia była jedynym ogniwem łączącym nas z kulturą, o której tak niewiele wiemy. Jeśli jest choć cień szansy, że ten mężczyzna jest z nami spokrewniony, musimy się tego dowiedzieć. Może mieć związek z tą niezwykłą kobietą z połówki zdjęcia, która tak wiele przeszła.

– To naprawdę tyle dla ciebie znaczy?

– W tej chwili to dla mnie wszystko, a pewnego dnia i dla ciebie będzie znaczyło o wiele więcej.

Nie chcę przyznać, że w ostatnich tygodniach przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze tak długo, że nie wiedziałam już, kim tak do końca jestem – Kateriną, Mariam czy jej matką. Zaczęłam się zastanawiać, którą stronę rodziny będą przypominały *moje* dzieci, jakie cechy odziedziczą. Notowałam, gotowa się

nimi podzielić, wszystkie historie z drugiej ręki o naszych przodkach, którzy żyli na innym kontynencie i znaleźli się w samym centrum strasznego rozdziału historii.

W kuchni Arpi nie może się doczekać mojej odpowiedzi.

– Mama chce, żebym została, ale powinnam sobie znaleźć hotel.

– Nie chcę nawet o tym słyszeć. No, gdzie twoja walizka?

– W samochodzie.

Ara zanosi walizkę do pokoju i zostawia mnie w drzwiach, podczas gdy Arpi krząta się, przynosi ręczniki i dodatkowy koc. W pokoju brak dziecięcych rzeczy, ściany dopiero co pomalowano na biało, narzuta jest w różową szachownicę. Nic nie nawiązuje do gustu muzycznego Ary, jego chłopięcych pasji ani zainteresowań. Jedynym przedmiotem naprawdę godnym uwagi jest fotografia w ramce na stoliku nocnym. Gdy zostaję sama, podnoszę ją. Smukły, stary mężczyzna z podkręconym wąsem trzyma za rękę małego kędzierzawego chłopca, stoją pod drzewem cytrusowym; na zmatowiałym zdjęciu świecą pomarańczowe kule owoców. Mam podobną fotografię – w ogrodzie za domem dziewczynka z warkoczami trzyma za rękę babcię. Wspomnienie przyprawia o ukłucie tęsknoty. Podczas gdy wiele dziewcząt wzoruje się na matkach, ja chciałam być taka jak babcia – wytworna i niezwykła.



## ROZDZIAŁ 33

### GABRIEL

Ativan, który wziąłem podczas lotu, nie ukoił moich nerwów. Jestem rozdrażniony i pełen obaw, spieszę przed Martą i Anahit betonową alejką prowadzącą do wielkiego budynku z czerwonej cegły, stojącego w zadbanym ogrodzie z trawnikiem, przyszczyżonymi żywopłotami i starannie utrzymanymi rabatami. Podjazd z poręczami po obu stronach prowadzi do dwuskrzydłowych drzwi wejściowych, nad którymi w łuk układają się słowa: Dom Ormiański we Fresno.

W środku za biurkiem siedzi mężczyzna o ponurym wyglądzie. Bawi się starannie przyciętą brodą, gdy wpisujemy się na listę i zaznaczamy godzinę przybycia. Recepcja jest czystym, przypominającym biuro miejscem, skąd kilkoro drzwi prowadzi do innych pomieszczeń. Na korytarz docierają odległe dźwięki. Cichy szum telewizora. Kości stukające o drewno. Drżący sopran jakiejś staruszki, śpiewającej arię z operetki przy akompaniamencie fortepianu. W powietrzu unosi się aromat sosu z mięsa i warzyw korzeniowych, mieszający się z naftalinowym zapachem starości.

Brodacz przedstawia się wylewnie, nalegając, byśmy mówili do niego Daniel. Następnie prowadzi nas po schodach do korytarza przypominającego szpitalny, z podłogą wyłożoną linoleum i solidnymi poręczami w ścianach. W połowie korytarza zagląda do jednej z sal przez uchylone drzwi.

– Pani Gregorian, przyjechali pani goście. – Po czym zwraca się do mnie: – Proszę tu poczekać. Muszę przypomnieć pani Gregorian, kim jesteście i dlaczego przyjechaliście. Potrafi wspominać przeszłość w najdrobniejszych szczegółach, ale terażniejszość na ogół jej umyka.

Nagle zaczynam się pocić, boję się usłyszeć prawdę.

– Marto, ty tam wejdź. Ja zaczekam na zewnątrz. Powiesz mi po prostu, co powiedziała.

Marta ściska mnie za rękę.

– Nie po to przejechaliśmy taki kawał drogi, żebyś sobie tu przycupnął. Całe życie czekałeś na wiadomości o matce.

Daniel pojawia się z powrotem.

– Jest gotowa. Wejdźcie, proszę.

Odsuwa się na bok i wchodzimy do dużego, kolorowego pomieszczenia, jakże innego niż sterylne korytarz. Zasłony, częściowo odsunięte, są z niebieskiego jedwabiu. Na półkach stoją książki i czasopisma. Kapa haftowana w krzykliwy ormiański wzór przykrywa rozkładaną sofę. Ściany zdobią jaskrawe obrazy przedstawiające ośnieżony szczyt Araratu. Na wszystkich półkach i blatach stoją zdjęcia rodzinne: czarno-biała fotografia ślubna, zdjęcia kędzierzawego dziecka

i kilkorga młodych ludzi w czapkach uniwersyteckich.

Alitz siedzi skulona w aksamitnym fotelu, wpatrując się w swoje kolana. Ramiona ma okryte szydełkowym szalem, jej srebrzystoszare włosy spięte są w kok. Koronkowy kocyk przykrywa jej nogi i ręce, odsłaniając tylko drobne stopy w kapciach. Daniel przedstawia sobie nas wszystkich, a następnie kieruje mnie w stronę krzesła naprzeciw Alitz. Marta i Anahit stoją przy drzwiach, ich twarze są pełne nadziei i wyczekiwania. Alitz podnosi wzrok, przygląda mi się badawczo mleczonebieskimi oczyma, jej twarz jest szczupła i koścista, skóra półprzezroczysta i upstrzona plamami wątrobowymi. Czas nie obszedł się z nią łagodnie.

– Witaj, Gabrielu – mówi. – Przypuszczam, że poznaliśmy się przelotnie, zanim zostałeś zabrany.

Spod koca wysuwa chudą, żylastą rękę i podaje mi zdjęcie, czarno-białe, poznaczone liniami załamań. To fotografia trojga dzieci w odświętnych strojach. Pierwszy raz od siedemdziesięciu lat widzę Towmasa, twarz tak bardzo podobna do twarzy ojca. Widzę Mariam, osobę, za którą tęskniłem najbardziej na świecie, bystrą dziewczynkę, która tak dobrze się zapowiadała. Odwracam się do wnuczki.

– Widzisz, Anahit, mówiłem ci, że moja siostra była piękną, zupełnie jak ty.

Żona i córka stoją nade mną, spoglądając mi przez ramię na fotografię rodzeństwa, które znali dzięki opowieściom, jak postaci z bajki.

– Może nam pani powiedzieć, co się stało z matką Gabriela? – pyta Marta.

– Och, tak, oczywiście. Gadarina wzięła mnie pod swoje skrzydła. Traktowała mnie jak córkę. Nigdy jej nie zapomnę.

Wspomnienie matki przywodzi mnie do płaczu. Fala emocji wzbierająca latami lada moment mnie zaleje.

– Co się stało, gdy opuściliście Katmę? – odważam się spytać.

– Skąd wiesz, że dotarliśmy do Katmy?

– Wiele lat temu zatrudniłem detektywa, by odszukał matkę. Jej ślad urwał się w obozie przejściowym.

– Po Katmie doprowadzono nas na pustynię pod Dajr az-Zaur. To było okropne miejsce. Piekielne gorąco. Obie byłyśmy chore i słabe. To tam twoja matka straciła wolę życia. „Zapłaciłam, żeby zarżnęli moje dzieci”, powtarzała. Leżałyśmy obok siebie na pustyni, czekając, aż zabierze nas śmierć. Ciągłe miałam halucynacje, w głowie ukazywały mi się obrazy matki i ojca. W jednej chwili byłam w domu z rodziną, a w następnej na rozpalonym pustkowiu, ze splekaną i pokrytą bąblami skórą. A potem, zupełnie nagle, stało się coś niezwykłego. Zlitował się nad nami beduin. Zabrał nas do położonego niedaleko obozu, w którym małe dzieci bawiły się pośród skupiska namiotów. Osłonięte od słońca, zasnęłyśmy na słomianych matach w jednym z tych namiotów, a młoda kobieta

o czarnych warkoczach dała nam pić, bo byliśmy bardzo odwodnione. Pielęgnowała nas, aż wróciliśmy do zdrowia – poiła gorącą herbatą, karmiła mięsem pieczonym w dole, chlebem i owocami. To właśnie w tym namiocie twoja matka urodziła. Beduinka odebrała poród. Wszystkie płakałyśmy, gdy chłopczyk pierwszy raz wciągnął powietrze do płuc. Gadarina ujrzała swego syna, pottrzymała go chwilę w ramionach, dała mu na imię Grigor po twoim ojcu i wkrótce niestety wykrwawiła się na śmierć. Twoją matkę zabił krwotok, a nie głód.

Łzy płyną po moich policzkach, wzdłuż blizny po ostrzu bagnetu. Myślę o latach spędzonych na poszukiwaniu matki, podczas których zawsze wierzyłem, że czuję jej siły vitalne.

– Beduin wykopał dziurę w ziemi dla Gadariny, metr od namiotu, i ostrożnie opuścił tam jej ciało. Kobieta zrobiła krok do przodu i zaczęła się modlić, monotonnie intonując *el mulleh ra-ha-meen*, Bóg jest pełen miłosierdzia, a potem podeszli inni członkowie plemienia i wielu z nich miało łzy w oczach. Mam nadzieję, że trochę pociechy przyniesie ci fakt, że twoja matka miała godny pogrzeb na pustyni pod Dajr az-Zaur.

Zastygłem w czasie, z trudem mogę uwierzyć w to, gdzie jestem i co usłyszałem. Usta mam zaciśnięte, boję się wydać z siebie głos, z całych sił próbuję pogodzić się w końcu z prawdą.

– Kilka tygodni później, gdy beduini byli gotowi do dalszej drogi, mężczyzna, który mnie ocalił, zawiózł mnie z powrotem do obozu dla uchodźców i tam zostawił. Podróżowałam z pewną rodziną do Damaszku, a potem udało nam się popłynąć do Nowego Jorku, gdzie zaadoptowała mnie ormiańska para. To byli naprawdę wspaniali ludzie. Traktowali mnie bardzo dobrze. Miałam wielkie szczęście, Gabrielu. Straciłam rodzinę, ale dorastałam, czując się kochana, a potem poznałam mojego ukochanego męża, Sargisa Gregoriana, i przeprowadziłam się do Fresno. Na tym zdjęciu jest mój Sargis.

Wskazuje zdjęcie ślubne na stoliku i zaczyna trajkotać o swoim mężu. Myśli mi umykają. Jakiś decydujący szczegół został przeoczony i próbuję sobie przypomnieć, co to takiego.

– Co się stało z dzieckiem, pani Gregorian? – pyta Marta.

Pytanie wisi w powietrzu, dając promyk nadziei.

– Dziecko zmarło wkrótce po Gadarinie. Beduinka zawięła je w swoją chustę i pochowała razem z matką.

Alitz odchyła się do tyłu w fotelu, a moją głowę wypełnia pustynny pejzaż, obraz mojego braciszka spuszczanego do piaskowego grobu. Nikt mnie już nie przywołuje, żaden Arakelian nie czeka na to, by go odnaleźć. Przez wszystkie te lata na darmo żywiłem nadzieję. Siedzę tępo, na skraju rozpacz, z całego serca żałując, że przyjechałem.

Bierzemy taksówkę i jedziemy do ormiańskiego kościoła we Fresno,

niedaleko domu spokojnej starości. Wzdłuż kiepskiej drogi rosną drzewa i stoją niedokończone budynki. Głosy Marty i Anahit w ogóle do mnie nie docierają. Czuję się jak człowiek, u którego doszło do uszkodzenia mózgu.

Wnętrze kościoła wyłożone jest lśniącym piaskowcem; plamy światła grają na żylastym ciełe Chrystusa nad amboną. Kiedy indziej być może zatrzymałbym się, by pomyśleć, porozmawiać o architektonicznych walorach budynku, omówić symbolikę, przestudiować ikony. Dziś jednak stawianie stopy za stopą i pilnowanie się, by nie upaść, wymaga ode mnie pełnego skupienia. Dziś zapach kadzidła i wosku jest udręką.

Zapalamy świece za Gadarinę i mojego braciszka, mamroczone modlitwy, a potem siadamy w ławce w głębi kościoła.

– Jak się czujesz? – pyta Marta.

– Przez całe życie czułem, że dociera do mnie jakaś część sił witalnych. Wierzyłem, że przynajmniej dziecko przeżyło. Że pewnego dnia spotkamy się twarzą w twarz.

– Nie lepiej jest znać prawdę niż żyć złudzeniem?

– Nie, Marto. Lepiej mieć nadzieję.

Z przyległego pomieszczenia wsącza się śpiew chóru, anielskie głosy przenoszą mnie do kościoła Świętego Grzegorza w dzień ślubu Ester. Wzrok mi się rozmywa, podczas gdy obrazy w mojej głowie stają się olśniewająco żywe. Migawki ze ślubu Ester przelatują przez mój umysł jak talia kart podczas tasowania. Widzę przyjaciółkę z dzieciństwa w białej sukni, pukiel rudych włosów wymyka się spod welonu. Widzę ludzi z przeszłości, w uszach rozbrzmiewa mi pradawna liturgia... złudzenie słuchowe.

Unoszę się ku suchej równinie, gdzie po raz ostatni widziałem matkę, ku polanie, na której zostawiłem Mariam i Towmasa. Wzruszenie odbiera mi mowę i dawne smutki budzą się na nowo jeden po drugim. Patrzę na siebie z góry, obiektyw się oddala – siwowłose starzec w kościele, łepok od szpilki w ogromnym kraju, szmat drogi od domu. Znów jestem chłopcem na statku, który odpływa od matki, porzucony na niezmiernym morzu. Coś zaciska się wokół mojej piersi i z trudem oddycham, zachłystuję się przesyconym dymem powietrzem, oczy mi łzawią, jakiś ciężar napiera na moją klatkę piersiową. Z oddali słyszę głos Marty: „Gabrielu, wszystko w porządku? Gabrielu, oddychaj spokojniej”. Anahit bierze mnie za ramiona i kładzie na ławce. Długo, głęboko wciągam powietrze, dopóki panika nie ustępuje. Jestem zlany potem, w głowie mi się kręci, Marta klęczy obok i głaszcze mnie po włosach swymi kojącymi dłońmi.

– Nic ci nie będzie, Gabrielu. Wszystko będzie dobrze, kochany.

– Chcę do domu, Marto. Chcę jechać do domu.

Marta stoi pod drzwiami sypialni, słuchając diagnozy doktora Mouradiana. Tydzień leżałem w łóżku, wpatrując się w sufit, odmawiając jedzenia, tylko od czasu do czasu wypijając łyżeczkę wody. Trzymałem się nadziei jak życiodajnego źródła, a teraz – bez niej – jestem niczym, chmurą stęchłego powietrza. Jennifer zdołała zmienić rezerwację naszych biletów. Dwa dni po przyjeździe do Fresno wsiedliśmy do samolotu i wróciliśmy na Cypr. Zaraz po wejściu do domu położyłem się do łóżka; wieści o matce i niemowlęciu okazały się zbyt wielkim brzemieniem. Moja wola życia zniknęła, ale słuch mam tak dobry jak zawsze i mimowolnie skupiam się na rozmowie za drzwiami.

– Nie wiem, co pani powiedzieć. Chciałbym bardziej pomóc – mówi doktor.

– Co ma pan na myśli?

– Nie wiem, co mogę zrobić, chyba tylko wywlec go z łóżka. Mówi, że nie chce już żyć.

– Nie można po prostu postanowić, że się umrze, prawda? Tylko Bóg decyduje w takich sprawach.

– Cierpi na poważną depresję.

– Poprawi mu się, prawda?

– Jeśli nie będzie jadł ani pił, stan jego organizmu szybko się pogorszy i wtedy będziemy mieli prawdziwy kłopot. Jeśli za bardzo się odwodni, może będziemy musieli zabrać go do szpitala i karmić przez kroplówkę.

– Na pewno do tego nie dojdzie.

– Nie mogę tego wykluczyć. Znałem ludzi, którzy z powodu traumatycznego wydarzenia, zwykle utraty małżonka, postanowili umrzeć. Głęboki ból potrafi źle wpłynąć na organizm, podwyższyć tętno i ciśnienie, wywołać kurcze i tak dalej, i tak dalej.

– Nie dzwoniłam jeszcze do Tamar w nadziei, że Gabriel dojdzie do rozumu, ale ona nigdy mi nie wybaczy, jeśli coś mu się stanie, a ja będę ją trzymać w nieświadomości.

– Zadzwoń do niej, Marto. Nie musicie z Anahit przechodzić przez to same.

– Co mogę zrobić?

– Spraw, żeby poczuł, że warto żyć. Wspieraj go tak, jak możesz. Zadzwoń do przyjaciółki, która może będzie w stanie pomóc. To lekarka z Limassol, specjalistka. Zajmowała się kilkoma podobnymi przypadkami.

Gdy budzę się jakiś czas później, przy łóżku zastaję Martę, a po pokoju chodzi Partogh. Marta proponuje mi wodę przez słomkę. Odmawiam mimo pragnienia. Jej oczy wypełniają się łzami.

– Nie masz już dość tego wylegiwania się? – pyta Partogh.

Nie odpowiadam.

Otwiera szafę i wyjmuję ukrytą butelkę whisky.

– W takim razie sam będę musiał wypić ten drogocenny trunek.

Odkręca butelkę i pociąga z niej z gulgotem, teatralnie cmokając.

– Dobra rzecz, Gabrielu. Zabiorę ją do domu, jeśli nie masz nic przeciwko. Tam, gdzie się wybierasz, nie będzie ci potrzebna.

Z kieszeni koszuli wyjmuję paczkę rothmansów i zapala papierosa, choć nie pali od dwudziestu lat.

– Nie brak ci zgubnego ziela? Nie zapalisz ze swoim starym kumplem? Ostatni przywilej umierającego. – Stoi nad łóżkiem z gniewnym spojrzeniem, obficie wypuszczając dym. – Mam szczerą chęć odnaleźć tego węża i wsadzić ci go do tego cholernego łóżka, niech cię nicpoń capnie tam, gdzie poczujesz. To cię postawi na nogi. Pomyśl, co robisz swojej żonie, wnuczce. Urządzasz im piekło, ty stary głupcze.

Marta kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Nie denerwuj się, Partoghu. Idź do domu. Zostaw go mnie.

Partogh wychodzi naburmuszony, prychając, a żona głaszcze mnie po włosach. Nie daję po sobie poznać mrowiącej przyjemności, jaką odczuwam, wzbiera we mnie rzeka łez. Wyobrażam sobie, że będzie dotykać mnie w ten sposób, gdy odejdę, gdy będzie mnie ubierała do trumny. Muszę znaleźć sposób, by przestała, zanim zdradzi mnie wzruszenie.

– Nie chcę więcej widzieć Partogha – mówię.

– Bo wypił twoją whisky?

– Nie chcę widzieć ani jego, ani kogokolwiek innego.

– Dlaczego nam to robisz, Gabrielu? Dlaczego sprawiasz nam cierpienie?

Odwracam się i zakrywam twarz prześcieradłem.

Następny z wizytą jest Harry; stoi zakłopotany razem z Anahit w nogach łóżka z wymuszonym uśmiechem na ustach.

– Jak się pan czuje, panie Arakelian? – Dziwne pytanie do umierającego. – Moi rodzice przysyłają najlepsze życzenia.

Wątpię.

Anahit podchodzi blisko, kładzie obok mnie na łóżku pakunek zawinięty w szary papier.

– Harry nie miał okazji dać ci prezentu urodzinowego. Pomyśleliśmy, że może chciałbyś go zobaczyć. Otworzę go, dobrze?

Zrywa papier, odsłaniając orzechową skrzynkę ze złotym zamkiem.

– Harry ją zrobił. Śliczna, prawda?

Wspaniałe dzieło rzemieślnika przypominające drewnianą skrzynkę na przyprawę, którą miała kiedyś Mariam. Na jej wspomnienie ściska mnie za gardło.

– Podoba ci się, prawda? Wiedziałam, że tak będzie. No wstawaj, proszę. Skończ już z tymi wygłupami, dziadku.

To nie jest ten doniosły moment, gdy smutki odkłada się na bok, inwalida wstaje z wózka, wyprostowany rusza chwiejnym krokiem i wszyscy kochamy się i tańczymy do dźwięków skrzypiec. Prawdziwe życie tak nie wygląda. Jest wstrętne i nieprzyjemne. Wraz z ofiarowaniem prezentu nie następuje cudowne rozwiązanie.

– Odezwij się do nas, dziadku. Proszę.

– Idźcie sobie. Chcę być sam. I nie przyprowadzaj go tu znowu.

Harry wypada z pokoju, a za nim Anahit, i za drzwiami wybucha kłótnia.

– Tak mu się tylko powiedziało, Harry. To chory człowiek.

– Chory na głowę.

– Harry!

– Cóż, taka jest prawda i ty o tym wiesz.

– Może powinniśmy odłożyć ślub na później. Dopóki nie wydobrzeje.

– Czyli do następnego roku. Do tego czasu zmieni zdanie.

– Nigdy nie zmieni zdania co do nas.

– Co ty mówisz? Poddajesz się po tylu latach? Nie widzisz, że on tobą manipuluje?

– On cierpi.

– On wie, jak z tobą pogrywać, Anahit. Dostaje dokładnie to, czego chce. To cholerny stary manipulator!

– Nie wiedziałam, że tak to odbierasz.

– A jak mam według ciebie odbierać człowieka, który traktuje mnie jak gówno?

– On może umrzeć.

– Nie umrze. Ten człowiek będzie żył wiecznie i zawsze będziecie wokół niego skakały. Ty wcale nie chcesz przełożyć ślubu. Chcesz go odwołać, to właśnie miałaś na myśli.

– Chcę się skupić na dziadku. Musisz to zrozumieć.

– Wystarczająco długo byłem więcej niż wyrozumiały. Ukrywałem się. Szczerzyłem jak mała mimo jego grubiaństw. Pozwalałem się oczerniać, zastraszać, a nawet razić prądem.

– Nie chciałem, żeby do tego doszło.

– Przestań się okłamywać. Ułatwię ci to, chcesz? Koniec z nami, Anahit. Koniec. Uprzedzę pytanie: nie chcę być twoim przyjacielem ani czekać rok, żeby cię poślubić. Znajdź sobie ormiańskiego doktora i zostaw mnie w spokoju.

Pospieszne kroki Harry'ego się oddalają. Płacz Anahit rozdziera mnie na pół i pragnę, żeby śmierć zabrała mnie szybko, oszczędzając mojej rodzinie udręki.

## ROZDZIAŁ 35

### KATERINA

Przyzwyczałam się do trybu życia w domu Ary. Arpi budzi się co rano, gdy zaczynają śpiewać ptaki, zamiata werandę i przygotowuje śniadanie. Dzikie koty zbierają się na podwórku, czekając na jedzenie, a następnie zwijają się w kłębek na meblach ogrodowych i śpią w plamach słońca. Ojciec Ary przed wyjściem do pracy pochłania solidne śniadanie, a potem Arpi i ja mamy cały dom dla siebie. Arpi robi kawę i kroi słodkie pieczywo z przyprawami. Zanim wyruszymy na niespieszny spacer i na zakupy, siedzimy i rozmawiamy, głównie o sąsiadach. Niedaleko stąd jest targ warzywno-owocowy, pełen wszelkiego rodzaju płodów rolnych, jakich do tej pory nie widziałam: gruzłowatych, fioletowych korzeni i bujnej, wachlarzowatej zieleniny, kolczastych owoców, oliwek rozmiaru orzechów włoskich i pomidorów tak wielkich jak grejpfruty. Na stoiskach, na których nie znajdzie się żadnych paczkowanych produktów, idę za przykładem Arpi, dotykając, wachając i próbując.

W domu Arpi zabiera się do przygotowywania obiadu. Kanapki są tu wyklęte. Smaży, dusi i piecze, przyrządza sałatkę z bulgurem i świeżymi ziołami, używa całego mnóstwa przypraw rozkruszonych tłuczkiem w moździerzu, doprawia desery wodą z kwiatów pomarańczy, którą w żartach skrapia mi włosy. Jej specjalnością jest kataifi, deser, który wygląda jak ptasie gniazdko, a także budyń ryżowy, który naprawdę poprawia nastrój. Z łatwością przyzwyczajam się do rytmu zajęć Arpi i podczas gdy ona gotuje, gada i podaje mi talerzyki z jedzeniem do spróbowania, ogarnia mnie głębokie zadowolenie, jakbym przeszła terapię, która zmienia życie.

Nie jestem jednak tak rozluźniona podczas codziennych odwiedzin Ary, który przyjeżdża do domu na obiad. Wciąż ma nade mną niepokojącą władzę. Wystarczy, że spojrzy, a ja się rumienię, ale dobrze to ukrywam i obiady są, ogólnie rzecz biorąc, przyjemne, choć nieco krępujące. Po posiłku Ara odjeżdża, a ja wracam do jego pokoju i wyciągam się na łóżku, rozbudzając na nowo moją miłość do książek. Tego właśnie mi potrzeba, drobnej naprawy, ambrozji dla ciała i duszy, czasu, by porozmyślać o zawartości dziennika babci.

Każdego wieczoru uczta zaczyna się na nowo, z reguły na dworze, na werandzie, czasem w gronie przyjaciół. Arpi wchodzi na najwyższe obroty, wyczarowując wachlarz meze składający się z oliwek, kruchego sera, różnych sałatek i sosów, przyprawionego mięsa i tego, co zostało z obiadu. Jemy na świeżym powietrzu pod sznurem światełek, sączymy wino, dopóki nie jesteśmy trochę wstawione, rzucając smakowite kąski dzikim kotom. Apollo woli zostać w środku i uciąć sobie drzemkę w pokoju od frontu. W tle gra ormiańska muzyka, niedająca spokoju melodia śpiewana do akompaniamentu drewnianego instrumentu



dętego, duduka, jak tłumaczy mi Arpi. Muzyka, która niosła się przez wieki, uderza w najczulszą strunę i przenosi mnie do innego świata.

Któregoś razu w porze obiadu Arpi wchodzi do pokoju gościnnego i zastaje mnie wpatrującą się w fotografię na stoliku obok łóżka.

– To Ara i jego dziadek – mówi. – Łączyła ich wyjątkowa więź. Mój ojciec przeprowadził się do nas, gdy zmarła matka, niech spoczywa w pokoju. Ara zabrał cię do jego sadu, prawda?

Wspomnienie wywołuje rumieniec na mojej twarzy i zastanawiam się, jakimi jeszcze szczegółami Ara podzielił się z matką.

– Jeździli tam na weekendy, tylko we dwóch, a potem wracali do domu z koszami pełnymi owoców i opowieściami o swoich górskich przygodach. Mój ojciec był jowialnym, kochającym życie człowiekiem, nie jednym z tych starych emerytów, o których się słyszy. Ara bardzo go kochał. Straciliśmy go siedemnaście lat temu, pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. To były jedenaste urodziny Ary. Chwilę po tym, jak mały zdmuchnął świeczki, mój ojciec wyszedł do swojego pokoju. Kilka godzin później Ara chciał go obudzić i odkrył, że dziadek nie żyje. Był to straszny wstrząs, bardzo się na nas odbił, szczególnie na Arze.

Arpi patrzy mi prosto w oczy i czuję, że chce się jeszcze zwierzyć, ale nie bardzo wie jak. Odwraca wzrok, badawczo przygląda się ścianom i starannie uporządkowanym rzeczom na półkach.

– Ten pokój był zavalony aż po sufit wszelkimi osobliwościami, które Ara zbierał z dziadkiem. Widzisz, gdy on się do czegoś przywiąże, nie jest w stanie zapomnieć. Taki jest w przypadku swoich rzeźb i dokładnie taki sam jest w stosunku do ludzi.

Myślę o Nazeli i jej więzi z Arą z czasów dzieciństwa, jego oziębłość nagle nabiera sensu.

Tydzień mija szybko i w końcu nadchodzi dzień, gdy Ara ma mnie zawieźć do Nikozji. Prawie się do siebie nie odzywamy i to mi odpowiada, żadnych czczych pogaduszek, żadnych pozorów przyjaźni, choć zawołowane uwagi Arpi tkwią mi z tyłu głowy. Otwieram książkę i odpływam, aż w końcu zatrzymujemy się znów pod kremowobiałym domem.

Ara puka do drzwi, a ja stoję za jego plecami, ściskając dziennik babci. Kobieta przed trzydziestką uchyla drzwi, jej twarz zmusza mnie, żebym się na nią uporczywie gapiła. Patrząc w lustro na starszą bliźniaczkę, oczy o tym samym odcieniu zieleni, włosy lekko kręcone, dokładnie jak moje. W kraju, w którym wijące się loki są powszechne, włosy mogłyby być przypadkową zbieżnością, ale te oczy – prawdziwa rzadkość – wymykają się racjonalnym wyjaśnieniom. Ara odwraca się, by na mnie spojrzeć, unosi brwi. Niesamowite podobieństwo – też to dostrzegł, lecz kuląca się za drzwiami kobieta wydaje się zbyt poruszona, by cokolwiek zauważyć.

– Możemy porozmawiać z panem Arakelianem? – pyta Ara. – Jest w domu?

– Tak, ale jest zbyt chory, żeby z kimkolwiek rozmawiać.

Pochodzi z Anglii, z północy kraju, gdybym miała zgadywać.

– Czy pani jest z nim spokrewniona?

– Jestem jego wnuczką.

– To może moglibyśmy porozmawiać z panią?

– Obawiam się, że to nie jest dobry moment. W każdej chwili spodziewamy się lekarza.

– Czy możemy przyjść o bardziej dogodnej porze?

– Tak, za jakąś godzinę. Teraz naprawdę nie mogę rozmawiać.

Z przepaszającym uśmiechem zamyka drzwi i zostawia nas na progu z wolnym czasem do dyspozycji.

– Chodźmy się przejść – mówi Ara. – Niedaleko stąd jest takie miejsce, które chyba ci się spodoba. – To jego najbardziej osobista uwaga od dłuższego czasu i rozlewa się we mnie przyjemne ciepło.

Idziemy w milczeniu nierówną drogą przez dzielnicę z domami z przełomu wieków, z boczem ku staremu kościołowi z kamienia, wzniesionemu na skalistym wypiętrzeniu. Dzwonnica i kopuła są kryte omszałą czerwoną dachówką, okna małe – budynek to po części świątynia, po części twierdza.

Ara mówi, że to kościół Świętego Dometiosa, wybudowany w osiemnastym wieku.

Tak właśnie wyobrażam sobie kościół Świętego Grzegorza i przez chwilę, wspinając się po brukowanych stopniach ku wejściu, jestem moją babcią w młodości. Dzień jest gorący i słońce odbija się od kamienia w kolorze ochry, praży moje nagie ramiona. Potem, stojąc w cieniu eukaliptusa, spoglądam w dół ponad dachami z czerwonej dachówki i urokliwymi domami o drewnianych okiennicach – panorama świata mojej babci. Cykady brzdąkają kojący refren. Leciutka bryza gra wśród liści. Czuję się dziwnie spokojna, falą nadchodzą wspomnienia z dzieciństwa. Nocowanie u babci, czekające na mnie rano ciepłe ciasteczka. Wieczory filmowe z popcornem i napojami gazowanymi, ciągnące się godzinami babskie pogaduchy w kuchni. Ta troska, z jaką zajmowała się otarciami i skaleczeniami, te wyraziste spojrzenia, które oznajmiały mi, że jestem dla niej najważniejszą osobą na świecie, że kocha mnie bezwarunkowo.

Historia babci nie była wyłącznie ponura. Zanim jej życie zaczęło się rozpadać, miała szczęśliwe dzieciństwo, i to szczęście wywarło na nią równie duży wpływ jak późniejsza tragedia. Była ofiarą łańcucha okropnych wydarzeń, ale ukształtowali ją też kochająca matka, czuły ojciec i dwaj wspaniali bracia, miała też drugą rodzinę, która uważała ją za dar od Boga. Wszyscy oni odcisnęli swój ślad, w różny sposób formując jej osobowość, uczynili z niej tę wspaniałą kobietę, którą była.

W piekarni kupujemy ciepłe bułeczki z halloumi i odłamujemy kawałki, spacerując. Nie mam najmniejszej ochoty wysilać się z powodu Ary. Przypominam sobie, że od jutra już nigdy nie będę miała z nim do czynienia. Widzę przed sobą zakład zegarmistrza i wchodzę do środka, Ara zaś czeka na ulicy. Mężczyzna za ladą ma szkło powiększające w oku, jego warsztat zawalony jest skrawkami metalu pokrytymi warstwą kurzu. Wyjmuję z torebki zegarek kieszonkowy pradziadka i podaję go mężczyźnie.

– Czy jest szansa, że dałoby się to naprawić?

Przygląda się uważnie zegarkowi i powoli kręci głową.

– To ci dopiero! Niedawno jeden miejscowy próbował mi sprzedać replikę tego zegarka. Ten to autentyczny. Bardzo cenny. Powinna się pani o niego bardzo troszczyć, moja droga.

– Trzymam go po prostu w torebce.

– Radzę, żeby kupiła pani etui i go ubezpieczyła.

Otwiera kopertę zegarka i wprawnie porusza w środku palcami, zanim zacznie szperać w szufladzie pod ladą. Wyciąga mały kluczyk, wtyka go z tyłu, przekręca kilka razy i zegarek wraca do życia po tylu latach milczenia. Przed wyjściem za ostatnie pieniądze na drobne wydatki kupuję czarne skórzane etui.

Godzinę później młoda kobieta zaprasza nas do domu. Wnętrze salonu jest staromodne – podniszczony zestaw wypoczynkowy po jednej stronie i duży stół po drugiej. Na ścianach wiszą rodzinne fotografie w złożonych i drewnianych ramkach, zdjęcia wypełniają każdą wolną przestrzeń: uśmiechnięte dzieci, dzieci z rodzicami, wnuki utrwalone w rozmaitych pozach.

– Usiądźcie, proszę – mówi kobieta. – Jak mogę wam pomóc?

– Nazywam się Ara Kupelian.

– Jesteś Ormianinem?

– Tak, a to moja przyjaciółka Katerina Knight z Anglii. Jej prababka nazywała się Gadarina Arakelian.

Kobieta wybałusza oczy w zdumieniu.

– Tak nazywała się moja prababka.

– Rodzina pochodziła z Cezarei.

Kobieta się uśmiecha.

– W takim razie istnieje duże prawdopodobieństwo, że jesteśmy dalekimi krewnymi. Zaczekajcie, zawołam moją babcię Martę.

Anahit wprowadza babcię, drobną kobietę z siwymi włosami spiętymi z tyłu, i szybko zostajemy sobie przedstawione.

– Od czasu do czasu pojawiają się dalecy krewni – mówi Marta, stojąc obok krzesła wnuczki.

– Mój pradziadek był podobno lekarzem. Miał na imię Grigor.

Matka i córka zerkają na siebie.

– Mój pradziadek też był lekarzem i nosił to samo imię – mówi Anahit. – Dziwna sprawa. To nie może być ten sam człowiek. To niemożliwe.

– W torebce mam zdjęcie Gadariny.

Wyjmuję dziennik. Przedarta fotografia włożona jest między stronicę. Anahit zwraca się do babci:

– To się nie dzieje naprawdę.

Marta spieszy do kredensu, gdzie na honorowym miejscu stoi czarno-białe zdjęcie mężczyzny z zaczesanymi do tyłu włosami. Usuwa podklejkę, wyjmuje fotografię i kładzie ją na stoliku. To oddarta połówka zdjęcia i gdy kładę na stoliku moją fotografię, obie łączą się w całość, odcięta ręka w końcu odnajduje swoje ramię.

– Skąd, na Boga, wzięła pani to zdjęcie? – Ton głosu Anahit jest pełen niedowierzania.

– Należało do mojej babci. To zdjęcie jej matki.

– Nie! To niemożliwe! – mówi Anahit. – Moi pradziadkowie mieli trójkę dzieci. Gabriela, Mariam i...

– ...Towmasa – kończę.

– Tak.

– Gabriel i Towmas umarli.

– Nie. – Anahit kręci głową. – Mój dziadek Gabriel widział, jak jego rodzeństwo ginie w tragicznych okolicznościach. Widział, jak umierają.

– Myślę, że obie powinnyście usiąść – mówi Ara. – Katerina, podaj mi dziennik twojej babci.

Marta i Anahit siedzą na kanapie, trzymając się za ręce, podczas gdy Ara czyta dziennik, zabierając nas na polanę, na której zgromadziły się dzieci, oczekując, że zostaną nakarmione, a strażnicy krążyli wokół nich jak rekiny. Kobiety dobrze znają tę historię. Porusza je ona natychmiast, wypełniając ich oczami. Słuchają opowieści o dziewczynce, która była zakopana pod stertą ciał, która drapała palcami ziemię, gdy minęło niebezpieczeństwo, i wyczołgała się stamtąd cała we krwi, która pochowała swego brata Towmasa i odeszła pełna wyrzutów sumienia, że zostawiła Gabriela w gąszczu ciał. Kobiety trwają w bolesnym uścisku, zanim w końcu zwracają ku mnie wzrok.

– Gabriel przeżył, Katerino – mówi Marta. – Ocaliła go niezwykła Turczynka, która tamtędy przechodziła. Był o krok od śmierci, ale ona go pielęgnowała i wrócił do zdrowia. Wszystko wskazuje na to, że mój mąż jest twoim cioteczynym dziadkiem.

Spojrzenie Anahit napotyka moje, zieleń oczu, jej twarz jest połączeniem twarzy babci, mamy i mojej i choć rozum mówi, że to nie może być prawda, serce i instynkt wiedzą swoje. Gdzieś w tym domu jest człowiek, który nie żyje od

siedemdziesięciu lat, bohater literacki, który ożył. Kręci mi się w głowie, gdy Ara dzieli się wszystkim, co wiemy o mojej babci, o jej dorastaniu i wychowującej ją parze. Obie kobiety zastanawiają się, jak przekazać Gabrielowi wiadomości.

– Naprawdę kiepsko się czuje – mówi Marta. – To będzie dla niego bardzo poruszające, ale po prostu musimy mu powiedzieć. Chodź, Katerino. Jeśli *to* nie wyciągnie go z łóżka, to nic go nie wyciągnie.

Waham się przez chwilę, dręczący głos z tyłu głowy mówi: „A jeśli to nie on?”. Jak zniosę rozczarowanie? W życiu nie pragnęłam niczego tak bardzo, jak tego, by ten człowiek był bratem babci. Ara bierze mnie za rękę i prowadzi ciemnym korytarzem, a ja dostaję zawrotów głowy przyprowadzających o mdłości. W zatęchłej sypialni stary, blade mężczyzna leży na plecach, wpatrując się w sufit...

Wyczuwam obecność dwojga nieznanym. Stoją w nogach łóżka, mierząc mnie wzrokiem jak przedsiębiorcy pogrzebowi biorący miarę na trumnę. Z jakiegoś powodu Marta postanawia rozgrzebywać przeszłość, wywołując moje rozdrażnienie. Klepie jak najęta o moich przejściach, gdy miałem dziewięć lat, przenosząc mnie z powrotem na pustynię i na polanę, gdzie straciłem brata i siostrę.

– Historia nie skończyła się tak, jak myślałeś – mówi. – Gabrielu, kochanie, stało się coś niewiarygodnego. Twoja siostra przeżyła. Słyszysz, Gabrielu? Twoja siostra nie umarła.

Czerwienię się ze złości, moje oczy błagają, żeby skończyła już te wygłupy.

– Mariam została ocalona przez pielęgniarkę i miała długie, szczęśliwe życie. Zmarła niedawno, ale ma córkę.

Nigdy nie przypuszczałem, że moja żona może być tak okrutna. Co chce osiągnąć? Wypędzić mnie z łóżka za sprawą szoku?

– Ta młoda dama to wnuczka Mariam, Gabrielu.

Opieram się na łokciach, przywołując resztkę sił, która mi została.

– Czy to jakiś niesmaczny żart?

– Nie, to nie żart. Podejź, Katerino.

Młoda kobieta się zbliża. Połączenie mojej siostry i matki; ciemne fale włosów opadają jej na plecy, i przez chwilę myślę, że obudziłem się w niebie.

– Dlaczego mi to robisz, Marto?

– Nic ci nie robię. Katerino, pokaż mu zdjęcie.

Młoda kobieta podaje mi czarno-białe zdjęcie matki, kobiety, którą wielbiłem przez całe życie, zdjęcie, które dałem Mariam w dniu, gdy wypędzono nas z domu.

– Skąd to wzięłaś? Czego, u diabła, ode mnie chcesz? – Podnoszę głos i przestraszona dziewczyna robi krok w tył.

– Będziesz żałował, że się tak odezwałeś – mówi Marta. – Katerino,

opowiedz mu o swojej babci.

– Moja babcia pochodziła z miejsca zwanego Cezareą. Jej rodzice to Gadarina i Grigor. Została rozdzielona z matką, gdy jej rodzinę zmuszono do ucieczki z miasta. Całe życie była przekonana, że obaj jej bracia zginęli.

Ręce mi się trzęsą, w głowie mi huczy, gniew nie chce ustąpić.

– Jak miał na imię jej starszy brat?

– Towmas. Miał brązowe oczy ze złotymi plamkami. Był zakochany w dziewczynie o imieniu Ester i marzył o dotarciu do Ameryki.

– Dlaczego mi to robisz, młoda damo?

– To wnuczka Mariam, Gabrielu. Rozumiesz?

Ma oczy mojej siostry, ale wciąż nie daję temu wiary.

– Babcia dała mojej mamie imię po panu. Opowiadała o pana słabości do słodczy i waszych wspólnych zabawach...

Chciałbym, żeby dziewczyna przestała, ale ona brnie dalej i dalej, pierś przygniata mi coraz większy ciężar, czuję klucie w klatce. Nie porusza mnie tak bardzo to, co mówi, ale to, jak mówi, jej mimika tak bardzo przypomina mi Mariam, uśmiech w jej oczach, to, jak marszczy się jej śliczny nosek. Rozpoznaję symptomy napadu lęku w chwili, gdy się pojawiają i gdy myślę, że zaraz umrę. Z trudem łapię oddech, zachłystuję się rozedrganym powietrzem, moją pierś znów opina ten koszmarny zaciskający się pas.

– Wezwij lekarza. Szybko, dzwoń po doktora Mouradiana! – krzyczy Marta i Anahit wypada z pokoju.

Dziewczyna umieszcza w mojej dłoni coś zimnego i ciężkiego, zaciska wokół tego moje palce. Zdaję sobie sprawę, że chcę zobaczyć, co to takiego, ale moja porażona ręka ani drgnie, przedmiot pulsuje wewnątrz dłoni jak serce. Dziewczyna zbliża ją do mojej twarzy i rozwiera palce. Widzę kopertę kieszonkowego zegarka ojca, ale wciąż nie wierzę, dopóki moje oczy nie skupią się na grawerunku: Grigor Arakelian. Dziewczyna uśmiecha się pięknym uśmiechem Mariam, a potem zdaję sobie sprawę, że nadzieja nie była próżna, że nadszedł w końcu dzień, o którym całe życie marzyłem.

Kładzie mi głowę na piersi, miękkie loki pachnące kwiatem pomarańczy spadają mi na twarz. Głaszczę jej włosy niezdarnymi, starymi rękoma i pierwszy raz od wieków serce się uspokaja, łzy płyną, wypłukując ze mnie wszystkie pradawne bóle, dojmujący szloch wstrząsa moim ciałem i zapiera mi dech. Opłakuję wszystkie ukochane osoby, które straciłem, ale przede wszystkim płacę z powodu niezmiernego szczęścia, z powodu anioła, którego policzek spoczywa na moim sercu.

Anahit wpada z powrotem do pokoju.

– Lekarz w drodze.

– Nie potrzebuję lekarza. Potrzebuję ubrań, paczki chusteczek i mocnego

drinka, jeśli Partogh zostawił choć trochę mojej whisky.

Marta uśmiecha się promiennie, a dziewczyna podnosi głowę, by spojrzeć na mnie tymi charakterystycznymi zielonymi oczyma, które wyróżniały moją siostrę.

Marta i Anahit idą do kuchni, żeby zrobić herbatę, a Katerina dzwoni do swojej matki i daje mi słuchawkę. Przez serię szlochów słyszę głos siostrzenicy, łapię oddech, by powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę i wezmę w ramiona.

Wieczorem wszyscy siedzimy, pijemy wino i jemy z wilczym apetytem, a ja śpiewam po pijanemu. Zbyt szybko nadchodzi pora odjazdu, ale Katerina obiecuje wrócić wcześniej nazajutrz, by zostać tak długo, jak będzie mogła. Jestem zbyt przejęty, by zasnąć. Chcę nadal gadać i pić, dzielić się z rodziną tą bezmierną radością. Idę poszukać Anahit i zastaję ją w korytarzu. Rozmawia z Harrym przez telefon, relacjonując wieczorne wydarzenia. Byłbym szczęśliwy, gdyby nie uwierający jak kamyk w bucie smutek, który jej sprawiłem.

Czekam, aż skończy rozmawiać, potem podchodzę z przepaszającym uśmiechem.

– Anahit. Chciałem ci coś powiedzieć. Wiesz, że nie jestem dobry w przeprosinach, ale...

Anahit przykłada palec do ust.

– Nie. Nic nie mów, dziadku. Po prostu posłuchaj. Ślub się odbędzie, czy ci się to podoba, czy nie. Kocham Harry'ego z całego serca. Moja przyszłość to on i nie zrezygnuję z niego. Nie dla ciebie. Ani dla nikogo. I jeszcze jedna rzecz, która może cię zainteresować lub nie: będę miała dziecko.

Życie daje mi kolejny podarunek, następne błogosławieństwo. Całuję wnuczkę, ściskam ją, ale nie za mocno. Ostentacyjnie dzwonię do swojej nemezis, gratuluję Harry'emu, nazywam *synem*, beczę jak dziecko, rzęsiście skrapiając słuchawkę łzami. Jestem głupcem i zawsze nim będę, ale nie jestem aż takim głupcem jak Howsepian.

## ROZDZIAŁ 36

### KATERINA

Kiedy opuszczamy dom ciotecznego dziadka Gabriela, jest po północy. Poruszamy się lekko, jesteśmy upojeni. Spędziliśmy wieczór, świętując zmartwychwstanie, ponowne połączenie naszej rozbitej rodziny. Brat z siostrą nigdy nie mieli okazji się zetknąć ani podzielić swoim życiem, ale chciałabym wierzyć, że mogli poczuć swoją obecność przez fale eteru.

Ara przez całą noc trzymał się z boku i nagle zdaję sobie sprawę, że to on był sprawcą, katalizatorem tej radości, ofiarował życie umierającemu człowiekowi. Mówię mu o swojej wdzięczności i Ara przypomina mi, że moja historia rodzinna jest również częścią jego dziedzictwa. W trakcie powolnego powrotu do Larnaki nie ma między nami skrępowania, rozmawiamy bez przerwy, odrzucając na bok wszelkie animozje.

Czeka na nas Arpi, spragniona wieści. Kiedy w końcu idzie spać, siedzę z Arą na werandzie, dopijając resztkę jej kojącej anyżowej herbaty. Omawiamy dzieciństwo babci, szczęśliwe czasy z rodziną w Cezarei, bezpieczeństwo i miłość, które odnalazła u Rose i Ernesta. Odchylam głowę, by skupić się na roju gwiazd na śródziemnomorskim niebie, skrzącym się niebiańską tajemniczością. Nie liczę ich. Pragnę wierzyć, że jest ich siedem, że babcia, jej rodzice, Rose, Ernest, Towmas i Ester zebrali się razem nad nami, złączeni na nowo.

Siedzimy oparci, ciesząc się doskonałą ciszą, dopóki Ara się nie odzywa:

- Muszę ci wyjaśnić, dlaczego się nie pojawiłem, dlaczego nie zadzwoniłem.
- Nie ma takiej potrzeby. Wiem, że wciąż czujesz coś do Nazeli.

Ara energicznie kręci głową.

– Nic podobnego! Skąd w ogóle taki pomysł? Nigdy nie czułem do niej nic poważnego.

Przypominam sobie słowa Arpi o tym, że jej syn nie jest w stanie zapomnieć, i zastanawiam się, czy nie zrozumiałam ich opacznie.

– Nie mogłem spojrzeć ci w oczy, Katerino. Powiedziałem za wiele, zrobiłem z siebie głupka. Powiedziałaś, że bym żył chwilą, ale nie potrafiłem, nie z tobą.

Przypominam sobie, jak się czułam, gdy Rob zachował się tak samo, mówiąc, że bym cieszyła się chwilą. Każde słowo było jak cios w serce.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Chcesz wrócić do swojego świata, do rodziny, przyjaciół. Rozumiem to.

– Mój świat właśnie stał się o wiele większy. Teraz będę tu chyba musiała spędzać więcej czasu.

– Żeby być z dziadkiem Gabrielem?



– I pozrywać trochę owoców. Jeśli nadal potrzebna ci pomoc...

Uśmiech, który powoli rozjaśnia jego twarz, jest zaraźliwy, widać go też w oczach.

– Gdzie ten dziennik? Zakończenie historii twojej babci nie daje mi spokoju. Gotowa na ostatni rozdział?

## ROZDZIAŁ 37

### MARIAM

Była Wigilia Bożego Narodzenia 1921 roku. Skończyłam właśnie piętnaście lat i moje dawne życie stało się odległym wspomnieniem. Wciąż miałam przebliski obrazów z dnia na polanie, ale przyzwyczaiałam się do życia z Rose i Ernestem, do płynących powoli dni wypełnionych lekcjami, obowiązkami, poobiednimi spacerami, do wieczorów przy kominku.

Tego dnia w południe przyjechała Irene, siostra Ernesta, wraz z rodziną. Była pulchną, towarzyską kobietą, miała dwóch nastoletnich synów, Edwarda i Marcusa. Jej mąż Jack grał na harmonijce ustnej. Nie mogłam się zawsze doczekać ich odwiedzin. Mały dom wówczas ożywał, wieczorami graliśmy w karty, śpiewaliśmy kolędy i ludowe piosenki.

Nie widzieliśmy ich od roku i przez ten czas chłopcy wystrzelili do góry. Rudobłond włosy Edwarda urosły i nosił je teraz odgarnięte do tyłu na sposób, który uderzył mnie jako dekadenski. Miał szesnaście lat, tyle samo, co Lewon, chodził w brązowej skórzanej kurtce, sprawiającej, że wyglądał na starszego, a wrażenie to potęgował papieros, którego palił w ogrodzie.

Przywitał mnie niedźwiedzim uściskiem, obejmując tak mocno, że ledwie mogłam oddychać.

– Co się z tobą stało? – spytał, puszczając mnie w końcu i odsuwając się, by objąć mnie wzrokiem.

Czułam się skrępowana w zrobionym na drutach ciemnozielonym golfie, z którego wyrosłam.

– Jesteś taka piękna, Mariam – powiedział, ściskając mnie raz jeszcze.

Przez ramię dojrzałam, jak zwężają się oczy Lewona.

Po drugim śniadaniu Rose i Irene poszły do kuchni, by przygotowywać świąteczny obiad. Nadziewały gęś, robiły sos żurawinowy, owijały kiełbaski bekonem, gotowały na parze pudding z suszonymi owocami. Lewon dołączył do nich w kuchni i zawijał farsz w liście kapusty na wieczorny posiłek. Sam nauczył się gotować i trzy razy w tygodniu Rose dawała mu wolną rękę w kuchni, przymykając oko na bałagan, który robił.

Ernest oddał mu do dyspozycji zakątek ogrodu, w którym Lewon posadził zioła. Jego zainteresowanie gotowaniem przerodziło się w obsesję. Rose tydzień po tygodniu przygotowywała te same dania na wywarze, potrawki, gotowaną szynkę, pieczeń i biszkopt. Lewon natomiast eksperymentował. Spędzał swoje kuchenne dni w gorączce, pichcąc pomysłowe dania łączące Zachód ze Wschodem, próbując odtworzyć przepisy swojej matki. Lubił gotować w samotności, krzyczeć i dawać upust frustracji, gdy wyniki eksperymentów nie odpowiadały jego oczekiwaniom.

Grałam w karty z chłopcami w warsztacie Ernesta, gdzie Edward zapalił

papierosa i wydmuchiwał kółka dymu. Opowiadał o londyńskim życiu pełnym przyjaciół i weekendowych potańcówek, o jedzeniu w torebkach i puszkach, a także o wieczornym słuchaniu radia. Chłopcy byli czarujący i troskliwi i nigdy nie sprawiali, że czułam się jak uboga krewna. Lewon dołączył do nas, policzki miał czerwone od żaru pieca, a ubrania i włosy przesączone smakowitymi zapachami.

– Nigdy nie spotkałem mężczyzny z bzikiem na punkcie gotowania – powiedział Edward. – Zdecydowanie wolałbym spędzić popołudnie ze śliczną dziewczyną.

Puścił do mnie oko, a ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Nie byłam już chudą jak patyk przybłądą, którą znalazła Rose, ale dziewczyną z krągłościami rysującymi się pod grubym swetrem. Czułam się nieswojo pod spojrzeniami, które zwracały się ku mnie w kościele, ale żadne z nich nie wyrażały już współczucia. Wzrok młodych mężczyzn płonął podziwem i pożądaniem.

– Lewon chce pewnego dnia otworzyć restaurację. – Próbuję załagodzić sytuację, wyczuwając, że Lewon jest nie w humorze.

– Będziecie musieli przyjechać do Londynu – mówi Edward. – Nie możecie otworzyć jej tu, chyba że chcecie serwować owce.

– Nie mogę się doczekać wyjazdu stąd.

Była to mantra Lewona, ale myśl o przeprowadzce – opuszczeniu Rose, Ernesta i ustabilizowanego życia, które uleczyło moje rany – rozstrajała mnie.

– Są jakieś ładne dziewczyny w tych stronach? – spytał Edward, nie zważając na ponury nastrój Lewona. – Założę się, że chłopaki z okolicy walą do was drzwiami i oknami, Mariam. Gdybyś nie była moją kuzynką, pierwszy bym się z tobą umówił.

– Nie jest twoją kuzynką, więc licz się ze słowami.

Wrogość Lewona wywołała nagły rumieniec na mojej twarzy. Nie miał prawa tak się zachowywać, odgrywać nadopiekuńczego brata i psuć naszych świąt. Posłałam mu spojrzenie, którym mu to oznajmiłam, i nie zwracałam na niego uwagi przez resztę dnia.

Nazajutrz rano obudziłam się, poczuwszy zapach świątecznej pieczeni i ciepło w brzuchu. Oddałam swój pokój Jackowi i Irene i noc spędziłam na wąskim łóżku Lewona, podczas gdy on spał na sofie. Zasnęłam z zapachem jego skóry i olejku, którego używał, by przygładzić włosy. Miałam mu za złe humory, ale nie mogłam długo się gniewać.

Rozległo się pukanie do drzwi i Rose weszła do pokoju, trzymając pudełko przewiązane wstążką. Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Sądzę, że powinnaś to otworzyć na osobności. Z dala od wszystkich chłopców.

Na kartce było napisane: „Cudownej córce, darowi od Boga”, a słowa

okalało serduszko. Zerwałam wstążkę, podniosłam wieczko i ujrzałam zwój szmaragdowego jedwabiu.

– Poprosiłam Irene, by znalazła ci w Londynie sukienkę. Wiesz, nie mam pojęcia o dziewczęcej modzie. Mam nadzieję, że ci się podoba, Mariam.

Była to jedna z tych sukienek, które widywałam jedynie w czasopismach, z opuszczoną talią, długa do kolan i z rozcięciami po bokach. Przypomniałam sobie ubrania, które nosiłam w święta, i z zachwytu paradowałam tanecznym krokiem po pokoju, jakby sukienka była moim partnerem. Rose pomogła mi się ubrać, a potem mnie uczesała, delikatnie rozplątując włosy. Kiedy skończyła, przyniosła z łazienki butelkę i naląła na rękę przezrystego płynu, by je przygładzić. Cytrusowy aromat wypełnił pokój – olejek, który przygotowała z kwiatu pomarańczy, by przypomnieć mi o domu, zapach przywołujący wspomnienia pierwszej matki, ubierającej mnie miękkimi palcami, jej rąk pachnących przyprawami.

Irene podarowała mi moją pierwszą szminkę, która wydała mi się tak cenna jak sztabka złota. Umalowała mi usta w łuk kupidyna i zaprowadziła do dużego lustra w drzwiach szafy. Wpatrywałam się w swoje odbicie, widząc osobę, którą ledwie rozpoznawałam, elegancką, nowoczesną młodą kobietę, kogoś, kim chciałam być. Przyciskając suknię do ciała, wypadłam z sypialni i zbiegłam po schodach, mijając Lewona gapiącego się na mnie z otwartymi ustami. Policzki zapłonęły mi rumieńcem, który palił jeszcze bardziej, gdy w pokoju przywitało mnie pełne uznania gwizdnięcie Edwarda i gdy spotkałam zachwycony wzrok Lewona.

Sukienkę nosiłam przez cały dzień i przez cały dzień zauważałam ukradkowe spojrzenia Lewona. Był opryskliwy i chłodny, dąsał się jak dzień wcześniej. Ignorowałam go. Nakryłam do stołu z Edwardem i usiadłam między chłopcami, ciesząc się ich uwagą i wyborną ucztą. Pieczone ziemniaki w gęsim smalcu, zrazy z sosem żurawinowym, pieczone kasztany, purée z rzepy, brukselka Irene, marchewka z masłem i szczyptą cukru. Na deser jedliśmy czekoladowe cukierki i pudding z suszonymi owocami i sosem waniliowym, a także przygotowane przed tygodniem świąteczne ciasto Rose ze skórką pomarańczową, wiśniami i brandy. Mężczyźni opróżnili butelkę brandy i każdemu z dzieci pozwolono wypić po łyżku. Po raz pierwszy poczułam smak alkoholu. Palący płyn spłynął mi gardłem do żołądka, a jego działanie wyostrzyło we mnie świadomość przygnębionych spojrzeń Lewona. Przez cały obiad był ponury, ja zaś radowałam się najprzyjemniejszym Bożym Narodzeniem w życiu. Po posiłku Jack grał na harmonijce, a Irene śpiewała. Edward wziął mnie za rękę i tańczyliśmy, sukienka szeleściła wokół moich nóg, gdy wirowałam zupełnie jak na weselu Ester. Edward kręcił mną w kółko i w kółko, a ja z rozkoszą zdawałam sobie sprawę, że Lewon patrzy, choć ani razu na niego nie spojrzałam.

Rzuciłam się na łóżko w sukience, kręciło mi się w głowie. W domu, poza

chrapaniem Jacka przypominającym warkot motocykla, panowała cisza. Świeca migotała na parapecie, płomień rzucał cienie na ściany. W kształtach, które powstawały i znikwały, nie było nic groźnego. Przysypiałam już, gdy usłyszałam słabe pukanie.

Lewon wszedł do pokoju na palcach, trzymając zawiniątko w szarym papierze.

– Zrobiłem to dla ciebie – powiedział.

Usiadłam i uśmiechnęłam się do niego. Przeszedł przez pokój, by przynieść świecę, i przycupnął obok mnie.

Gdy zdierałam papier, znów byłam dziewczynką otwierającą prezent od ojca w dniu Świętego Sargisa. Lewon zrobił mi drewnianą skrzynkę na przyprawę. Obrazek na wieczku przedstawiał mężczyznę i kobietę sączących wino na różnobarwnym pledzie. Kobieta, ubrana w żółte sari, miała odsłoniętą pierś. Będąc dzieckiem, uważałam ten obrazek za czarujący i magiczny, teraz dostrzegłam jego erotyczną stronę i zdałam sobie sprawę, dlaczego Lewon czekał z wręczeniem prezentu do czasu, gdy będziemy sami. Opisywałam mu pudełko wiele razy, a on odważył się zapuścić do wnętrza mojego umysłu, spojrzeć moimi oczami i namalować niemal identyczną scenę.

– Nie skończyłem jeszcze przegródek. Zrobię to po Nowym Roku, obiecuję, przygotuję je na twoje urodziny i zapełnię twoimi ulubionymi przyprawami: czarnym pieprzem, sproszkowanymi papryczkami chili i cynamonem. – Jego oczy płonęły w blasku świecy i zobaczyłam w nich, jak bardzo chciał, żeby prezent mi się spodobał.

Objęłam go i wreszcie się uśmiechnął; odzyskał spokój. Odsunęłam pudełko na bok i podniosłam kołdrę, jak tyle razy wcześniej, gdy byliśmy młodszy, a on przychodził do mnie do pokoju nocą, bo bał się ciemności. Było to zaproszenie, by wskakiwał. Zdmuchnął świeczkę i położył się przy mnie, ale jego ciało było sztywne i gdy go przykryłam, odwrócił się ode mnie.

– Co jest nie tak?

– Edward powinien się pilnować. – Odwrócił się twarzą do mnie. – Nie podoba mi się, jak na ciebie patrzy.

Zawsze był wobec mnie opiekuńczy, ale to było coś innego. Był zazdrosny i to mnie ucieszyło.

Przysunęłam się, kładąc rękę na jego piersi, i poczułam dotyk jego ciała. Splótł palce z moimi i w brzuchu zapłonął mi ogień intensywniejszy od żaru brandy. Leżałam sztywno, wstrzymując oddech, zadowolona, że ciemność skrywa mój rumieniec.

Zbliżył do mnie twarz, światło księżyca obrysowało kontur jego policzka, oczy mu lśniły. Pochylił się, by pocałować mnie lekko w usta i serce zatrzepotało mi w gardle; smak jego ust był zbyt ulotny. Przybliżyłam się, pocałowałam go

znów, świadoma jego warg, jego westchnień i ręki, którą delikatnie przebiegał w dół mego ciała, przyciskając jedwab do skóry. Byłam kobietą z utopijnego pejzażu namalowanego na wieczku skrzynki na przyprawę.

– Kocham cię, Mariam – szepnął.

– Ja też cię kocham. – Wyrwały się tak długo niewypowiedane słowa.

Leżeliśmy przyciśnięci do siebie ze splecionymi nogami, porozumiewając się spojrzeniami, a potem Lewon westchnął i się odsunął.

– Lepiej już pójdę, zanim mnie tu znajdą.

Patrzyłam, jak odchodzi, z całego serca pragnąc, by został, by ta noc trwała już zawsze. Wślizgnąwszy się pod kołdrę, wpatrywałam się w sufit i raz po raz odtwarzałam w myślach pocałunek.

W kolejnych tygodniach było więcej skradzionych pocałunków w lesie za domem i w łóżku, gdy Rose z Ernestem już spali. Leżeliśmy do rana, planując naszą przyszłość, restaurację, którą Lewon otworzy, i dom, który wybudujemy. Nic nie wydawało się bardziej naturalne niż całowanie się z nim, a jednak wiedziałam, że nie powinnam go kochać w ten sposób. Żyliśmy wspólnie jak brat z siostrą. Dla naszych rodziców, znajomych i krewnych, a nawet w oczach prawa byliśmy rodzeństwem o tym samym nazwisku. Wychowywano nas w chrześcijańskim domu, gdzie cnotliwość była wartością przewodnią, a to, co teraz robiliśmy, było zakazane. Wiedzieliśmy wszystko na temat grzechu i prawości. Nasza rozkwitająca miłość usuwała tę wiedzę w cień.

Któregoś sierpniowego niedzielnego poranka przybyła z Ameryki Elsie Barrow. Dzień był piękny, rześki i słoneczny, a ja siedziałam w kuchni, czekając z wilczym apetytem, aż upieką się bułeczki Rose. Miesiąc dobrej pogody współgrał z moim nastrojem, z beztróskim optymizmem, który niósł mnie poprzez kolejne dni. Lewon też miał mniejszą skłonność do dąsów, choć nadal planował ucieczkę. Dopiero co wstał, gdy Elsie zapukała do drzwi. Otworzył i zaprowadził ją do kuchni. Rose była zachwycona widokiem dawnej przyjaciółki, z którą pracowała w szkole misyjnej, i obie padły sobie w ramiona. Gdy dołączył do nich Ernest, kuchnię wypełnił entuzjastyczny gwar.

– Dlaczego nie dałaś znać, że przyjeżdżasz? – spytała Rose.

– Chciałam was zaskoczyć, zwłaszcza Lewona. – Zwróciła się do niego – Mam dla ciebie wspaniałe wieści, chłopcze.

Czekałam, wstrzymując oddech i przeczuwając, że następne słowa Elsie odmienią w jakiś sposób bieg mojego życia.

– Znaleźliśmy twoją matkę i wuja Boghosa. Żyją i mają się dobrze. Mieszkają w Nowym Jorku. Nie mogą się doczekać, by cię zobaczyć, Lewonie.

Jego oczy się rozszerzyły i zwilgotniały. Rozpłakał się, obejmując mnie. „Mówiłem ci, że nas odnajdą”, powtarzał. Pokój wypełniły podekscytowane okrzyki, łzy radości i powtarzanie, że to cud, ale jakaś nieporuszona cząstka

mojego umysłu obawiała się, że nie będzie szczęśliwego zakończenia. Rose i Ernest objęli nas, całując w głowy. Wszyscy mieliśmy świadomość, że ten zysk doprowadzi do straty, że ten cud przyspieszy rozpad naszej rodziny.

– Co teraz będzie? – odsuwając się, spytał Ernest sztucznym głosem. Jego uśmiech ukrywał to, czego nie mogli ukryć oczy.

– Popłyniemy do Ameryki – odparła Elsie.

– Słyszałaś, Mariam? Popłyniemy do Ameryki.

Lewon cofnął się, nie chcąc zrozumieć, dlaczego przygasłam i dlaczego Rose pociąga nosem w chusteczkę.

– Co się z wami dzieje? Dlaczego płaczesz, Rose?

– Zapewne wiesz, że Mariam nie pojedzie z tobą. Twoja matka nie ma środków, by ją utrzymywać, a nawet gdyby miała, to tutaj jest jej dom – powiedziała Elsie. – Może cię odwiedzić, gdy się zadomowisz.

– Wszyscy cię odwiedzimy – powiedział Ernest. – Rose, wytrzymaj oczy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że pewnego dnia może się to stać.

Lewon ścisnął moją rękę.

– Nie wyjadę bez Mariam. Nic nie rozumiecie.

– Musisz dołączyć do rodziny – powiedziała Elsie. – Wyżywamy za siedem dni.

Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy dotarły do mnie fakty. Oswobodziłam rękę z uścisku i wypadłam z domu. Serce mi waliło, gdy biegłam między krzakami w stronę zagajnika. Analizowałam swój ból, zdając sobie sprawę, że Lewon jest z tyłu i woła mnie po imieniu. Pragnęłam znaleźć się tak daleko od niego, jak tylko mogę. Jego siła woli sprawiła, że to się stało, podczas gdy ja straciłam całą nadzieję na to, że zostanę odnaleziona. Gdy zerkałam przez ramię, potknęłam się i upadłam, prz gryzając sobie wargę. Chwilę później Lewon był już obok mnie na kolanach, odwrócił mnie na plecy, oddychałam z trudem. Zdjął koszulę, by delikatnie wytrzeć mi kącik ust. Byłam oszołomiona, czułam ból, a smak krwi w ustach przeniósł mnie z powrotem na polanę, gdzie zginęli moi bracia. To wspomnienie sprawiło, że do oczu napłynęły mi łzy.

– Proszę, Mariam, wstań – powiedział. – Wracajmy do domu i porozmawiajmy z Rose.

Próbował wziąć mnie w ramiona, ale cofnęłam się, wybuchając:

– Dlaczego płaczesz, Lewon?! Masz, czego chciałeś.

– Nie chcę wyjeżdżać bez ciebie. Popłynij ze mną, Mariam.

– To mój dom. Rose jest moją matką. Słyszałaś, co powiedziała Elsie. Gdybyś naprawdę mnie kochał, tobyś został.

Zdawałam sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwa, ale w tamtej chwili czułam, że Lewon wybiera matkę zamiast mnie, że jego miłosne wyznania nic nie znaczą.

– Muszę jechać, Mariam. Ale wrócę po ciebie, obiecuję.

Leżeliśmy obok siebie, odczuwając każdy odcień nadchodzącego rozstania, fale bólu i smutku. Życie bez Lewona to żadne życie, ale musiał jechać, taki był jego los. Nie mogłam zostawić Rose, drugi raz porzucić domu – miejsca, gdzie odnalazłam spokój, bezpieczeństwo i miłość.

Lewon głaskał mnie po włosach, całował moje mokre policzki, czoło, a potem usta. Drżącą ręką rozpięłam bluzkę, a on wodził palcem po moim obojczyku, przebiegał ręką po moim ciele, rozpalając je. Nigdy nie czułam się tak wolna, tak bezwstydną i odważną, tak odległą od świata, tak pewna, czego chcę. Jego palce wędrowały po mnie, miękkie i delikatne, ich płonące koniuszki sprawiały, że drżałam i wzdychałam. Oplotłam go nogami w pasie, przyciągnęłam, nasze ciała instynktownie napierały na siebie. Na zawsze chciałam zatrzymać jego cząstkę i byłam głucha na szept: „Nie, Mariam, nie wolno”.

Wróciliśmy do domu, zrezygnowani i niepokieszeni. Smutek już zdążył zakraść się z powrotem. Nie chciałam słuchać obietnic Lewona na temat przyszłości, w którą nie wierzyłam. W ciągu następnych dni prawie nie rozmawialiśmy – nie było nic do powiedzenia. W nocy Lewon przychodził do mnie do łóżka. Leżałam w jego ramionach, nie śpiąc i pragnąc, by czas się cofnął, by nigdy nie odnaleziono jego matki. Tydzień później patrzyłam z okna sypialni, jak odjeżdża, ze wzrokiem wbitym w ścieżkę przed domem, póki Lewon – zupełnie jak moja matka – nie zniknął mi z oczu.

Utraciwszy go, stałam się częścią historii Siedmiu Gwiazd. Długie godziny spędzałam w łóżku, otępiała i pusta, zła na Boga, że ukradł mi wszystkich, których kochałam. Gabriel mylił się, gdy mówił, że nikt nie zmarł na złamane serce. Po stracie Lewona czułam, że przepadła niezbywalna cząstka mnie, byłam jak tkanka bez dopływu krwi.

Zaczął do mnie pisać zaraz po przyjeździe do Ameryki, ale jego listy nie przynosiły ulgi. Pisał o szczęśliwym spotkaniu z matką i wujem, o walce rodziny, by związać koniec z końcem, o małym mieszkaniu, a także o ormiańskim sąsiedztwie, w którym żyli. Zamienił cichy zaścianek na morze dźwięków, na ulice kipiące życiem. Cieszył się z tego, że jest pośród ludzi, rozpycha się o miejsce na chodniku, słucha podniesionych głosów w ojczystym języku, że odnalazł ormiańską społeczność z kościołem w samym jej centrum. Dobrze się rozumiał z ludźmi w okolicy, wielu z nich było zresztą uchodźcami tak jak my. „Mają ciemną karnację, kruczoczarne włosy, zamyślane oczy, zatroskane twarze i podkręcone do góry wąsy. Są szorstcy i komiczni i wyglądają na dumnych, przypominają mi o ludziach, z którymi dorastaliśmy” – pisał. Wkrótce znalazł pracę w ormiańskiej restauracji i donosił, że zamierza oszczędzać, by samemu otworzyć lokal i zbić majątek. Lewon odnalazł dom dla swej duszy i było dla mnie jasne, że nigdy nie wróci do Anglii i skrzynka na przyprawę pozostanie



niewykończona. W najgorszych chwilach chciałam ją spalić razem z listami, by zniszczyć każdy jego ślad i zapomnieć, że w ogóle istniał, ale nie mogłam się na to zdobyć. Skrzynka niosła ze sobą skojarzenia związane nie tylko z Lewonem, ale też wspomnienia świątecznego podarunku ojca i cudownej kuchni matki. Schowałam ją więc pod zimowymi swetrami, żeby nie przypominała mi o Lewonie i jego złamanej obietnicy.

Wycofałam się w głąb własnego małego świata. Rose i Ernest nie byli w stanie mnie pocieszyć. Zaczęłam czytać książki medyczne, które znalazłam na strychu, egzemplarze „Medical Journal” Sajousa i podręczniki pierwszej pomocy Czerwonego Krzyża. Czytanie na szczęście odwracało uwagę od rozpamiętywania. Uczyłam się na pamięć objawów i metod leczenia chorób, ślęczałam nad diagramami i instrukcjami, jak nastawiać złamane kości, opatrywać rany i przygotowywać antyseptyczne okłady. Wspominałam pacjentów, których ojciec leczył z oparzeń: dzieci, które wpadły do walcowatych palenisk wykopanych w ziemi, dorosłych, którzy poparzyli się żarem z koksowego pieca podczas gotowania albo gdy ogrzewali sobie nogi. Świat ludzkiego organizmu i jego defektów był ogromny i pochłaniał mnie bez reszty. Zanurzyłam się w nim, podążałam jego meandrami, tropiłam jego tajemnice, rozkoszując się zawilnością tej materii. Wyobrażałam sobie, jak ojciec patrzy na mnie z pełnym aprobaty uśmiechem, i ten obraz mnie mobilizował.

Miesiąc przed Bożym Narodzeniem stałam w oknie otulona chustą. Zimno szczypało w policzki i zmrażało oddech w lodowate smugi. Ulotny leśny zapach zimy przywołał wspomnienie zeszłego roku – święta z Lewonem, nasz pierwszy pocałunek. Brzuch przeszły ukłucie bólu, który ustąpił i znów powrócił, sprawiając, że zgięłam się we dwoje. Napuściłam gorącej wody do wanny i zanurzyłam się w niej. Leżałam bez ruchu, dopóki woda nie wystygła i nie pojawiły się w niej smużki krwi. Wygramoliłam się z wanny mimo mdłości i zawrotów głowy, i zawołałam Rose. Przyszła od razu, pomogła mi wejść do łóżka i posłała Ernesta po doktora.

Wieczorem do sypialni wszedł młody lekarz, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Nazywał się John Longshore. Odprawił z pokoju Ernesta i Rose, a następnie mnie zbadał. Wiedziałam, co powoduje ból i nudności, jeszcze zanim mi powiedział. Za drzwiami przekazał wieści Rose i Ernestowi. Słyszałam okrzyki bólu, Ernesta pocieszającego Rose, wyważone odpowiedzi doktora, które uspokoiły ich oboje. Kiedy weszli do pokoju, usta wypełnił mi posmak wymiocin.

– Czyje to dziecko? – spytał Ernest ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Stewarta?

Chwilę mi zajęło, nim zrozumiałam, że chodzi mu o syna sąsiada. Nie mieli pojęcia o miłości, która rozkwitła pod ich dachem między chłopcem a dziewczyną, o których myśleli jako o rodzeństwie i których zawsze zachęcali do bliskości.

– Mariam, odezwij się do nas. Kto jest ojcem?

Byłam im winna prawdę, wymówiłam więc bezgłośnie imię Lewona. Rose osunęła się na kolana i załkała. Ernest schylił się, by ją objąć.

Rose nie odzywała się do mnie tygodniami, Ernest zaś chodził między nami na paluszkach. Wyglądał na zranionego. Ale każdej nocy oboje modlili się o mój powrót do zdrowia, siedząc na krześle obok łóżka i czuwając przy mnie na zmianę zgodnie z zaleceniami lekarza.

Chłód Rose nie trwał długo – nie leżało to w jej charakterze. Nie było mowy o oddaniu dziecka ani o wysłaniu mnie gdzieś, by ukryć wszystko przed wzrokiem naszej małej społeczności. Nie było też mowy o skontaktowaniu się z Lewonem. Miał dopiero siedemnaście lat, znajdował się tysiące mil stąd, nie mógłby utrzymać żony, a dla świata zewnętrznego był moim bratem. Byłam zbyt młoda, żeby wierzyć, że takie przeszkody da się pokonać, że możemy z Lewonem żyć we dwoje. Niedający spokoju głos w mojej głowie mówił o grzechu i piętnie kazirodztwa, o zakazanej miłości. Myślałam, żeby napisać do Lewona i poinformować go o dziecku, ale bałam się, że może mieć mi za złe, że zmuszam go do powrotu do Anglii, odbierając mu życie, które kochał. I jak jego rodzina przyjąłaby tę wiadomość? Czy jego matka by mnie zaakceptowała?

Nakazano mi wyciszać się w łóżku, a z biegiem miesięcy wizyty doktora stały się częstsze. Cieszyłam się na nie bardziej niż na cokolwiek innego. Nie mieliśmy innych gości i przestaliśmy chodzić do kościoła. Ernest raz w tygodniu jeździł do sklepu w wiosce, ale ja byłam ukryta przed naszą małą rolniczą społecznością, chroniona przed plotkami, broniona przed światem, który gardził młodymi kobietami w moim położeniu, zmuszając je, by szukały pokątnych aborcji, albo uznając je za szalone.

Gdy nadszedł czas, doktor Longshore i Rose odebrali dziecko, a na twarzach witających moją córkę malowała się wyłącznie radość. Doktor trzymał ją w ramionach i słyszał jej pierwszy oddech. Kiedy ją przytuliłam, moje serce zalała miłość silniejsza niż ta, którą do tej pory znałam. Gdy tuliłam moje maleństwo, wdychając jej ciepły, waniliowy oddech, nie tęskniłam już za Lewonem. To ona była rodziną, którą utraciłam, jej uśmiech przypominał mi o Gabrielu. Irene i chłopcy zaczęli odwiedzać nas na nowo i pokochali dziecko, które obdarowało nas wszystkich swoim dobrym usposobieniem.

Każdego wieczoru usypiałam ją historiami mojego brata, wrota mojej pamięci otwierały się gwałtownie, wyzwalając opowieści o męznym Nazarze, dziewicy słońca Arew i wilku ludojadzie. John nadal przychodził w odwiedziny, dopasowując się do spokojnej rutyny naszego życia, towarzyszył nam podczas wieczornych posiłków, gdy mogliśmy porozmawiać o jego pracy, postępach medycyny i świecie za sąsiednimi szczytami.

To w trakcie rozmów z Johnem moje marzenia o karierze pielęgniarskiej

i pójsciu w ślady Rose nabrały realnego kształtu. Nic nie miało głębszego sensu niż ratowanie życia, skoro widziałam tyle śmierci. John i Rose podsycali moje ambicje, kupowali mi książki i skłonili do ubiegania się o miejsce w szkole pielęgniarstwa. Podczas gdy listów z Ameryki przychodziło coraz mniej, w oczach Johna zaczęłam dostrzegać to samo głębokie pragnienie, które widziałam niegdyś u Lewona.

## ROZDZIAŁ 38

### KATERINA

Cioteczny dziadek Gabriel poprosił Jennifer, by zasięgnęła informacji, a ona w ciągu kilku dni odnalazła mężczyznę w podeszłym wieku, który nazywał się Lewon Petrosjan, i tak się składa, że był powszechnie znanym właścicielem najpopularniejszej w Nowym Jorku ormiańskiej knajpki Siedem Gwiazd. To nie przypadek, powiedziałam sobie, wspominając historię, którą Gabriel przekazał Mariam, a ta z kolei podzieliła się nią z Lewonem. Opowieść zawładnęła jego wyobraźnią. Lewon zniknął na ponad sześćdziesiąt lat i odnalazł się w cztery dni. Tydzień później wsiadliśmy wraz mamą na pokład samolotu lecącego do Wielkiego Jabłka.

Z lotniska bierzemy taksówkę na Manhattan, mama trzyma mnie za rękę, a ja chłonę widoki znane z kina i telewizji. Gorączkowe życie uliczne. Szerokie ulice zapchane żółtymi taksówkami. Osławione gejzery buchającej pary. Zwisająca sygnalizacja świetlna, która wygląda jak wędka z klocków Lego. Gigantyczne bilbordy, przytłaczająca wszechobecność betonu, stali i szkła wieżowców, osaczających nas i zasłaniających niebo, podczas gdy ocean pieszych kluczy ulicami. Stajemy przed budynkiem ze szklaną elewacją, z jaskrawoniebieskim napisem na szyldzie; słowa obwiedzione są aureolą z siedmiu gwiazd.

Jest samo południe, pełno tu już turystów i ciemnookich gości, którzy zajmują przytulne kącki. Zaskakuje nieco kolorowy, eklektyczny wystrój. Siedem Gwiazd składa hołd ojczyźnie Lewona, o której opowiadał z taką czułością i nostalgią. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające surowe pejzaże, a każdą wolną przestrzeń – nawet sufit – zajmują malowidła ściennie. Początkująca ręka stworzyła dziewice słońca, duchy ognia, czarodziejów, księżąt i złodziei, wszystkie te postaci, które Mariam wplatała w baśnie opowiadane w dzieciństwie Lewonowi.

Siadamy przy stoliku pod oknem, ozdobą pośrodku stołu jest chałwa w celofanowym opakowaniu. Podchodzi kelner o oliwkowej skórze i gęstych czarnych włosach. Podaje nam menu i pyta, czy chciałobyśmy zamówić coś do picia.

- Gin z tonikiem – mówi mama w nadziei, że w drinku odnajdzie odwagę. Kelner zapisuje w bloczku.
- Coś jeszcze?
- Mamo, nie chciałaś przypadkiem o coś zapytać?
- Nie dam rady, Katerino. Cała się trzęsę.
- Wszystko w porządku? – pyta kelner.
- Szukamy mężczyzny, który nazywa się Lewon Petrosjan. Przypuszczam, że jest właścicielem tej restauracji.

Kelner unosi brwi.

– Jest w kuchni, jak zwykle sam czuwa nad wszystkim. Zobaczę, czy uda mi się go stamtąd wyrwać.

Kelner odchodzi, a mama pochyla się nad stołem.

– Chodźmy, Katerino. Mama nic mi nigdy o tym nie mówiła. Może nie chciała, żebym wiedziała.

– Też mi to przeszło przez myśl.

– Ten człowiek może nie chce mieć ze mną do czynienia, a tego naprawdę bym nie zniosła. I co z jego rodziną? Co pomyślą o córce wyskakującej jak filip z konopi?

– Teraz już za późno, żeby się zatrzymać.

– Już przydarzyło nam się szczęśliwe zakończenie. Mam wujka, o którym myślałam, że nie żyje. I miałam wspaniałego ojca. Nie potrzebuję drugiego.

– Nie sądzisz, że ma prawo wiedzieć?

Mój wzrok przyciąga malowidło na ścianie w głębi lokalu. Rozczochrany chłopiec o wielkich uszach trzyma za rękę dziewczynkę z długimi falującymi włosami. Oboje przybrali baletowe pozy i unoszą się ku konstelacji gwiazd. Restauracja jest więc hołdem nie tylko dla rodzinnych stron, ale i dla utraconej miłości.

Elegancko ubrany starszy pan zmierza do naszego stolika. Wygląda dostojnie ze swymi rzednącymi siwymi włosami, a w jego uśmiechu natychmiast rozpoznaję uśmiech mojej matki.

– Czym mogę służyć? – pyta. Jego dudniący amerykański akcent ma ormiańską nutę.

– Nazywam się Gaby Knight, a to moja córka Katerina. – Nigdy nie widziałam, żeby matka była tak zdenerwowana.

– Ach, panie z Anglii. Mamy wielu angielskich klientów. Co mogę dla drogich pań zrobić? Mam jednakowoż nadzieję, że nie poproszą mnie panie o keczup!

Mama zwraca się do mnie po pomoc, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć, otwieram więc torbę i wyjmuję skrzynkę na przyprawy, którą mama przywiozła jako dowód. Dobroduszny uśmiech Lewona znika, gdy mu ją podaję.

– Skąd pani ją ma?

– Należała do mojej babci – mówię.

Lewon siada ciężko ze wzrokiem wbitym w skrzynkę. Otwiera ją, wdycha zapach drewna przesyconego przyprawami.

– Zrobiłem tę skrzynkę, podarowałem ją przyjaciółce.

– Moja matka nazywała się Mariam Longshore. – Mama w końcu znajduje siłę, żeby się odezwać.

Lewon przytyka rękę do ust, wstrzymując oddech.

– Mariam? Moja Mariam?

– Niedawno odeszła.

Z ciemnych oczu Lewona zaczynają płynąć łzy. Sięga po chusteczkę do kieszeni koszuli.

– Mariam nie żyje? – Chowa twarz w dłoniach, ukrywając wzruszenie, które sprawia, że dreszcze wstrząsają jego ciałem.

– Proszę, niech pan się nie denerwuje. Mamy panu coś do powiedzenia.

Podnosi zapadniętą twarz.

– Moja matka wyszła za mąż kilka lat po pańskim wyjeździe.

– Wiem. Poślubiła lekarza i miała życie, na jakie zasłużyła. Pewnie nie powinienem pani tego mówić, ale byłem bardzo zakochany w pani matce, oczywiście na długo przed tym, jak poznała pani ojca. Była miłością mojego życia, a ja musiałem ją opuścić. Przyjechałem do Ameryki z zamiarem zbiecia fortuny i ofiarowania jej wszystkiego, ale niepostrzeżenie z miesięcy zrobiły się lata. Do czasu, gdy zrealizowałem swoje marzenie, była już mężatką, a ja miałem złamane serce. Nigdy nie doszedłem do siebie, nigdy się nie ożeniłem. Nie jestem jednym z tych, którzy kochają dwa razy w jednym życiu.

Mama ściska moją rękę.

– Katerino...

– Kiedy Rose przysłała mi zdjęcie ze ślubu pani matki, serce mi pękło.

– Matka nie miała żadnych ślubnych zdjęć.

– Na zdjęciu, które dostałem, trzyma śliczną ciemnowłosą dziewczynkę. Nie wiem, kim ona była. Przypuszczałem, że to jedna z krewnych pani ojca.

Uścisk mamy się zacieśnia.

– Musiałam tam być, Katerino. Dlatego pamiętam sukienkę.

Wytrzymuję spojrzenie Lewona i siłą woli zmuszam go, by zrozumiał.

– Mama urodziła się dziewięć miesięcy po pańskim wyjeździe.

– Co próbuje mi pani powiedzieć, młoda damo? Jestem starcem, mózg mi wolno pracuje.

– Panie Petrosjan, moja matka prowadziła dziennik – mówi mama. – Wiemy, jak bliscy sobie byliście, jak bardzo pana kochała. Przyjechałam powiedzieć, że nigdy o panu nie zapomniała, i mam powody wierzyć, że jestem pańską córką.

Na twarzy Lewona niedowierzenie ustępuje radości, a potem znów z oczu płyną mu łzy, matce też. Spogląda na nasze twarze i szlocha, obejmuje mamę przez stolik, całuje i ściska, i wydaje się, że nigdy jej nie puści. Następnie drżącą dłonią bierze mnie za rękę i zwraca się do mnie, przyglądając się mojej twarzy, jakby ślęczał nad szczegółową mapą.

– Nie rozumiem – mówi, kręcąc głową. – Dlaczego mi nie powiedziała?

– Miała piętnaście lat. Zdawała sobie sprawę, jak kochasz swoje życie w Ameryce, i nie mogła zostawić Rose.

– Obwiniam samego siebie. Byłem zbyt zajęty, żeby pisać, zbyt biedny, by

popłynąć do Anglii, zbyt uparty, by zrezygnować z marzeń. Proszę, powiedz, że była szczęśliwa.

– Była bardzo szczęśliwa. Mój dziadek był wspaniałym człowiekiem.

– Wyglądasz zupełnie jak ona – stwierdza Lewon. – Te same oczy, ten sam uroczy nosek, obawiam się jednak, że masz też duże uszy Petrosjanów, biedaczko.

Przyciska moją rękę do policzka, przez co zaczynam płakać i po chwili wszyscy płacemy. Klienci się na nas gapią, sztucce zawisają w powietrzu.

Podchodzi kelner.

– Wszystko w porządku, panie Petrosjan?

– Bardziej niż w porządku. Wspaniale. Jak we śnie. – Lewon ociera oczy i klepie kelnera w ramię. – Chciałbym, żebyś poznał moją córkę i wnuczkę. Czyż to nie najwspanialszy widok w twoim życiu?

– Kiedy to się stało? – Kelner unosi brwi.

– To bardzo długa historia, mój chłopcze, zaczyna się w tysiąc dziewięćset piętnastym roku i właśnie zatoczyła koło. Przynieś nam coś do jedzenia. Zgłodniałem przez te łyzy.

– Co państwu przynieść?

– Wszystko. Obie panie wyglądają, jakby trzeba je było dobrze nakarmić.

Kelner odchodzi z pełnym zdziwienia wyrazem twarzy i Lewon gestem wskazuje obraz chłopca i dziewczyny na ścianie.

– To była moja Mariam. Długie włosy spływające po plecach, cieniutka talia. W głębi duszy zawsze się bałem, że jest dla mnie za dobra, za bystra i za ładna. Otworzyłem swoją knajpkę i nazwałem ją Siedem Gwiazd w nadziei, że gdyby kiedyś przyjechała do Nowego Jorku i przechodziła obok, wiedziałaby, że mnie tu znajdzie. Wiecie, jak zbiłem majątek? Sprzedając to. – Podnosi torebkę chałwy w celofanowym opakowaniu. – Przyrządzona według tego samego przepisu, który pewnego dnia wymyśliłem wraz z Mariam w kuchni Rose, z cukrem, cukierkami i czekoladą. Wiem, jest nie całkiem tradycyjna, niemniej jednak pyszna, zdaje się, że Amerykanie ją lubią. Wszystkim mówiłem, że jest zrobiona według tajemnej, starej jak świat ormiańskiej receptury, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Nie mogłem powiedzieć, że to wyrób chłopca, który lubił słodczy i wykorzystał wszystkie składniki, jakie miał pod ręką. Chłopca, który chciał zaimponować uwielbianej dziewczynie.

Lewon jest taki, jakim go sobie wyobrażałam. Miałam nadzieję, że taki właśnie będzie. Towarzyski i serdeczny, wrażliwy i czarujący. Bez przerwy rozmawiamy o dzienniku, o wszystkim, co ominęło Lewona, o spotkaniu z dziadkiem Gabrielem.

Pojawia się jedzenie – potrawy, które rozpoznaję i które pokochałam. Pikantne szaszłyki i miękkie pity, dipy o bogatym smaku. Zimne dania z dodatkiem oliwy i cytryny. Sałatki z natką pietruszki i granatem. Liście winorośli nadziewane

ryżem i orzeszkami pinii. Tu, nad tymi talerzami z dobrze znanym jedzeniem, odnoszę wrażenie, że przynależę do strojnej knajpki Lewona, czuję, że wyprawiliśmy się z mamą w podróż do źródeł, która będzie trwała całe życie.

Lewon przebiega ręką po wieczku drewnianej skrzynki.

– A więc trzymała ją aż do śmierci.

Podnosi wieczko, odkrywając nieprzeczytane listy, wyjmuje jeden z nich.

– Sądzimy, że były do ciebie. Nigdy nie zostały wysłane. Nie mamy pojęcia, co w nich jest.

– Chciałybyście, żebym wam powiedział?

Rozkłada list, trzyma go blisko twarzy i czyta:

Najdroższy Gabrielu,

odnalazłam własny sposób, by pamiętać, by czcić przeszłość i wskrzeszać miłe wspomnienia, rytuał wymagający pióra i papieru. Siedzę pod moim ulubionym dębem i piszę do Ciebie w języku naszej matki. Kiedy o Tobie myślę, słowa wypływają ze mnie na papier, oczyszczając mnie ze wszystkich sekretnych myśli. Pozostali mnie opuścili, jeden po drugim, nawet Lewon, ale Twój duch podróżuje ze mną, unosi się w mym cieniu, czuwa nade mną, Twoja podobizna jest pieczołowicie przechowywana w zamkniętej komnacie mej pamięci. Czytam swoje listy publiczności złożonej z kasztanów i dębów, rudzików i przemykających wiewiórek.

Pamiętasz Nowy Rok w Cezarei, gdy byliśmy dziećmi? Jak czekaliśmy na prezenty? Któregoś roku chciałeś drewnianego konika, a ja bardzo pragnęłam dostać lalkę. Mama powiedziała, żebyśmy napisali listy do Świętego Mikołaja. Pierwszego stycznia obudziliśmy się i znaleźliśmy prezenty, na które liczyliśmy. Wierzyliśmy, że nasze listy sprawiły ten cud. Piszę do Ciebie z tą samą dziecięcą nadzieją, że moje zdania dotrą do Ciebie w niebie, gdzie – jestem pewna – Twoja dusza czeka na moją.

Wyobrażam sobie Ciebie często jako dorosłego mężczyznę, jakbyś to ty przeżył, a ja bym umarła, jakby nasze losy zostały odwrócone. Nie wyobrażam sobie świątobliwego braciszka skąpanego w blasku aureoli, ale onieśmielającą postać z niepohamowanym poczuciem humoru, gawędziarza uwielbiającego słodczyce, uroczego zawadiakę z niewyparzonym językiem. Żałuję, że nie mogłeś dzielić ze mną życia, wziąć na ręce mojej córeczki, spojrzeć w oczy dziewczynki, która tak bardzo przypomina mi Ciebie. Kiedy się urodziła, byłam bardzo młoda, ale gotowa, by być matką.

Kiedyś, gdy uda mi się znaleźć słowa, powiem jej, że została poczęta w dniu, w którym czułam się żywa jak nigdy, że kochałam jej ojca całym sercem i że nigdy nie spoglądałam z żalem wstecz...

Lewon przerywa, odbiera mu mowę.

Mama wyciera nos w chusteczkę.



– Pragnęła, żebym wiedziała, ale nie potrafiła znaleźć słów, by mi o tym powiedzieć. Gabriel był jedyną osobą, z którą mogła podzielić się myślami.

Listy w pudełku nie są adresowane do dawnej miłości, jak przypuszczaliśmy, lecz do utraconego brata.

Na koniec Lewon mówi, że chciałby nas gdzieś zabrać, kawałek stąd taksówką. Kiedy czekamy na ulicy, moje myśli zwracają się ku Arze i odległości między nami, bezkresnemu pasowi oceanu i nieba, jedenastogodzinnemu lotowi, całym siedmiu dniom. Nasz związek jest w zawieszeniu, tutejszy rozdział mojego życia dobiega końca, ale tęsknota wróciła, silne pragnienie, którego wcześniej nie znałam, w połączeniu z rozbudzonymi na nowo myślami o przyszłości.

W taksówce Lewon wskazuje iglicę katedry Świętego Wartana, nowoczesną wersję historycznego kościoła, dziwnie na swoim miejscu w tej ruchliwej części Manhattanu, pełnej wieżowców, sklepów i restauracji. Przecinamy prostokątny dziedziniec, wspinamy się po schodach i wchodzimy przez drewniane drzwi katedry. Łagodnie oświetlone i przesycone zapachem kadzidła ogromne wnętrze wydaje się nierealne – święte miejsce w sercu Nowego Jorku. Zatęchłą ciszę zakłóca odgłos naszych kroków na kamiennej posadzce i sporadyczne kasłanie. Kilkoro wiernych siedzi w drewnianych ławkach w cichej kontemplacji, z głowami opuszczonymi w modlitwie.

Sklepienie podtrzymują łuki. Sześć wąskich witraży pnie się od podłogi po sufit, a w górze wiszą żyrandole w gotyckim stylu. Wyciągamy szyje, by przyjrzeć się kopule wspieranej przez cztery łuki spięte zwornikiem. Witraże rzucają tęcze blaski, oświetlając symbole, które otaczają kopułę.

– Właśnie tutaj przychodzę, żeby uciec od zgiełku – mówi Lewon. – By wspominać Mariam.

Wszyscy zapalamy świece za babcię i ten gest jest dziwnie oczyszczający. Nie chodzę regularnie do kościoła, ale stojąc w tej uświęconej przestrzeni, czuję się wzruszona, zanurzona w Bogu, mam poczucie niezbadanego dziedzictwa.

Lewon stoi obok mnie.

– Nigdy nie sądziłem, że będę miał wnuczkę, i to tak zachwycającą. Nie sądziłem, że usłyszę, jak ktoś nazywa mnie dziadkiem. Co chciałbyście robić w pierwszy dzień pobytu w Nowym Jorku?

– Podobno mają tu wspaniałe lody.

– Mnóstwo przeróżnych smaków.

Mama znów jest dziewczynką, która cieszy się na myśl o lodach.

Biorę Lewona za rękę.

– A ja lubię sernik pistacjowo-truskawkowy.

– Mój ulubiony. Z całą pewnością masz moje geny.

– Prowadź, dziadku.

– Katerina *jan* – mówi, nazywając mnie najdroższą i odwracając się, by

spojrzeć na mnie ze łzami w oczach. – Mogłabyś to powiedzieć jeszcze raz?

## ROZDZIAŁ 39

NIKOZJA, CYPR, 1986 ROK

Stoję obok Ary przed osiemnastowiecznym kościołem na wzgórzu, pozując do zdjęcia z Harrym i Anahit. Pod fałdami jej sukni ślubnej rysuje się ciężowy brzuch. Otaczają nas goście. Mama wciśnięta jest między tatę i Lewona, wszyscy uśmiechają się promiennie. Cioteczny dziadek Gabriel pochyla się nad statywem, ustawia aparat i robi wiele zdjęć.

W pobliskim hotelu czeka przyjęcie. Stoły nakryto tak wykwintnie, jak tylko byli to w stanie wyczarować Marta i Lewon. Uczta godna bogów, słońca i księżyca. Skrzynia skarbów babci spoczywa w kuchni Gabriela, wreszcie wykończona – z przegródkami podarowanymi przez Harry’ego, wypełniona po brzegi rozdrobnionymi, utartymi i sproszkowanymi przyprawami w żywych kolorach.

Gabriel robi więcej zdjęć, prosi dzieci, żeby kucnęły, każe się uśmiechać, jego fotograficzna pasja budzi się na nowo wraz z radością życia. Ma długoterminowe plany, które wymagają, by pozostał przy życiu: chce odwiedzić Anglię, nauczyć mamę języka przodków, zobaczyć ślub wnuczki siostry z odpowiednim ormiańskim chłopakiem (tu szturcha Arę i puszcza do niego oko).

Cypr znaczy dziś dla mnie więcej niż podczas pierwszej wizyty, to wyspa, na której mam rodzinę i nowych przyjaciół, miejsce, które muszę ciągle odwiedzać, by zebrać materiały – oczywiście z pomocą tłumacza – do książki, którą piszę: sagi o niezwykłej rodzinie, historii, która będzie przekazywana następnym pokoleniom.

– Przenieśmy się wszyscy na grzbiet wzgórza – mówi Gabriel. – Do ostatniego zdjęcia.

Ustawiamy się jak popadnie.

– Nastawię samowyzwalacz.

Majstruje przy pokrętle i biegnie lekko, by stanąć obok mnie, bierze mnie za rękę i przywołuje ten sam dumny wyraz twarzy, który przybrał, gdy patrzył, jak Anahit idzie nawą. Stoimy przed blokiem kamienia, kawałem z grubsza ociosanej skały wybielonej słońcem, będącej czarującym, zniekształconym połączeniem Gaudiego z Flinstonami. To symbol, który będzie górował nad miastem długo po tym, jak odejdziemy. Miejsce cichej kontemplacji. Legowisko dla dzikich kotów w cieniu eukaliptusa. Kamienne siedzisko z wyrytymi słowami: „Pamięci cudownej matki, siostry, opiekunki i kucharki, która uprawiała kulinarną alchemię za pomocą jagnięcej łopatki i wędzonej papryki”. Pstryka migawka.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję następującym osobom za ich szczodre wsparcie emocjonalne i redaktorskie: mojej redaktorze Moirze Forsyth i wszystkim w Sandstone Press, Zoe Piponides, poetce o sokolim wzroku, Vartanowi Tashdjianowi, Tigran Kalaydjian, Ruth Keshishian, Gabaretowi Kazandjianowi, Susan Pattie (*Faith in History*), Antonii Marcou i The Society of Authors.

Szczególnie pragnę podziękować mojej nieustępliwej agentce Dianie Beaumont za entuzjastyczne przyjęcie postaci Gabriela Arakeliana i wiarę w to, że jego historię należy opowiedzieć.

<sup>1</sup> Surma, instrument dęty drewniany, pochodzący z Indii lub Persji. W muzyce armeńskiej zurna gra najczęściej melodię w parze z drugą zurną, towarzyszącą jej długimi dźwiękami podkreślającymi melodię. Innym typowym zestawem instrumentów jest zurna i dwustronny bęben dhol, wykorzystywany w muzyce tanecznej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Gra słów. Matka Ester sięga po miotłę, czyli *groom*. *Groom* to także pan młody, matka zabiera więc córce świeżo poślubionego małżonka.

<sup>3</sup> Jr 29,11–12. Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.

Przekład: Krzysztof Cieślik

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Katarzyna Skwark, Agnieszka Sprycha

Jacket design by Rose Cooper, Valencia, Spain

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Alamy/BE&W

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3331-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal  
Sp. z o.o.  
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

**virtualo**

